

STARA I MŁODA PRASA



18-1

18-1 18-1 18-1

18-1

18-1

Walerj Przyborowski

STARA I MŁODA PRASA

PRZYCZYNEK

DO HISTORII LITERATURY OJCZYSTEJ

(1866—1872)

KARTKI ZE WSPOMNIEŃ EKSDZIENNIKARZA



PETERSBURG

KSIĘGARNIA K. GRENDYSZYŃSKIEGO

1897

101
07(438.11), 18¹¹

Bibl. Publ. m. st. W-wy
Dat 13580. N. N.



B.2766

PRZEDMOWA.

Kochany Almanzorze!

„Był to Almanzor, król Muzułmanów,
Rzucił bezpieczne ukrycie,
Sam się oddaje w ręce Hiszpanów,
I tylko błaga o życie“.

Ilekroć o tobie myślę, kochany Almanzorze, zawsze mi ta zwrotka przychodzi na pamięć. I ty, jak ów „król muzułmanów“, rzuciłeś zarobione długimi laty zacnej pracy, imię najlepsze, by pójść „oddać się w ręce Hiszpanów“ i wynieść z tego kroku wszystkie obelgi, wszystko błoto, którem cię obryzgano. Swoich zwycięzców chciałeś zostać bratem, a odrzucili cię i jedni i drudzy...

Ale wiesz dobrze o! Almanzorze, o! Wallenrodzie, o! tragiczny Donkiszocie polski, że jest grupa serc, która wie dobrze, iż Tobą kierowała najszczytniejsza i najpodnioślejsza idea, zrodzona w szarej godzinie zadumy nad sobą i swoimi. I w dank tej miary i ufności w ciebie, skromną tę pracę Tobie poświęcam.

Wszak wiesz kiedy ona powstała? Wszak pamiętasz nasze rozmowy długie pod bukiem starym, może Chrobrego trąbkę myśliwską pomnącym, z widokiem na góry Świętokrzyskie i na iglicę kościoła Emerykowego? Szumiały nam bory sine, zapach żywicy modrzewiowej nas upajał, a cień ruchliwy orła, kołyszącego się na błękicie, mówił nam o zmienności i ruchliwości życia własnego.

I zachęciłeś mię wtedy, bym wspomnienia moje uporządkował i spisał. Oto je masz. Nie wątpię, o Almanzorze! że jak ciebie za to, żeś chciał pocałowaniem jad wszczepić w ich.. dusze, tak i mnie oplwają wszystkie umysły małe, wszystkie serca handlarskie. Ale nie dbam oto, jak i ty nie dbałeś. Dla nas obu ta książka jest słodkim wspomnieniem chwil dawnych, przebrzmiałych, minionych, niestety, bezpowrotnie!

Wszak przed trzydziestu niespełna laty, razem z naszych borów i gór ojczystych wyjechawszy, znaleźliśmy się na palącym bruku Warszawy i upoliliśmy się, jak narkotykiem niezdrowym, jej życiem, jej obyczajami i charakterem, tak nam dotąd obcym i nieznanym. Należeliśmy obaj do tej walki, którą *młodzi* wypowiedzieli starym ideałom i starym aspiracyom. Jam to wszystko spisywał zaraz, na gorąco, pod wrażeniem świeżego jeszcze czynu i z tych notatek powstała ta książka. Nie przeczę, że musi ona mieć liczne wady, liczne błędy w sądach i wyrokach o ludziach

i rzeczach. Mógłbym to dziś poprawić, ale nie chcę. Tak jak jest, nosi ona na sobie piętno chwili, a wiesz dobrze, o! Almanzorze, że w dziejach nieraz nawet fałsz jest bardziej historycznym niż sama historia.

Wszak i o tobie piszę w tej książce, o Tobie, coś później, jak wallenrodyczny Samson, chciał „jednem wstrząśnieniem kolumny gmach cały zwalić i umrzeć pod gmachem“, a piszę, nie oszczędzając Cię wcale, nie oswabadzając od cieni, choć pewnym jesteś, że Cię kocham bardzo, że myśląc o Tobie, myślę zarazem o tem „sennem sosen uroczysku“, które nas wykarmiło na życie.

Daruj, że okradam Słowackiego, ale wiesz dobrze, że dzisiejszych poetów okradać nie mogę, bo tam naprawdę niema z czego kraść. Na Ter-mopilach Leonidas leży już bez złotego pasa...

Niech więc ta książka, o! Almanzorze, przypomni ci dawne lata, gdyśmy z wiarą i nadzieją szli w bój za idee, pewni, że one zdolne są do życia, że mają w sobie moc rodzajną. Dziś niestety! wierzyć już w to nie możemy, a Ty mniej niż ktokolwiek inny, mój dobry, mój kochany i mój nieszczęśliwy Almanzorze.

Twój

X. X. X.

Pisałem u stóp góry Świętokrzyskiej d. 8 października 1895 r.

I.

Szkoła Główna i koterye w niej. — Lasocki, autor „Ludgardy“. — Maszewski, poeta. — Wpływ Buckle'a — Pojawienie się „Przeglądu tygodniowego“. — Ówczesny kierunek prasy warszawskiej. — Wystąpienie przeciw niemu „Przeglądu“.

...W Szkole Głównej w owe czasy (rok 1866), żyło się koteryami, do których zwykle należeli studenci, pochodzący z jednego gimnazyum, albo z jednego miasta i okolicy. Po za te koterye rzadko się wychodziło i przyznać trzeba, że życie było dość nudne, dość ograniczone i biedne. Nadewszystko bieda była ogromna. W koteryi tej, do której ja należałem, ci co posiadali z domu dochodu miesięcznego rs. 15, uchodzili za bogaczy; reszta, nie mając żadnej pomocy, żyła Bóg wie czem i jak, niby „ptaszkowie leśni, którzy ani sieją, ani orzą“. Dawanie lekcyi było główną podstawą tego bytu, nadzwyczaj mizernego i nędznego. A jak płacono za te lekcye!

Znałem jednego kolegę, który dawał korepetycy synowi bogatego kupca warszawskiego, osła nad osłami i brał ogółem cztery ruble na miesiąc. W dodatku dawano mu za każdą godzinę bilet i jeżeli którego dnia nie przyszedł, strącano mu z pensyi miesięcznej wartość tego biletu, t. j. jakieś dwadzieścia kilka groszy. Był to wyzysk niegodny i szkaradny.

Znałem innego, który dostał, także u kupca, lekcyę za 6 rubli na miesiąc, co już uważane było śród naszej koteryi za piękny dochód. Cóż, kiedy kupiec był stary, a jego żona (jak się zdaje już druga czy trzecia) młodziutka. Student był bardzo przystojny, i pani pod pozorem czuwania nad lekcyami pasierba, zawsze się na nich znajdowała, dość, że... pewnego pięknego wieczoru, może w tydzień po rozpoczęciu korepetycyi, stary kupiec podziękował za lekcyę, Bogu winnemu duszę, biedakowi. Znałem trzeciego, który za obiady straszliwe, na pozłocie gotowane, uczył syna właściciela podrzędnej restauracyi, gdzieś pod rogatkami mokotowskiemi i biegał tam codzień aż z ulicy Elektoralnej. Znałem nakoniec i takich, którzy malowali szyldy w fabryce Mintera, zarabiając od sztuki po 2 złp.; inni brali znowu od Dzwonkowskiego, mającego wówczas księgarnię na ulicy Miodowej, do kolorowania mapę Europy, jaką wtedy wydał (1866 r.), za co pobierali od egzemplarza po

gr. 15. Pracując usilnie od rana do nocy zarabiali ledwie rubla, co jednak już było dla nich bardzo poważnym dochodem i cenili go wielce, choć musieli od Dzwonkowskiego nasłuchać się skarg i wyrzutów, za złe jakoby wykonanie roboty, skarg po większej części niesłusznych.

Obiadów się nie jadało, w podartych butach się chodziło, z właścicielami kamienic miewało się nieustanne spory o komorne, a jednak żyło się. Smutne, ale i wesołe czasy, okraszone młodością i nadziejami. Wielu z pomiędzy nas śniło tajemnie o sławie literackiej, jak rozkoszne marzenie pieściło nadzieję chwały autorskiej.

Mieliśmy też już wtedy w Szkole, pomiędzy sobą, literatów. Niejaki Franciszek Lasocki, którego imię zginęło na zawsze w powodzi innych imion, napisał tragedję wierszem, p. t. „Ludgarda“. Ukończywszy rękopism, zaprosił mnóstwo kolegów z wydziału, na który uczęszczał (filologiczno-historycznego), do mieszkania swego, zdaje mi się w Alei Jerozolimskiej. Była herbata, były bułki, serdelki, delicye dla naszych głodnych żołądków. Podczas gdy jeden z kolegów cholewą od buta dmuchał na mokre węgle samowaru, autor odczytywał nam Ludgardę. Pamiętam tylko, że wiersz był kulawy i całość bardzo mi się nie podobała. Ludgarda ukazała się potem na widok publiczny, co się zaś stało

z autorem, nie wiem. Na Parnasie ojczystym więcej z jego imieniem się nie spotkałem.

Oprócz Lasockiego, cieszył się także wśród kolegów pewną sławą literacką, Adam Maszewski, student wydziału filologiczno-historycznego.

Wydał on w r. 1862 małą książeczkę p. t. „Próbki poetyczne“, w których oprócz poematu treści romantycznej p. n. „Alina“, znajdowały się jeszcze różne inne drobniejsze utwory. Nie zdradzały one co prawda wielkiego talentu, mówiły tylko o łatwości pisarskiej młodego poety. Później stworzył on śliczną perelkę, której już tytułu nie pamiętam, osnutą na temacie ludowym i mistrzowsko naśladowującym formę pieśni gminnej. Matka wydaje córkę za bogacza wiejskiego, a córka się temu opiera i woła:

„Cóż mi z tego że bogaty, że ma wołów cztery pary,
Nie chcę, nie chcę matuleńko, taki brzydki, taki stary!“

Wiersz ten podobał się powszechnie i strofkę tę dziś, po latach dwudziestu kilku z pamięci cytuję, nie wiedząc gdzie samego wiersza szukać. Później Maszewski umilkł zupełnie...

W tę porę silne na nas wrażenie wywarł Tomasz Buckle, którego dzieło „Historia cywilizacji w Anglii“, ukazało się właśnie (1862—1865) w przekładzie polskim Wł. Zawadzkiego we Lwowie.

Jeden z naszych kolegów, który miał w War-

szawie stryja, jakiegoś dygnitarza i właściciela pięknej biblioteki, przyniósł nam od niego to dzieło do przeczytania. Pochłanialiśmy je i wkrótce podzieliliśmy się na Bucklistów i Antibucklistów. Jak zwyczajnie bywa w młodych, niewyrobionych głowach, chwytałyśmy tylko jaskrawe punkta rozumowań autora i z nich wyciągaliśmy wnioski bardzo ekscentryczne, o których się Bucklowi nawet nie śniło. Ponieważ historyk angielski, zaprzeczając do pewnego stopnia wolnej woli człowiekowi, przytacza na dowód tego, że nawet liczba listów, niewłaściwie do skrzynek pocztowych wrzucona, w pewnych peryodach czasu się powtarza, więc usiłowaliśmy tę zasadę do wszystkich czynności ludzkich zastosować. Jeden z naszych kolegów, zajmujący później bardzo wybitne stanowisko w literaturze naszej, przepędzał całe dnie w oknie swego mieszkania (na ulicy Gołębiej) dla przekonania niedowiarków, że liczba osób przechodzących przez ulicę w pewnych peryodach czasu, musi być jednakową. Inny znowu, do takiego stopnia doprowadził admirację dla Buckla, że nie mogąc kupić dzieła jego na własność, bo nie miał na to pieniędzy, przepisał je sobie dosłownie...

Wprawdzie na rozgorączkowane głowy młodzięży i zwolenników Buckla, wylał trochę zimnej wody prof. Plebański, w rozprawie o dziele Napoleona III-go, p. t. „Juliusz Cezar“, druko-

wanej w „Bibliotece Warszawskiej“ w r. 1865. Ale że „Biblioteki“ zwykle nie czytano, oraz z uwagi, że prof. Plebański tylko mimochodem zaczął Buckla, nie uzasadniwszy zresztą swych wycieczek, oraz że recenzent nie uchodził w Szkole za głowę tęgą, więc nie zważano na to i wystąpienie jego wpływu żadnego nie miało.

Później, bo w r. 1869 p. Adolf Pawiński w tejże „Bibliotece“ pomieścił dość obszerne, jasno napisane studjum o Bucklu, odejmując mu to znaczenie, jakie mu młodzież nadawała. Ale było to już zapóźno. Wrażenie w młodzieży oddawna się utrzymało i nim p. Pawiński wystąpił ze swemi uwagami, kult historyka angielskiego miał czas urosnąć do wielkich rozmiarów. W dobie, o której mówimy, dzieło Buckla czytano z zapalem, dyskutowano nad niem i snuto zeń najniedorzeczniejsze wnioski.

Bądź co bądź dzieło to stało się powodem ożywienia niezwykłego wśród sfer studenckich, czyli ściślej mówiąc na dwóch wydziałach: prawnym i filologicznym. Jeden z kolegów naszych, Stanisław Czarnowski, znany później pisarz, przetłumaczył nawet na znak kultu Bucklowskiego, jego broszurkę p. t. „Wpływ kobiet na postęp wiedzy“. Śmiało tu powiedzieć mogę, że przewrót, wywołany w kilka lat później w naszej literaturze przez t. zw. pozytywistów, miał swe źródło w książce autora angielskiego. Wywierał

on ścisłością swego rozumowania, paradoksalnością wniosków, niezwykłą erudycją i śmiałością przekonań, niezmiernie silne wrażenie na umysły i serca młode. Czasy były zresztą potemu odpowiednie. Na wszystkich duszach, na całym tem pokoleniu, wyrosłem śród huku gromów, leżał niewypowiedziany smutek, rezultat gorących marzeń niespełnionych nigdy i zawodów bolesnych. Gdy to, co nauczono ich czcić w młodości, zawiodło, rzucili się więc w stronę przeciwną, szukając ratunku. Ponieważ marzenia gubiły, więc je potępiano i mówiono o liczeniu się z rzeczywistością, o trzeźwości, o potrzebie ścisłego rachunku z sobą. Dla takich usposobień, Buckle był niejako wyrazem zupełnym tych pragnień i aspiracyi, jakie w duszach i umysłach lepszych młodzieży kiełkowały. Tylko głowy słabe, geszefciarskie, zajęte karyerą, mierne, lub prosto głupie nie odczuwały tych prądów, nie mogły należeć do Bucklistów i późniejszych pozytywistów, tworząc z czasem w generacyi młodszych pisarzy t. zw. partyę konserwatywną.

Przy takim usposobieniu młodzieży ówczesnej, nie dziw, że pojawienie się w r. 1866 nowego pisma p. t. „Przegląd tygodniowy“, zapowiadającego właśnie, że będzie trzeźwym i surowym sędzią wad narodowych, musiało uzyskać śród studentów aplauz powszechny. Właściwie „Przegląd“ nie stawiał wtedy żadnego programu, za-

dney z tych zasad, które później ochrzczone zostały mianem pozytywizmu, ale w każdym razie miał już pewne ich, że tak powiemy, przeczucie. Zwyczajem wtedy było w naszej prasie warszawskiej, wychwalać i podnosić pod niebiosy wszystko co swoje, w przeciwstawieniu do „zgniłych owoców“, jakie rodził Zachód. My byliśmy cnotliwi, mądrzy, moralni; byliśmy „Chrystusem narodów“, idącym za ludzkość na Golgotę. Nasze życie rodzinne, domowe, nasze zwyczaje, obyczaje, nasza literatura i sztuka była jedynie piękną, mądrą, cnotliwą. „Tygodnik ilustrowany“ z zapalem rysował każdą walącą się chałupę, każdą kupę kamieni, jako cenną pozostałość przeszłości, jako uosobienie naszej odrębności narodowej. U nas się tylko przechowały prawdziwe cnoty chrześcijańskie, u nas tylko kwitła moralność. Brednie te, pozostałe resztki teoryjek rewolucyjnych, zrodzonych między r. 1855 a 1860, były przez prasę popierane stale z uderzającą niekonsekwencją i brakiem logiki. Jeżeli bowiem byliśmy tacy mądrzy, tacy cnotliwi, tacy moralni, że od nas począć się miała „jutrznia odrodzenia świata“, to dlaczegoż upadliśmy tak nisko, kiedy „zgniły Zachód“ rozkwitał potężnie i właśnie wtedy zgromadzał na wszechnarodowej wystawie paryskiej cały świat cywilizowany?

Otóż przeciw tym bredniom, przeciw temu samochwalstwu nierozsądnemu, temu haszyszowi

niezdrowemu, który upajał nas kadzidłem własnej doskonałości, pierwszy „Przegląd“ wystąpił, co było nowością nadzwyczajną i śmiałością niepospolitą, a co koniecznie podobać się musiało młodzieży zaczytanej w Bucklu. „Przegląd“ przez to, że szydził z samochwalstwa narodowego nie stawiał wprawdzie żadnego jeszcze nowego programu, ale przygotowywał doń grunt, był tym oraczem, który odłogiem leżącą i bujne, niezdrowe chwasty rodzącą niwę, poruszał pługiem, w którą dopiero wychowańcy Szkoły Głównej świeże ziarno rzucić mieli. Nie w artykułach rozumowanych, nie w osobnych i stałych rubrykach mówił o tem błędnem pojmowaniu zadań prasy i o tej nieznamomości narodu, ale ciągle, nieustannie prawie chłostał zgryźliwym biczem te pojęcia zgubne, a nadewszystko nierozsądne. Był to więc już ważny krok naprzód, a do niego przyłączyły się wkrótce inne.

Prasa warszawska w owe czasy tworzyła jedno stronnictwo, złożone z ludzi czczących się nawzajem, tworzących, jak szyderczo ich nazwał „Przegląd“ bractwo wzajemnej adoracyi. Było to koniecznym wynikiem samochwalstwa. Jeżeli cały naród jest doskonały, toć jego pisarze, ta prawdziwa śmietanka społeczna, muszą być wzorem cnót i przymiotów wszelakich. Wszyscy więc byli wielcy, znakomici, doskonali i lada wierszyk, lada artykułik, podpisany imieniem głośniejszem,

uchodził za ewenement, za fakt olbrzymiej doniosłości. Pisało się wtedy wiele, a wszystko były rzeczy mierne, jednodniowe, z których śladu w literaturze nie pozostało, co nie przeszkadzało ówczesnej krytyce wychwalać takich utworów pod niebiosą.

„Przegląd“ wystąpił przeciw temu. Utworzył w swych łamach stałą rubrykę, zatytułowaną „przegląd prasy peryodycznej“, w której sobie żartował nieco z rogatkowych wielkości warszawskich, szydził i śmiał się, zawsze jednak w tonie dość przyzwoitym i umiarkowanym, którego tradycyę miał później pod wpływem paru namiętnych i zgryźliwych pisarzy młodych zatracić w sobie.

Jakkolwiek, powtarzamy, wszystko to nie było jeszcze żadnym programem, nie stawiało na miejsce starych ideałów nowego bożka, miało jednak pewien charakter odrębny, pewną świeżość w sobie. Wielkości bo prawdziwych w Warszawie wówczas nie było. Stara szkoła romantyczna albo wymarła, albo umilkła, a natomiast wystąpiły talenta drugorzędne i mierne. Ówczesną wielkością literacką Warszawy był Wacław Szymanowski, Ludwik Jenike, Kazimierz Wł. Wójcicki, Jan Kanty Gregorowicz, Fryderyk Lewestam, Józef Kenig, Sikorski, Antoni Szafrąński i t. p., wszystko to ludzie bardzo pożyteczni, ale talenta zaledwie drugo lub trzeciorzędne, mierne lub cał-

kiem nawet pozbawione świętego ognia, Bożej łaski, która sama jedna stanowi o wartości pisarza. Jednakże ludzie ci, jeżeli nie wszyscy, to większa ich część żywiła to przekonanie, że są znakomitościami literatury ojczystej, że cokolwiek napiszą, jest arcydziełem, które w literaturze na wieki zostanie. Jedyłą gwiazdą na tym horyzoncie szarym i mglistym był Julian Bartoszewicz, ale on też nie należał do bractwa wzajemnej adoracyi, ani do przeciwników „Przeglądu“, owszem, od czasu do czasu pisywał w nim pod pseudonimem Lemnickiego.

Gdy więc „Przegląd“ począł sobie z różnych papierowych wielkości żartować, gdy mimochodem z tego i owego zdarł sztuczny nimbus, ukazywał jego nieuctwo i brak talentu, wywołać na siebie musiał koniecznie w spokojnem dotąd bagniku, oburzenie. Oburzenie to, podobnie jak kamień rzucony w stojącą wodę, tworzy coraz większe kręgi, obejmowało powoli szersze koła, ogarniało coraz więcej pism, tak że między nimi stała ugoda milcząca, ażeby o „Przeglądzie“ nie mówić, uważać go za pismo nieistniejące i niezasługujące na to, by się niem zajmowano i niegodne, by mu odpowiadano. Taktyka, cokolwiekby na jej obronę powiedziano, zła, kupiecka, niegodna prasy i w gruncie rzeczy nieuczciwa.

Mimo to „Przegląd“ wychodził dalej i choć go zapewne bardzo bolała taka postawa współ-

kolegów, robił swoje. Oprócz dwóch powyższych cech, odróżniających go od drzemiącej prasy warszawskiej, miał on jeszcze jedną, zasadzającą się na żywym zajmowaniu się sprawami ekonomicznymi kraju, na widocznym pragnieniu, by ten kraj się z bogacił. Podczas kiedy wielkie dzienniki ówczesne zajmowały się wyłącznie polityką i teatrem, a czasem jaką rozprawką z przeszłości, gdy „Tygodnik ilustrowany“ rysował kupy kamieni, przekonany, że przez to dobrą pełni służbę, gdy „Biblioteka Warszawska“ tonęła w rozprawach archeologicznych, zwykle pisanych bez podstaw naukowych, „Przegląd“ wszyskiem inem się zajmował, o wszyskiem pisał, do wszyskiego się wtrącał, co tylko dotyczyło pośrednio lub bezpośrednio spraw ekonomicznych. Był to już także zaczątek programu, może niezupełnie z samowiedzą nakreślony, ale bądź co bądź wyraźny, który z czasem miał się przerodzić w program osławionej „pracy organicznej“.

Takim był „Przegląd“ w głównych, zasadniczych swych zarysach. Cokolwiekbyśmy powiedzieli, wnosił on w każdym razie świeże, nowe pierwiastki w drzemiące łono prasy warszawskiej.

Wiele rzeczy tam było nieudolnych, wiele raczej odczutyh niż wyrozumowanych, ale zawsze było to coś nowego, świeżego, tętniącego życiem. Mówienie nieustanne o zagadnieniach ekonomicznych, o rzemieślnikach, terminatorach, szwa-

czkach, nawoływanie do pracy, oszczędności, do zakładania towarzystw bankowych lub kredytowych, było czemś nowem w społeczeństwie, które lubiało dotąd z „kochankami w niebo ulatać“ i śnić Polskę seraficzną.

Wszystko to uderzało młode umysły i serca, które po ostatniem rozbiciu wszelkich nadziei, że cośkolwiek „mocą odbierzemy“, szukały na wszystkie strony deski ratunku, promyka światła, któryby wśród ciemności społecznych drogę wskazywał. Takim promykiem, bardzo może wątłym, chwiejnym i niezdecydowanym, ale bądź co bądź rozświecającym jako tako posępne horyzonty, roztańczające się wówczas nad krajem, był program, a raczej nie program, ale jego zarys zaledwie w „Przeglądzie tygodniowym“. Powtarzamy, było to coś nowego, zdradzało nadewszystko życie, które zdawało się, że powoli zamiera; nie było przytąjeniem tchu, ale owszem głośnem odechnięciem i jakby powiedzeniem: „dość tego, trzeba się obudzić i robić coś, a połkną dyabła ci, którzy myślą, że mię w kaszy zjedzą“. Z tych to powodów, „Przegląd“ w sferach studenckich znalazł ogromne powodzenie; mówię, w sferach studenckich, a raczej powinienbym powiedzieć w pewnych ich koteryach, bo jak wszędzie na świecie, tak i w Szkole Głównej umysły mierne stanowiły większość, których nic nie obchodziło co się dzieje w kraju, które o tem tylko myślały,

by otrzymać patent i dostać posadę. Po za tym balastem, nieuniknionym we wszystkich ciałach zbiorowych, po za garścią zanadto rozumnych, jak na młode głowy, karyerowiczów, którzy udawali konserwatystów, reszta młodzieży gorącej, szczerzej, serdeczniej, zatrutej melancholią chwili, była zapaloną zwolenniczką „Przeglądu“, czytała go, dyskutowała nad nim i gotowa go była wszelkimi siłami popierać.

Z grona tej młodzieży wyszedł zastęp pisarzy, którzy powoli o władnęli „Przeglądem“, z chaotycznych mgławic jego tendencji stworzyli ciało, stworzyli nowy program społeczny i z małym wyjątkiem kilku, których imiona na chwilę błysnęwszy w walce, zginęły potem w morzu niepamięci, zająć mieli z czasem wybitne stanowiska w literaturze ojczyznej.

II.

Aleksander Kraushar. — Wołody Skiba. — Józef z Mazowsza. — Miron. — Władysław Bełza. — Adam Wiślicki.

W pierwszym roku istnienia „Przeglądu Tygodniowego“, z tak zwanych później młodych pisarzy, mało kto brał udziału, jakkolwiek już zaraz wtedy Szkoła Główna była tam reprezentowaną. Pisywał mianowicie Aleksander Kraushar, poeta, historyk, krytyk, rzucający się w początkach swego zawodu literackiego nieomal na wszystko. Wśród swoich kolegów cieszył on się nie małą sławą; o wydanych podówczas przez niego dwóch tomach „Historji Żydów w Polsce“ mówiono dużo i uważano go za gwiazdę szkolną. Sam pamiętam, jak mi go pokazywano, idącego na lekcye na dziedzińcu Szkoły. Wyglądał on wtedy niezbyt młodo; jakoś odnośnie do nas był starszy nieco. Miał już zresztą w owe czasy (w r. 1866) swą przeszłość literacką, a nawet stał się bezpośrednią przyczyną pewnego faktu histo-

rycznego, który w rocznikach burzy niedawnej, zanotowany być musi. Nie wielu wówczas wiedziało o tem, choć tu i owdzie szeptano coś o *ostrzeżeniu*, o pewnym organie, zwanym „Prawda“ i t. p. rzeczy. Był to umysł dość chłodny, głowa dobra i niepozbawiona talentu literackiego. W „Przeglądzie“ drukował poezye, przekłady z Heinego, którego jako poetę żydowskiego, przez sympatyę krwi może, bardzo lubił. Co się tyczy „Historyi Żydów,“ rzecz oczywiście była słaba, ale myśmy o tem nie myśleli. Mieliśmy między sobą kolegę, który napisał dwa tomy dzieła poważnego, historycznego, który pracuje, ciągle pisze, więc bardzo słusznie uważaliśmy go w Szkole za *lumen*, za słońce.

Drugą osobistością, która jako student należała do redakcyi „Przeglądu“, był Józef Kirsztrot, który z czasem przybrał do swego rodzinnego nazwiska przydomek: Prawnicki. Podobnie jak Kraushar uczęszczał on na wydział prawny, i w „Przeglądzie“ zajmował się sprawami ekonomicznymi, którym zresztą i później się poświęcał. Był on mało znany i nie wywierał nigdy żadnego wpływu.

Poza tymi forpocztami rychłego, że tak powiem, najazdu młodzieży uniwersyteckiej na szpalty „Przeglądu“, resztę sił tego organu stanowili pisarze już starsi, jakkolwiek wcale nie należący do owych wielkości literackich, które

wyżej wymienilem. Pierwszeństwo pomiędzy nimi trzymał p. Aleksander Makowiecki, osobistość bardzo czynna, ruchliwa i żywo zajęta drobnymi sprawami ekonomicznymi, a zwłaszcza losem rzemieślników, w czem popierał go inny współpracownik „Przeglądu“ tej doby, pan Józef Juszczyk, majster krawiecki; teorią ekonomiczną, choć niefortunnie, zajmował się niejaki Jakób Szenwic, który z czasem wmieszany w brzydką sprawę kryminalną, o rozpuszczanie fałszywych pieniędzy, wysłany został na Syberję.

Takimi były siły ekonomiczne „Przeglądu“ w tej epoce. Siły literackie, oprócz Kraushara, stanowił Wołody Skiba, pod którym to pseudonimem ukrywał się pisarz bardzo zdolny i wszechstronny: Władysław Sabowski, w owe czasy mieszkający za granicami kraju i który, dodajmy tu nawiasem, grał także rolę w owej sprawie znaczenia historycznego, o której, mówiąc o Krausharze, wspomnieliśmy. Przysyłał on do „Przeglądu“ powieści, nieodznaczające się zresztą niczem, gdyż pisarz ten miał zdolność i temperament wyłącznie dziennikarski, ale twórczym nie był.

Tym ostatnim darem odznaczał się w daleko wyższym od Sabowskiego stopniu, inny współpracownik „Przeglądu“, znany pod pseudonimem Józefa z Mazowsza. Właściwie nazywał się Wojciechowski, pisywał poezye, dramata i powieści,

z których romans znacznych rozmiarów p. t. „Mężczyźni i kobiety“, świadczy o dużym, choć flegmatycznym talencie powieściowym. Dramat jego, później wyszły na widok publiczny, a nawet nagrodzony na jakimś konkursie p. t. „Margraf Gero“, świadczy, że Wojciechowski mógł z czasem zająć pierwszorzędne stanowisko literackie. W tej porze jednak, o której mówimy, był to jeszcze młody, może trzydziestoletni człowiek, cichy, skromny, sympatyczny, choć o powierzchowności popolitej. Na twarzy łagodnej, okolonej jasnym zarostem, malowało się cierpienie. Chory był bowiem na reumatyzm, który mu sprawiał ogromne cierpienia, a w końcu powalił go na łożę boleści, z którego niestety! Wojciechowski już wstać nie miał, zgasłszy w kilka lat później zapomniany przez wszystkich, zagłuszony wrzawą nowych czynników i nowych prądów, jakie się objawiały w dziennikarstwie i literaturze. W ostatnich latach życia cierpienia jego dochodziły do ostatnich granic. Odwiedziłem go raz wieczorem, na Podwału, w domu oznaczonym dziś numerem policyjnym 16, gdzie zajmował na drugim piętrze pokój o dwóch oknach od frontu. Przesiedziałem u niego cały wieczór, wsłuchując się w jęki i skargi, jakie wyrwały mu z ust boleści. Nigdy nie zapomnę tego wieczoru!

Położenie Wojciechowskiego tem było stra-

szniejsze, tem bardziej oplakane, że do choroby męczącej i wyczerpującej wszelkie siły, dołączyła się nędza. Poprzednio był on urzędnikiem komisji rządowej spraw wewnętrznych, gdzie pobierał, jeżeli się nie mylę, 600 rs. pensyi. Przy skromnem jego życiu, przy niezmiernie małych wymaganiach, bo była to dusza szczerą i prostą, pensya ta wystarczała mu w zupełności, a nawet zdołał sobie z niej sprawić przyzwoite meble i urządzić bardzo ładną i starannie dobraną bibliotekę. Był to bowiem samouczek; wykształcenia wyższego, a nadewszystko gruntowniejszego nie miał, co oczywiście szkodziło bardzo jego talentowi literackiemu, który posiadał niewątpliwie. Był przytem kawalerem, potrzeby miał małe, więc żył sobie szczęśliwie, gdy zniiesienie dykasteryi, w której służył, postawiło go nagle środków do życia. Jako urzędnik spadły z etatu, pobierał przez parę lat połowę pensyi, a potem nic. Wskutek zgryzot, niedostatku, choroba się wzmogła i po niej jakim czasie zabrała tego męczennika prawdziwego do grobu.

Nie miał on żadnych pretensyi do świata i ludzi, jak się to zwykle zdarzało widzieć u epigonów romantyki literackiej. Był nadzwyczaj skromny i bojaźliwy, unikał wszelkiego rozgłosu, o który skrybenci o wiele odeń niżsi i mniej warci, tak usilnie się zawsze starają. Kiedy w r. 1869, jeden z młodszych pisarzy rozpoczął po-

mieszczą w którymś z tygodników rodzaj portretów literackich, zdjętych ze współczesnych młodych autorów, Wojciechowski dowiedziawszy się o tem, zaklinał piszącego gorąco, by o nim nic nie mówił. „Proszę o to zamilczenie — pisał — w imię mojej ciężkiej choroby, proszę usilnie dlatego, że zaliczenie mnie do autorów, przez pana przepatrywanych, byłoby fatalnem dla mnie zmartwieniem. Mam nadzieję, że Szanowny pan zechce wysłuchać tej gorącej prośby“ *).

Oczywiście przy takiej dziewiczej skromności nie mógł zyskać rozgłosu, który wymaga śmiałości, a czasem bezczelności; przytem nie pisał wiele, bo mu choroba na to nie pozwalała. To jednak co wydrukował jest zawsze bardzo sumiennie i starannie zrobione, a jego wiersze i poemaciki, jakkolwiek przesiąknięte słowiałą już wtedy romantyką, nader się mile czytają.

O wiele odeń śmielszym, zdolniejszym i oryginalniejszym poetą był Miron, który także w „Przeglądzie“ w tej porze pomieszczał swe poezye, drobne fragmenta, urywki, odznaczające się pewną ciężkością, z raczej powiedziałbym, niestarannością formy. Miron, był to pseudonim, właściwie zwał on się Michaud i był synem głośnego w swoim czasie reustauratora. Jakim sposobem z restauratora mógł się zrodzić poeta

*) Z własnoręcznego listu Wojciechowskiego.

i to poeta nie tuzinkowy, pozostanie na zawsze jedną z tajemnic fizyologicznych. W tym czasie, gdy powstawał „Przegląd“, gdy nowe siły literackie jeszcze gdzieś w cieniu żyły, gotując się do tryumfalnego wystąpienia na pole autor-skie, Miron był już nieco starszym, mógł liczyć koło trzydziestu lat i podobno nawet był żona-tym. Blady, nerwowy, ciemny blondyn, o fan-tastycznie wzburzonej czuprynie, o oczach ogni-nych, nie piękny, ale uderzającej fizyognomii, miał wielkie powodzenie u kobiet i talent, dwie rzeczy, które albo gubią człowieka, albo podno-szą go wysoko. Niestety! ten drugi los nie był przeznaczony dla Mirona.

Tworzył on rzeczy drobne, małe, zdradzając w nich głębokie niezadowolenie z istniejącego porządku rzeczy, szydząc, obrzucając sarkazmem i ludzi i ich zasady i ich nieustanną komedię życia, jaką odgrywali. Było w tem wszystkim dużo sztucznego patosu, dużo bajronizmu prze-brzmiałego, ale było też wiele serca, bolejącego nad złością i niemoralnością świata. Pamiętam jakie silne wrażenie robiły na nasze umysły młode „Fotografie brukowe“ Mirona, szereg krót-kich obrazków, które pomieszczał w r. 1869 w „Kuryerze warszawskim“. Obrazki te zwykle były brane z życia warszawskiego, chwytane istotnie na bruku. Dla charakterystyki, talentu i manieri Mirona, przytoczę tu jeden taki obra-

zek, który może największą na nas młodych wywarł był sensację. Tytuł jego „Kominiarczyk“.

„Jego papą jest bankier, a tancerka mamą;
Taka wieść o nim w kółku krążyła żebraczem
Z opowiadań przekupki, co go w noc przed bramą
Zdybawszy, niosła do chrztu z przyjacielem traczem.
Gdy dorósł lat mądrości, siedmiu, w dzień tak błogi,
Od swojej opiekunki dostał w kark i buty;
I że miał wstręt do szewstwa, dobry wzrok i nogi,
Poszedł do kominiarzy...

Był to miesiąc luty,

W nocy wybucha ogień, dym wali kłębami,
Wnet więc strażę na miejsce trwogi śpieszą cwałem,
Wraz z maszyną parową i kominiarzami.
I on wdziera się na dach, skacze w głąb komina
I przytłumia płomień swoim własnym ciałem...
O tak! zacny pan bankier miał dzielnego syna“.

Poezye te jednak, bądź co bądź świadczące o talencie i sercu wielkiem, nie zadawałniały Mi-rona. Marzył on zawsze o napisaniu dramatu, którą to formę uważał za szczyt najwyższy twórczości poetycznej. „Dramiec“, jak nazywał w swym języku ten rodzaj literacki, był jego ideałem, pragnieniem, najgorętszą aspiracją. Ileż to razy słyszałem w poufnej pogawędce, jak wołał, podnosząc ręce do góry i zatapiając je z gestem rozpędliwym w bujnych włosach: „o! żeby napisać jaki piękny, szekspirowski dramiec!“ Niestety! nie napisał go nigdy; zjadło go dziennikarstwo, życie gorączkowe i niezdrowe, jakie

pędził. Zamilkł na długo, aż śmierć go zabrała zapomnianego zupełnie.

W tej porze jednak pisał wiele urywków poetycznych i pomieszczał je w „Przeglądzie“ lub w „Kuryerze warszawskim“, i pierwszego pisma stanowił on niejako główną siłę poetycką. Swoim szyderstwem z niedostatków społecznych nadawał się w sam raz do tonu, dominującego w „Przeglądzie“, który także niezadowolony był z tego, co jest, choć jeszcze sam nie wiedział, coby należało na to miejsce postawić.

Obok Mirona, na parnas poetyczny „Przeglądu“ wdzierał się jeszcze jeden poeta, Władysław Bełza. Syn znanego w nauce naszej profesora w instytucie agronomicznym w Marymoncie, dziś zajmujący poważne stanowisko w literaturze, był wtedy młodziutkiem chłopaczkiem, o nastroju mocno poetycznym. Jasny blondynek, o bujnych złotawego odcieniu włosach, o oczach rozmarzonych i błękitnych, twarzy rumianej, łagodnej, robił bardzo sympatyczne wrażenie swoim obejściem skromnem, fizyognomią cichą i smutną. Drukował on swe poezye w „Przeglądzie“, poezye nie odznaczające się niczem osobliwsem, chyba tylko gładkością formy, którą Bełza miał wyrobioną. Pozatem był to zwykły epigon romantyki, jakich mnóstwo jeszcze wtedy się rodziło. Od czasu do czasu chorował także na Bajrona. W zbiorku jego poezyi, który pod

tytułem „Wiosna“, ukazał się w r. 1868, znajduje się wiersz p. t. „Testament poety“, w którym między innymi takie daje polecenie swym przyjaciółom:

„Kiedy ja umrę, bracia najszczerzi,
Zamiast zaszcześcić wierzbę płaczącą
Na moim grobie, na mojej piersi,
Stawcie kawiarnię zbytkiem kipiącą“.

Dlaczego poeta chciał, by mu na grobie postawiono kawiarnię, nie wiem, a i on sam zapewne nie wiedział. Była to niby jakaś parodia Manfredowskiego zniechęcenia, parodia śmieszna. Krytyka ówczesna, która, dodajmy nawiasem, bardzo gorliwie zajmowała się wszelkiego rodzaju utworami rymowanymi, surowo Bełzę skarciła za tę kawiarnię, dziwiąc się zarazem skąd takie zniechęcenie w młodym poecie. Nie było to jednak wcale zniechęcenie, tylko pozowanie na małego Bajronka.

W tymże roku 1868 ukazał się drugi zbiór poezyi Władysława Bełzy p. t. „Pieśni liryczne“. Wydał je swoim nakładem przyjaciel poety, Klin, także literat, o którym we właściwym miejscu obszerniej pomówimy. W zbiorze tym, obok zwykłych reminiscencyi romantycznych, obok westchnień i żalów rozlanych z powodu nieczułości czarnych i niebieskich oczów, znalazło się parę rzeczy ładniejszych, które robiły na nas wtedy pewne wrażenie. Do rzędu tych ostat-

nich należy wierszyk zatytułowany „Pieśń o koszuli“, który tu przytaczam w całości.

„W izbie mroźno, krzepną dłonie,
Słysząc głuchy szum zamieci,
Bładem światłem lampka płonie,
Bładą twarzą dziewczę świeci.
Coraz bardziej pierś ostyga,
Coraz słabiej serce bije,
W pilnych palcach igła miga,
I wciąż szyje... szyje... szyje...

Zorza luną tleje jasną,
Oną szyje do ostatka,
Tam, na niebie gwiazdy gasną,
Tu, na ziemi kona matka!

O! miej ufność matko biedna,
Pan Bóg wejrzy, lzy utuli!
Jeszcze tylko wstawka jedna,
W batystowej tej koszuli!

Ot, już praca niedaleka,
Mocy Bożej ufać trzeba!
Ja ci matko kupię mleka,
I białego kupię chleba!

Cicho... cicho... ani jęku,
Słońce wschodzi, pomrok kona,
Igła szybko miga w rękę,
I... koszula już skończona!

Oh! radości tu nie mało,
Aż weselsze serca bicie!
Ciszej mała!... słońce wstało,
Lecz zagasło matki życie!

Dwie męczeńskie, blade głowy,
Anioł śmierci cicho tuli...
Za tę powieść, batystowej
Pokłoniłem się koszuli!“

Wrażenie, jakie wywarł na nasze młode głowy ten wierszyk, w zestawieniu z „Fotografiami brukowemi“ Mirona, wskazuje, w jakim kierunku szły nasze aspiracye i jakie żywiliśmy tendencye.

Na Władysławie Bełzie, który zresztą w rok może potem wyjechał za granicę i więcej do kraju nie wrócił, kończyło się wiadome mi ówczesne współpracownictwo „Przeglądu tygodniowego“. Z kolei rzeczy należy mi teraz słówko powiedzieć o jego redaktorze naczelnym. Był nim pan Adam Wiślicki, Warszawiak rodem, syn Józefa, autora kilku powieści historycznych, jak „Pani Orzelska“, „Starosta Rabsztyński“, „Zborowscy“, oraz ciekawego opisu Królestwa, a właściwie tylko południowej jego części, w dwóch tomach z rycinami, dzieła dziś nader rzadkiego. Pochodził więc pan Adam z rodziny literackiej i artystycznej, gdyż brat jego Władysław, był muzykiem, cieszącym się pewnym rozgłosem. Przed wydawaniem „Przeglądu“, przyszły jego redaktor nie potrafił sobie wyrobić stanowiska zbyt wybitnego. Wiem, że pisywał do „Gazety warszawskiej“, do „Księgi świata“, że wogóle kierunek jego prac miał charakter więcej ekonomiczny niż literacki. Badacze sprawy włościańskiej u nas, znają jego broszurę, wyszłą w r. 1859 czy 1860, w której przemawiał za oczyszczaniem; niemniej w tym czasie redagował „Klejnoty poezyi polskiej“, które w kilku

poszytach wyszły nakładem Bernsteina, tłomaczył bardzo źle i nieudolnie geografę Pütza. Wszystko to jednak nie dawało mu żadnego stanowiska literackiego. Zdolności pisarskie miał nie wielkie, naukę jeszcze mniejszą; we wspomnianej geografii Pütza porobił błędy, dowodzące wysokiego nieuctwa; pisał ciężko, pracowicie, niekiedy w sposób zawily.

Mówił źle i gwarą warszawską, co świadczyło o zaniedbanej jego edukacji; wyrażał się nieinaczej tylko: „białemy sukniamy“, „kedy“ zamiast „kiedy“, „cuker“ nie „cukier“, a za to „kiepa“ i „gieś“. Tej wymowy złej i gminnej nie mógł się nigdy pozbyć. Kiedy w r. 1873, wśród ożywienia literackiego i społecznego, jakie przez chwilę zapanowało w naszym kraju, z inicjatywy „Opiekuna domowego“ powstał projekt wygłaszania odczytów dla rzemieślników, Wiślicki wziął w nich udział i miał prelekcję p. t. „Co rzemieślnicy mogą zrobić dla swoich dzieci?“. Odczyt był nie zły, ale wypowiedziany fatalnie, nie pod względem oratorskim, ale ze względu na tę gwarę gminną, jaką prelegent władał. Był jej tak dalece posłuszny, że wpadł w niesmaczną manierę warszawską zdrabniania rzeczowników. Na samym wstępie np. wygłosił takie zdanie: „Drobna *roślinka* postępuje sobie jak dobra matka. *Ziarczko*, które jest jej *dzieciędziem*, otula jak powijakiem w *łuszczynki*,

albo ściele mu miękkie *łóżeczko*, jak w owocu ba-
wełny“. W dwóch zdaniach aż pięć rzeczowni-
ków zdrobniałych, dowodzi, jak dalece Wiślicki
ulegał manierze mieszczaństwa warszawskiego,
któremu się zdaje, że tego rodzaju zdrabnianie
nadaje wdzięku i elegancyi mowie. Ale co wolno
majstrowym i kupcowym, to nie wolno literatowi.

W tym czasie, gdy Wiślicki począł wydawać
„Przegląd“, był to jeszcze młody człowiek, li-
czący około trzydziestu lat, bardzo przystojny
brunet, z prześliczną jedwabistą, czarną brodą.
Lubił pozować nieco i był nader zręczny i po-
mysłowy. Świadczy o tem „Przegląd“. Już
w pierwszym roku wydawnictwa, nie umiając
stworzyć programu, bo na to jego zasoby umy-
słowe nie wystarczały, doskonale jednak widział
niedostatki prasy warszawskiej i te błędy społeczne,
które ciężko mściły się na kraju. Uderzał
więc na nie śmiało, a przytem samo pismo re-
dagował dobrze i wlał w nie wiele życia i ru-
chliwości.

Że nie miał wyobrażenia jasnego o tem, ja-
kiej drogi się chwycić, co postawić na miejsce
programów dotychczasowych, pokazują pierwsze
roczniki „Przeglądu“, pokazują mówki, jakie wy-
głaszał do nowo-wstępujących współpracowników.
Sam pamiętam jedną taką mówkę, którą wypo-
wiedział z patosem, stojąc przede mną, mówkę,
trwającą dobrą godzinę, w której było mnóstwo

słów, mnóstwo szyderstw z dziennikarstwa warszawskiego, ale z której nic się nie dowiedziałem, czego „Przegląd“, a raczej jego redaktor chce i do czego dąży. Później dopiero pod wpływem młodzieży Szkoły Głównej, wyraźny i zdecydowany program się pojawił; nie jest więc on w żadnym razie zasługą Wiślickiego, co jednak bynajmniej nie ujmuje innym jego zasługom, a mianowicie temu, że umiał się szybko zorientować i chwycić, jak to mówią, byka za rogi, dosiąść go i pognać szalonym pędem naprzód, druzgocząc wszystko po drodze.

III.

Klin i jego „Szkice“. — Redakcja „Przeglądu tygodniowego“. — Edward Lubowski. — Zagasłe imiona. — Władysław Ordon i jego „Pusty dom“.

Nie odrazu jednak do tego przyszło. „Przegląd w pierwszych latach szedł bardzo kulawo, i podobno jedynie temu, że drukarz Jaworski, człowiek skądinąd bardzo dobry, czekał cierpliwie na należność za druk, zawdzięcza ówczesne swe istnienie. Wychodził w formacie niewielkim, z czterech zaledwie kartek złożonym, miejsca było mało i rozpisywać się o czemkolwiek bądź nie było gdzie. Redaktor dla wzmożenia strony finansowej wydawnictwa, to jest dla zyskania większej liczby prenumeratorów, uciekał się do rozmaitych sposobów, ale wszystko to niewiele pomagało. W r. 1868 zaczął nawet drukować skandaliczną powieść francuską Aureliana Scholla p. t. „Najnowsze tajemnice Paryża“ i to mu podobno zdwoiło liczbę prenumeratorów.

Liczba ta jednak nie musiała być znaczną, kiedy ciągle była bieda. Poczęła nawet wtedy obiegać wieść wśród sfer interesujących się dziennikarstwem, że redaktor „Przeglądu“ nie płaci wcale honoraryów; że w tym celu stara się o współpracownictwo młodych ludzi, którzy zachwyceni zaszczytem, że ich utwory są drukowane, mniej dbają o nagrody pieniężne. Oczywiście gdyby tak było, byłby to wyzysk niegodny; zdaje się jednak, że w tem oskarżeniu jest więcej przesady jak prawdy. Że „Przegląd“ za artykuły nie płacił dobrze, to nie ulega kwestyi, ale płacił. Stałą normą honorarium był grosz od wiersza, i wszystkich wstępujących do redakcyi p. Wiślicki uprzedzał, że więcej płacić nie może. Wolno więc było przyjąć lub nie, ale przyjąwszy nie wolno rzucać oszczerstw.

Zresztą sam redaktor „Przeglądu“ nie zaprzeczał temu, że źle płacił swych kollaboratorów. W kilka lat później, bo w r. 1871, w odezwie od redakcyi, zatytułowanej „Zakończenie“, powiada wyraźnie: „czas wyznać głośno wobec targających się rozpasionych na tłustych honoraryach powag, iż przez lat sześć „Przegląd“ istniał bezpłatnem współpracownictwem młodych autorów, bo prenumerata wystarczała zaledwie na pokrycie kosztów papieru i druku“. Jest to wyraźne i jasne, i ma ten ton szczerości, którego podejrzewać nie podobna. Jeżeli nie płacił lub pla-

cił źle, to dlatego, że nie miał; i tak też tę rzecz sądzili ówcześni współpracownicy.

Nieprzyjaciele jednak „Przeglądu” widzieli w tem wyzysk i wieść powyżej zaznaczona, była w tej dobie powszechną, owszem pojawił się teraz brzydki paszkwil na p. Wiślickiego, owoc niezdrowych stosunków, jakie panowały wówczas w prasie warszawskiej. Oto jak się rzecz miała:

Śród poczynających literatów tej epoki przejściowej, był także niejaki Kaliszewski, który z czasem wyrobił sobie pewne imię, pod pseudonimem „Klina”. Choć sam jeszcze młody człowiek, wywierał on jednak na nas młodszych od niego, pewne wrażenie swemi mowami i posępnym pesymizmem, z jakim się patrzył wogóle na ludzi, a w szczególności na swój kraj i swych rodaków. Całe społeczeństwo polskie było dlań gromadą głupców, zatechłych w przekonaniach średniowiecznych, kraj pustynią i barbarzyństwem. Te poglądy swoje wygłaszał on tonem spokojnym, chłodnym, z akcentem głębokiego przeświadczenia o ich prawdzie, z talentem pisarskim, którego mu nikt zaprzeczyć nie może. W jednym ze swoich „Szkiców”, zatytułowanym „Przed snem”, wydanym w r. 1883, ale napisanym w r. 1870, a więc w cztery lata od chwili, o której mówimy, Klin tak określa własną swą naturę:

„Nie wiem czy to właściwość natury mojego ducha, zawsze i we wszystkim dążącego do zupełnej swobody i pozbycia się wszelkich granic, nacisku, przepisów i t. p., czy też wprost lenistwo jego i karygodna swawola wyobraźni, czy wreszcie coś tam innego zawsze mię buntowało przeciwko tym powszechnym wymaganiom o zachowanie tego miłego dla ogółu, zadowolonego ze siebie, drzemającego, sytego spokoju i porządku a miary we wszystkim. Jak tylko i gdzie tylko mogłem go uniknąć, lub też miałem sposobność zrobić rodzaj manifestacyi przeciwko niemu, nigdy nie odmawiałem sobie tej przyjemności. Dlatego z prawdziwym, nieraz wewnętrznym zadowolaniem, słuchałem gniewów i oburzeń tych którzy nie mogli przyjść do ładu i uchwycić nici przewodniej w mojej rozmowie lub piśmie; ze złośliwą jakąś przyjemnością śledziłem niby ołowiane, które nazywali logicznem, ich rozumowanie, jakie ciężko wlokąc się z wysiłkiem, jakby przełaziło z jednego do drugiego pojęcia, a gdy to im się nie udawało, z uśmiechem wysłuchiwałem zżymań się ich, dziecięcych, dorywczych wyrokowań o braku związku, porządku w moich dowodzeniach i wreszcie zwykłą konkluzją, że to lub owo nic nie warte, nie godne uwagi i t. p. bo oni pojąć nie mogą. Dlatego też jeszcze, gdy mi brakło chęci i sposobności do publicznego występowania z tą przekornością mojego

ducha, drugą największą moją rozkoszą było wracać do siebie, zamykać się, puszczać myśl samopas i przechodząc z niej w marzenia, z marzeń w dziwaczne rojenia, kończyć nie wiedząc kiedy na głębokim śnie, w którym zakoszto- wywałem przyszłej, spotkać mnie mającej nic- ści...“

Ustęp ten wybornie cechuje charakter umysłowości Klina, tę prawdziwą Fredrowską „zrę- dność i przekorę“, która na nasze głowy młode, zapalone, wierzące w swe siły i w ich moc ro- dzajną, wielkie koniecznie wywierać wrażenie musiała. W tymże szkicu na innem miejscu, mi- mochodem zatraça Klin o swe poglądy na ustrój społeczny. „Tam — powiada — gdzie istnieje jedna wielka niesprawiedliwość, gdzie prawo mo- cniejszego i wieczysta walka o życie, stanowią jedyną akcyę, jeden straszliwy dramat istnienia, gdzie głęboko wejrzawszy w istotę rzeczy, w bo- lesnem przeczuciu woła poeta, że „głuche cier- piących jęki, śmiech ludzki nieszczery, są hy- menem tego świata!“; gdy drugi jeszcze trafniej powiada: *Himmel und Erde, und ihre webende Kräfte um mich her, ich sehe nichts als ein ewig verschlingendes, ewig wiederkarendes Ungeheuer!* tam ten ślepy, podły optymizm, płód niewolniczych, znikczemniałych dusz, pomiotu tej ludzkości, do- patruje i widzi samo dobro tylko, a nie mając odwagi, lub też nie odczuwając niesprawiedliwo-

ści, woli uznać konieczność tego stanu, niż powstać i walczyć, lub raz wreszcie jasno określiwszy sobie swoją zależność od przyrody, nie czcić jej w bałwochwalczym przestרחu!“

W duszy Klina, jakeśmy to zaznaczyli już wyżej, tkwił pesymizm gorzki i rozpaczliwe zniechęcenie. Oto jak mówi o nauce ludzkiej: „czy będziemy badać i wiedzieć, czy nie będziemy badać, stwierdzać, a także to samo wiedzieć, czy wreszcie wcale nie wiedzieć, wszystko to jedno, zawsze prawdy się nie dowiemy, o jakiej marzymy, bo tę, jaką posiadamy, jedyną, absolutną prawdę, że jesteśmy zerem, wielkiem, głupim zerem, niestety! za prawdę uznać się wzdragamy“.

Szkic ten po długich debatach nad nicością życia, tak kończy: „z kąta mojego pokoju doleciał mi do uszu odgłos chrapania psa, swobodnie wylegającego się na dywanie. Zbliżyłem się doń, popatrzyłem i uśmiechnąłem:

— Druhu! pudlu mój! nażarłeś się i śpisz snem sprawiedliwego... zwyciężyłeś kanalio!

Zgasilem lampę i położyłem się spać“.

Ustępy powyżej przytoczone dają charakterystykę dosadną Klina i jego usposobienia umysłowego. Ponieważ już był człowiekiem starszym nieco, ponieważ zdradzał niezwykły rozum i wykształcenie, ponieważ znał wybornie łacinę i zwiedził trochę Europy, a nadewszystko był w stosunku do nas bogatym, więc słowa jego, powta-

rzam, wywierały silne wrażenie. Chętnie doń chodziliśmy na ulicę Bednarską, gdzie miał dom, a właściwie dzierżawił go od swej rodziny. W dwóch pokojach mieszkał, z których jeden dość elegancko umeblowany, miał na ścianach zawieszane obrazy nagich kobiet, a w kącie białą posąg Wenery Kallipigi. Tutaj to przy papierosach, ubrany w pantofle tureckie i fez, Klin roztaczał przed nami swe poglądy pesymistyczne i melancholijne. Nie znając go, sądzić można było, że to człowiek wyziębiony, sybaryta i rozpustnik. Tymczasem była to najpoczciwsza, najlepsza, najserdeczniejsza dusza, ale zatruta jadem zwątpienia, jadem, którego miazmaty w tej smutnej dobie unosiły się niejako w powietrzu i trwały wszystkie serca lepsze, umysły podnioslejsze. Był to zresztą naturalny wynik wielkiego napięcia mięśni i nerwów, po którym koniecznie nastąpić musiało omdlenie. Trzeba było nie małego hartu ducha, by wśród niezdrowej drzemki, samemu nie zasnąć.

Bądź co bądź, Klin nie miał tego hartu i stał się pesymistą skrajnym. Począł on pisywać, tłómaczyć ody Horacego, i już nie wiem jaką drogą dostał się do „Przeglądu“. Ale nie długo tam popasał, a opuściwszy redakcyę, napisał na nią i na Wiślickiego paszkwil, który w żadnym razie autorowi zaszczytu nie przyniósł. Paszkwil ten pomieszczony został na czele maleńkiego ze-

szytu, zatytułowanego „Szkice“ (które były pierwszą tego rodzaju pracą autora) i nazywał się „Niedoszły literat, fotografia z życia antypodów“. Zeszyt ten ukazał się w r. 1868, mając motto charakterystyczne:

„Cóżkolwiek będzie, pójdę swoim torem,
Szydercom litość, śmiech litościwemu“.

Otóż w szkicu tym, opowiedziawszy swe wędrówki z jakimś rękopisem od redakcyi do redakcyi, skreśla historię zapoznania się z Wiślickim i zaproszenie tegoż, by przyszedł na sesyę redakcyjną. Oto jak opisuje tę sesyę:

„Otwieram drzwi do apartamentów, zajmowanych przez grzecznego redaktora. Salonik. Przy oknie biurko, a przy niem *sine qua non* koszyk na listy nadesłane, lecz nie nadające się do przewodniej myśli czasopisma. W kącie szafka z dziełami tylko co z druku wyszłemi, alem nie wszystkie tam dostrzegł. Na ścianie kolekcya rozmaitych fizysów (sic), a między nimi *micat inter omnes... velut inter stellas minores*, sobotwór gospodarza domu. W drugiej stronie pokoju stół prostokątny, na nim lampa, przy niej paczka papierów, na paczce dzwonek, a dokoła sześciu kollaboratorów, siódmy pan redaktor“.

Po tym opisie saloniku redaktorskiego, odmalowanego z topograficzną wiernością, idzie szki-

cowa charakterystyka rozpraw i takie, nie bez soli attyckiej napisane, zakończenie:

„Po dyspucie prezydujący podnosi się z fotelu, kroczy ku drzwiom, ogląda się, oblicza oczami ilość osób i zaraz potem pojawia się także liczba szklanek herbaty, z dodatkiem dwóch rogalików na osobę. Wreszcie mieszczą się tu napomknienia o groszowych honoraryach i o zupełnem ich nie płaceniu“.

Były to wszystko rzeczy drobne, małe, ostatecznie nie przynoszące ujmy Wiślickiemu, ale narażające go na śmieszność. Wszyscy przecież czytali „Szkice“ Klina i wszyscy odgadywali odrazu o kim mowa; któż zresztą nie przypominał sobie tego pokoju redaktorskiego, tak wiernie odfotografowanego przez Klina? Kto z młodych aspirantów literackich nie deptał nieznośnego bruku trzeciorzędnej uliczki, jaką było wtedy Nowolipie, kto nie zna domu oznaczonego Nr 10, schodów bocznych od podwórza, przedpokoju na pół ciemnego, który prawie zawsze sam redaktor z trzaskiem otwierał i nakoniec tego saloniku?

Miał on dwa okna wychodzące na ulicę. Przy jednym z nich, bokiem do światła zwrócone, stało biurko redaktora, o którym Klin wspomina, pełne wszelkiego rodzaju gracików, figurek porcelanowych, przycisków, pieczętek i t. p. ustawionych systematycznie i zdradzających

umysł drobiazgowy we właścicielu. Pod temże oknem, na odpowiednich schodkach zieleniło się mnóstwo starannie utrzymanych kwiatów, których redaktor „Przeglądu“ był wielkim amatorem. Zresztą wszystko było tak samo, jak opisał Klin w swych „Szkicach“, nawet wielka fotografia redaktora, wisząca na ścianie w pozie nieco pretensjonalnej, w rzeczy samej tam się znajdowała. W tym to saloniku przesiadywał na wielkim fotelu wolterowskim i przyjmował swych współpracowników p. Wiślicki. Zwykle panowała tu wielka cisza, czasem tylko z poza ściany, w której były drzwi, zawsze zamknięte i prowadzące do dalszego mieszkania, odzywał się słodki głosik kobiecy: „Adasiu!“ Wówczas Adaś się zrywał i przepraszając, znikał na chwilę...

W r. 1867, t. j. w drugim roku istnienia „Przeglądu“, krąg współpracowników znacznie się rozszerzył i wyraźnie przybrał charakter pewnej wyłączności. Chcę przez to powiedzieć, że należeli do niego z małym bardzo wyjątkiem, studenci Szkoły Głównej. Sam redaktor publicznie to później przyznawał, wołając w r. 1871, we wspomnianym już artykule p. t. „Zakończenie“: „wychowańcy b. Szkoły Głównej, czoło inteligencyi postępowej, waszej nauce, waszej pracy, „Przegląd“ zawdzięcza byt w najtrudniejszych chwilach“. W tymże zaś 1867 r. w artykule „Pro domo sua“ powiada, że utrzymanie pisma „wy-

maga dość obszerny krąg naszych młodych współpracowników, którym szpałty „Przeglądu“ stoją otworem i służą za jedyne pole wyrobienia się na literackiej niwie“, że „potrzeba organów, któreby się stały areną kształcenia przyszłej generacyi literackiej“. „Przegląd“ więc miał być i był w rzeczy samej rozsądnikiem przyszłych pisarzy polskich. Niezaprzeczenie jest to jego wielka zasługa.

Z pomiędzy starszych autorów, oprócz Makowieckiego, który od czasu do czasu zasilał „Przegląd“ swymi artykułami treści ekonomicznej, był tam jeszcze Edward Lubowski, który dał powiastkę p. t. „Co się stało w małym miasteczku“. Był to zresztą pisarz drobnego talentu, żadnej nauki, której nie nabył i później. Uderzał nas młodych swą fizygnomią oryginalną, twarzą bladą, wysokiem czołem i czupryną bujną, kręconą, pozostałość zapewne rasy, do której należał. Był podobny do Dumasa syna, oczywiście tylko... z tej czupryny; zwano go też wśród nas „Edward o mało nie-Dumas Lubowski“. Później zerwał on z „Przeglądem“ dla powodów, które opowiemy w miejscu właściwem, oraz dla burzy gazeciarskiej, którą zbudziwszy nieogłędnie, musiał wszystkie jej pioruny przyjmować na swą lichą głowę.

Wszyscy inni współpracownicy „Przeglądu“ byli ludzie młodzi, przeważnie studenci Szkoły

Głównej. Wyjątek od nich stanowił niejaki Franciszek Niedzielski, syn szewca podobno, który zajmował się naukami przyrodzonymi i który nie należał do Szkoły. Nizki, krępy, brunet, wyjechał później do Paryża i znikł, jak się zdaje, na zawsze z horyzontu literackiego. Jedno z tych nazwisk, których tyle, w tej dobie płodnej i rodzajnej się pojawiało, by potem zgasnąć na zawsze, nie mając w sobie wcale talentu twórczego. Do rzędu takich zagasłych imion należy także Henryk Elzenberg, student Szkoły Głównej, który przetłumaczywszy dzieło Monteskiusza „O przyczynach upadku państwa rzymskiego“, skończył na tem swoją karierę literacką i przerzucił się na chlebobojne pole adwokatury. Wprawdzie później brał udział w „Dzienniku łódzkim“, ale z literaturą właściwą wziął rozbrat. Nakoniec trzecią osobistością, która w tej dobie pisywała do „Przeglądu“ był Władysław Miłkowski. Ten osobliwszą poszedł drogą. Zacząwszy od pisma radykalnego, jakim bądź co bądź był „Przegląd“, skończył na ultrakonserwatyzmie, wyniósł się do Krakowa i założył tam księgarnię wraz z wydawnictwem dzieł katolickich!... Ludzie zmieniają przekonania, rzecz to wiadoma, ale żeby w młodości robić takie skoki, to jest o wiele rzadszem i zapewne na zaszczyt natury ludzkiej, jedynem...

Ale jeżeli wyżej wymienieni, wypadkiem tylko brali się do pisania, to zato inni, stawiając w „Przeglądzie“ pierwsze swe kroki, do końca życia pióra nie mieli porzucić. Do ich rzędu należał Władysław Ordon, student Szkoły Głównej z wydziału prawnego, który właśnie w tym roku począł drukować w „Przeglądzie“ pierwsze plody swej muzy poetycznej. Był to talent duży, męski, rzeźki, niestety! zmarnowany później. Zagasł on wcześniej dla literatury, a w ostatnich latach ten umysł niezwykły, zaćmił się zupełnie. Właściwie zwał się Szancer, a przybrawszy pseudonim Ordon (na pamiątkę Mickiewiczowskiej reduty), miał z tego powodu podobno jakieś zajścia z rodziną, noszącą to nazwisko. Był pochodzenia żydowskiego, ale nie miał w sobie szyderstwa i ironii, dwóch przymiotów tej rasy, tak wybitnie występujących w Heinem. Była to raczej dusza męska, zdrowa, choć smutna.

Postawa jego i fizyognomia, w niczem nie zdradzały poety. Mały, kusy, krępy, miał twarz z wyrazem baranim. Czoło w tył cofnięte, duży nos zagięty, usta zmysłowe, płeć piegowata, robiła go brzydkim, choć jak wieść niosła, miał szczęście u kobiet, i o licznych jego podbojach sercowych chodziły wśród sfer naszych bardzo zawiesziste anegdoty. Nosił się prosto i czupurnie. Był też w rzeczy samej czupurny, nadęty i wiele trzymający o swym talencie, o stanowi-

sku i posłannictwie poety. Ta czupurność Or-
dona, dała razu pewnego powód do zabawnego
zajścia, którego byłem świadkiem, gdyż należa-
łem do trójcy, jaką wraz z Ordonem, ja i Bełza
stanowiliśmy.

Pod owe czasy Ordon był korepetytorem do
dzieci u kapitana straży ogniowej Skowroń-
skiego, osobistości doskonale znanej całemu
miastu, lubianej powszechnie i nawet unieśmier-
telnionej w obrazie Brodowskiego, przedsta-
wającym jazdę strażaków do pożaru. Skowroński
był postacią marsową, typem żołnierskiej pię-
kności. Otóż, pewnego dnia, spotykam się z Or-
donem na dziedzińcu ratusza, jak wychodził
z mieszkania (bo tam kapitan Skowroński mie-
szkał), z miną okrutnie zafrasowaną. Powitał
mnie i powiada, z właściwą sobie powagą sztu-
czną, że cieszy się iż mnie spotkał, gdyż ma mnie
prosić o przysługę przyjacielską.

— O co idzie? — pytam.

— O to, żebyś chciał być moim sekundantem.

— Co? pojedynkujesz się?

— Tak!

— Z kim?

— Ze Skowrońskim.

Pomimo całej powagi, z jaką do mnie mówił
Ordon, śmiech mnie pusty ogarnał. Skowroński
był żołnierzem, Ordon — studentem; Skowroń-
ski ojcem rodziny, Ordon dwudziestoletnim

młokosem; tamten był mężczyzną wysokim, ten małym karłem; jednym słowem zestawienie było tak komiczne, że mi się śmiać chciało. Pytam się jednak o co ma być ten pojedynek i dowiaduje się w końcu, że przy jakimś sporze, Skowroński zgniewany powiedział Ordonowi: „smarkaczu!“ Obrażona miłość własna i duma poety umyśliła szukać zadośćuczynienia w pojedynku, którego niemożliwość przedstawiłem memu przyjacielowi, ale napróżno. Oczywiście do pojedynku nie przyszło, ale zdarzenie to charakteryzuje wybornie wysokie mniemanie o sobie Ordon i jego czupurność zabawną.

Jednakże poza tą śmiesznością jego natury, był to poeta prawdziwy, poeta z Bożej łaski. Niektóre utwory jego z tej doby, z doby pierwiastków twórczości, pozostaną nazawsze w literaturze i znawcom szczerą rozkosz duchową sprawiać będą. W roku 1868 wydrukował w „Przeglądzie“ przepyszny co do formy i głęboką melancholią przesiąknięty wiersz, p. t. „Pusty dom“, którym wszyscy się zachwycaliśmy. Wiersz ten napisany został w mojem mieszkaniu, na Podwalu, gdzie wówczas, wprost domu, w którym się dziś mieści cyrkuł policyjny, zajmowałem parę pokoików. Okoliczności temu towarzyszące, były następujące:

Pewnego dnia, w jesieni, wpada do mnie Ordon ogromnie zaaferowany i błaga mię na wszystko,

bym mu zechciał ustąpić na parę godzin mego mieszkania. Ma schadzkę z pewną damą (jego wyrażenie), musi się z nią widzieć, a przecież u Skowrońskiego przyjąć jej nie może. Nie miałem żadnej racji odmawiać mu tej drobnej przysługi, chętnie się więc na to zgodziłem i na całe popołudnie wyniosłem się z domu. Wieczorem wracam do siebie i zastaję Ordoną siedzącego przy stole pod oknem i piszącego zawzięcie. Tworzył on wtedy swój „Pusty dom“; w przepysznym zwrotkach zawarł melancholię miłosną:

Ulewą liście spadają jesienne,
W komnacie świerszcz się samotny odzywa,
Płaczliwą pieśnią wiecher wtór przygrywa,
Krople po dachu jakieś ciężkie, senne
Tętnią i szepcą głosy zmieszaniemi
Łzawe dobranoc konającej ziemi.

Jak pusto! ściany poczerniały smutnie,
Bezsenne łoże patrzy się ponuro,
Białe lewkonie, schylone pokutnie,
Proszą o słońce, a Tyś nakrył chmurą
Dom mój sierocy i język mi suchy
Do podniebienia przywarł, bólem głuchy.

Nie długo on jednak pisywał do „Przeglądu“ i w ogóle nie długo bawił w Warszawie. Wraz z Bełzą przyszło im coś do głowy, żeby wyjechać z kraju. Był to konający odblask tych przekonań, przed trzydziestu laty bardzo u nas rozpowszechnionych, że w kraju niema co robić.

Wyjechali więc obadwa i udali się w Poznańskie. Tu zaczęli się w redakcyi „Tygodnika Wielkopolskiego“, wydawanego przez pułkownika E. Calliera, jeździli po księstwie, głosili prelekcyę, w końcu wygnani przez Prusaków, osiedli we Lwowie. Tam Bełza się ożenił i mieszka do dzisiaj, a Ordon pisał jeszcze trochę poezyi, tłómaczył „Dekameron“ Boccacia, „Ahaswera“ Hamerlinga, wydał swój „Zbiorek poezyi“ i wreszcie dostał pomieszania zmysłów i dodziśdnia podobno wegetuje w zakładzie dla obłąkanych w Kulparkowie.

Cieniu i ruino poety! czy i tam, w szarej dziedzinie zamętu umysłowego, duch twój błąka się wśród melancholijnych i chmurnych przestrzeni?

IV.

Julian Ochorowicz.— Piotr Chmielowski.— Józef Kotarbiński. — Teodor Sęk. — Niektóre wydawnictwa „Przeglądu“.— „Pomoc własna“ Smilesa.— „Kuryer Warszawski“ i jego nowa redakcyja. — Wacław Szymanowski.

W tymże 1867 r. rozpoczął w „Przeglądzie“ swą niezmiernie żywą działalność litaracką, inny pisarz, który zczasem miał sobie zyskać wielki rozgłos. Chcę tu mówić o Julianie Ochorowiczu. Był on wtedy studentem, chodzącym na wydział fizyczno-matematyczny i miał wkrótce wsławić się przez otrzymanie złotego medalu za rozprawę „Jak należy badać duszę“. Syn inspektora instytutu nauczycieli elementarnych w Radzyminie, był wtedy młodym jeszcze chłopcem, o sympatycznej choć pospolitej twarzy. Zdolność to była niezwykła, talent pisarski wielki. Obok pociągu do ścisłych badań przyrodniczych, przeważnie jednak z dziedziny psychologii, był

to w gruncie rzeczy marzyciel poetyczny. Pisał poezye pod pseudonimem Juliana Mohorta.

Ale poeta był nieosobliwszy. Przeważała w nim refleksya i usiłowanie wcielenia w poezyę swych przekonań społecznych, które mogły mieć i zapewne miały swą poezyę, ale na ich oddanie w uroczej szacie natchnień poetyckich, trzeba było wielkiego talentu. Jako przykład niech posłuży następujący wiersz Ochorowicza, który zarazem może być uważany za wyznanie wiary stronnictwa literacko-społecznego, którego najlepszym reprezentantem był sam poeta. Wiersz ten powstał później, zdaje się w r. 1872, w chwili gdy walka pozytywistów (bo tak się już wtedy nazywali) z konserwatystami doszła do ostatnich granic zaciekłości. Wiersz ten nosi tytuł: „Na-przód“.

My chcemy walki, lecz nie tej krwawej,
Co świat zwierzęcym napełnia wrzaskiem,
Co w liczbie morderstw szuka swej sławy,
I krwawym dumna oklaskiem.
Nie tej, co pośród dzikiej zamieci,
Ogniem i mieczem burzy i straszy,
My chcemy walki, co kraj oświeci
Od piwnic aż do poddaszy.
Co kraj oświeci wiedzy światłością
I w której duchy nasze zmężnieją...
Chcemy los własną pokonać dłońią,
Walką, wśród której wodzem jest stałość,
Walką, wśród której praca jest bronią

A sprzymierzeńcem wytrwałość.
O! bo pieśń nasza, to nie ta łzawa,
Słodka melodia niebieskich ptaszyn...
C! bo pieśń nasza, to ludów wrzawa,
Huk młotów i turkot maszyn!
Nasza modlitwa, to nie to mgliste,
Tęskne za lepszym światem wzdychanie,
Nasza modlitwa, to wiekuiste,
Łączne miłości z wiedzą działanie;
To myśl co tętni w ludzkości sercu,
I nad znikome dzieje ulata,
To głos co w blizkim i w różnowiercu
Szuka człowieka, ducha i brata!

Nikt nie zaprzeczy, że wiersz jako poezya jest słaby, rymy nieudolne i często chowskie, ale swoją drogą robił on wrażenie, bo wypowiadał jasno i bez obślonek to, czego pragnęło stronnictwo pozytywistów. Ochorowicza duma i żądza sławy była tem polechtaną, bo człowieka tego trawiła namiętność sławy, rozgłosu. Był to jego jedyny bodaj cel życia, jaki sobie założył. Nic mu większej rokoszy sprawić nie mogło, jak to gdy o nim mówiono, gdy się nim zajmowano. Sam pamiętam jak w wiele lat później opowiadał, że przybywszy do biura policyjnego po paszport, na dźwięk swego nazwiska zbierał oznaki uszanowania. Mówiąc to, nie mógł powstrzymać wyrazu dumy i głębokiego zadowolenia wewnętrznego, jakim był przejęty. Innym razem znowu, gdy w r. 1873 z inicjatywy jego rozpo-

częły się prelekcye dla rzemieślników, o których już wyżej mówiliśmy, opowiadał, że szewc biorący mu miarę na buty, szewc dotąd całkiem mu nieznamy, wyrażał dlań swój zachwyt i pieniądze brać nie chciał. Ta wszystko pożerająca chęć sławy rozgłosu, popchnęła go z czasem na drogi badań hypnotycznych, nieraz nie wspólnego z nauką nie mających.

Bądź co bądź w tej dobie rokował wielkie nadzieje niezwykłą tęgością swej głowy, rzutkością swego umysłu, jego lotnością i talentem pisarskim. Pisał dobrze, wprawnie, gładko, z werwą i barwnością, zdradzającą pióro wytrawne, Bożą łaską obdarzone. Dla „Przeglądu“ był to nabytek cenny bardzo; szkoda tylko, że redaktor tego pisma nie zawsze umiał szanować tego rodzaju nabytki. Zobaczymy później, że zwykle źle się rozchodził z tymi wszystkimi, którzy mu, jak sam powiada, w ciężkich chwilach pomagali. Bądź co bądź w tym czasie miodowych miesięcy swego stosunku do „Przeglądu“, Ochorowicz pisał w nim wiele, pomieszczał rozprawki filozoficzne, studia, krytyki i nadawał ubogiemu pod tym względem pismu ten balast naukowy, który pozwala płynąć nawie dziennikarskiej spokojnie i rażno. W Ochorowiczu zresztą, w zakresie jego badań naukowych, widać było umysł trzeźwy, racjonalny, daleki od idealnych poglądów na rzeczy, które, jak wytarty liczman tłu-

kły się dotąd po łamach naszego dziennikarstwa. Zapowiadało się, że przyszły pozytywista zostanie naczelnikiem i słońcem nowego kierunku, który nie tyle miał naukowe ile społeczne u nas znaczenie. Ale w tej porze jeszcze o pozytywizmie nie mówiono... i sam „Przegląd“ jeszcze nie chrzcił tem mianem nowego programu.

Obok Ochorowicza pojawia się w tym roku w „Przeglądzie“ Piotr Chmielowski, który teraz student wydziału filologiczno-historycznego, z czasem miał się stać cenionym krytykiem literackim i znawcą piśmiennictwa ojczystego. W „Przeglądzie“ pisywał sprawozdania, tłómaczył powieści i rozprawy, a ciężkość stylu, pracującego z mazołem nim stworzył jako tako zaokrąglone zdanie, podobno pozostała mu na zawsze, co świadczy, że jest to pisarz, który sobie powiedział, że chce być autorem, że nie należy do tych, których popchnął do tego nieprzezwyyczajony popęd wewnętrzny.

Chmielowski niski, źle zbudowany, z głową dużą w stosunku do ciała i podługowatą (z tego powodu mówili dowcipnie, że jako pochodzący z rasy długogłowej, nie może mieć pretensyi do szlachectwa), blondyn ciemny, z twarzą koloru ziemistego, bladą i smutną, nie robił wrażenia przyjemnego i nie był osobistością sympatyczną. Głos miał przytem suchy, bezdźwięczny, apaty-

czny, obejście nieco szorstkie. Rodem był z Podola i co go zaniósło aż do Warszawy, nie wiem. W „Przeglądzie“ jednakże zrazu nie długo bawił; zaszły pomiędzy nim i redaktorem jakieś niesnaski, których bliżej nie znam i rozeszli się, jak mówiono, dość do siebie nawzajem zniechęceni. Rozdział ten jednak nie długo trwał i w roku następnym przy pośrednictwie osoby trzeciej, jak to obaczymy, Chmielowski znowu wszedł do „Przeglądu“, co tak jemu jak i piśmie ze wszech miar na dobre wyszło.

O wiele jednak lepszym krytykiem od Chmielowskiego, w tej porze przynajmniej, był inny młodzieniec, który z grona studentów Szkoły Głównej występuje na arenę dziennikarską. Miał on przytem widoczny, bijący w oczy talent pisarski, którego w Chmielowskim i dziś, gdy się cieszy wielką sławą, doszukać się trudno. Chcę tu mówić o Józefie Kotarbińskim, powszechnie zwanym w naszych kołach „Józkiem“. Rozpoczął on w „Przeglądzie“ swą karierę dziennikarską w r. 1867, od recenzji dramatu Władysława hr. Koziembrodzkiego p. t. „Po ślizkiej drodze“ i odtąd stale już należy do niego dział krytyki teatralnej. Było to tem naturalniejsze, że Kotarbiński miał stanowczy zamiar zostania aktorem, przeceniając może swe siły i zdolności w tym kierunku, tak że z czasem, zrobiwszy swoje, został najlepszym dziennikarzem między

aktorami i najlepszym aktorem między dziennikarzami. Jakkolwiekbaż, już w tym czasie gdy pisać począł w „Przeglądzie“, marzył o laurach Garricka, Talmy i Żółkowskiego. W teatrze był gościem codziennym i nieraz w kółku swych kolegów z zapalem deklamował całe ustępy z Szekspira, co oczywista rzecz admirowaliśmy, zapominając, że inna rzecz w izdebce studenckiej odtworzać kreacye poetyczne wielkiego dramaturga, a inna przed publicznością, na deskach scenicznych.

Był to zresztą bardzo sympatyczny i bardzo miły chłopiec. Zbudowany jak Antinous, choć trochę niezgrabny, o twarzy ładnej, otwartej, ożywionej, wyrazistej i rumianej, czarnych włosach i takichże oczach, mówił płynnie i dobrze. Zapowiadaliśmy mu, że będzie robił liczne podboje między płcią nadobną, co się podobno sprawdziło... Był przytem nadzwyczajnie roztagoniony, co dawało powód do częstych, w wysokim stopniu śmiesznych scen. Nieraz Kotarbiński szedł ulicą, machając swoim zwyczajem zawzięcie rękami, zamyślony i rozmawiając ze sobą. Ni stąd ni z owąd puszczał się pędem, przypomniawszy sobie jakiś pilny interes, by po kilkunastu krokach, zapominając o tym interesie, zatrzymać się i iść wolno i poważnie. Na prograbie jednego z kolegów tak się zapomniał, że szedł gwizdząc sobie jakąś wesołą aryjkę

z operetki, aż mu ktoś zwrócił uwagę temi słowami:

— Józiu, uważasz serce, na pogrzebach nie jest przyjęte żeby gwizdać.

Pisywał nadzwyczajnie nieczytelnie i pracowicie. Rękopisy jego były zawsze straszliwie pokreślane i pomazane. Początkowo styl miał zawily i niezwykle kwiecisty, tak że w ozdobach i dekoracyach ginęła częstokroć sama myśl. Była to zwykła wybujalność młodzieńca, której z czasem gdy się pozbył, stał się jednym z pierwszych stylistów polskich.

Na dowód tej wybujalności formy z doby pierwsin pisarskich Kotarbińskiego, przytoczymy tu pierwsze lepsze zdanie jego. „Córa uczucia (pisał r. 1872 w recenzji z Maryi Stuart Słowackiego), poezyi i wdzięku, wypieszczona na świetnych, kipiących życiem salonach królewskich we Francyi, inteligentna, utalentowana, błyszcząca w towarzystwie poetów i uczonych, dziwną ironią losu wstępuje na ślizką ścieżkę władzy królewskiej, podmywanej prądem rewolucyi religijno-państwowej, staje obca i nieznana wśród zgrai butnych magnatów, wśród tłumów ludu nurtowanego prądami fanatyzmu, będąc naturalną opiekunką i obrończelką tego, co właśnie w kraju jest najbardziej nienawidzonym“.

Chcąc to zdanie sążniste, nastroszone kwiat-

kami retoryki, przeczytać jednym tchem, trzeba się chyba udusić.

Kotarbiński trzymał się stale i długo „Przeglądu“ i sam Wiślicki nieraz mówił, że żywi dlań wiele przyjaźni, albowiem gdy inni „Przegląd“ opuszczali, on mu zawsze wiernym pozostał. Miał charakter spokojny, w stosunkach życiowych mało zapalny i równy, i starannie unikał obruszenia kogokolwiek na siebie. Nawet w czasach późniejszych, w chwili najgorętszej walki dwóch obozów literackich, Kotarbiński ani w jednym, ani w drugim nie miał nieprzyjaciół. Trzeba było na to niemałej zręczności i „Józio“ taką zręczność posiadał, co oczywiście w życiu jest bardzo pożytecznem i korzystnem.

Oprócz tych trzech pisarzów, którzy z czasem mieli rozślawić swe imię, „Przegląd“ w drugim roku istnienia nie miał nikogo więcej ze Szkoły Głównej, jeżeli pominiemy współpracownictwo dorywcze i chwilowe paru innych, o którem wspominać nie warto. Pisywał także w tym roku poezye niejaki Teodor Sęk (pseudonim, właściwe nazwisko Sęczkowski), osobistość, która z czasem znikła z literatury, by w kilkanaście lat znowu się pojawić. Pamiętam go tylko jak przez mgłę; niski, biedny, czarny, z głową dużą i wiecznie rozczochraną, w niebieskich okularach. Poezye jego, acz zdradzające talent, pełne były zamętu chaotycznego. W „Przeglądzie“ pomieścił poe-

macik „Wlaził na gruszkę“, który miał być satyrą, a poprostu nie miał sensu. W parę lat potem (w r. 1868) wydał osobno „poemat dziejowy“ (sic) p. t. „Zwierzęta“, pełen krwawych, okropnych, częstokroć wstrętnych obrazów. Jest tam np. taki ustęp:

Cóż to znowu za nędzarze,
Co oblegli cmentarze,
Tak się kulą w łachmany,
Trądem twarz ich oblana,
Pierś wrzodami kosmata,
Robak toczy ich rany,
Włos się brudny w nie wplata,
A gdy słońce dogrzeje,
Ropa w klej się rozleje,
Gałgan z ciałem pozlepia,
Aż ją noc znów ostudzi,
Oczy, uszy zasklepia,
Tylko gardziel przekleństwa
Pozostawia otwarty,
I z tych biednych pół-ludzi,
Tworzy straszne pół-czarty.

Nie jest to ani piękne, ani realistyczne, tylko poprostu obrzydliwe. Dlaczego ten poemat zwał się „dziejowym“, objaśnić nie umiem.

W r. 1871 Teodor Sęk wydał drugi poemat p. t. „Bitwa“, w którym podobno zamierzał opisać bój pod Gravelotte, którego siedząc w Warszawie, widzieć nie mógł. Rzecz jest w ogólności słaba i zdradzająca szczególne rozmiłowa-

nie się poety w obrazach okropnych. Są tu straszne sceny, namalowane jaskrawo; wszyscy się mordują tak zawzięcie, że tylko trupy widać i krew płynącą dokoła...

Już w drugim roku wychodzenia „Przeglądu“, jego redaktor zajął się wydawnictwem różnych książek, dając pierwszy impuls do tego ogromnie ożywionego ruchu edytorskiego, jaki w kilka lat później w Warszawie zajaśniał. Wiślicki zrozumiał to dobrze, iż tylko dobrze pomyślane wydawnictwa mogą z jednej strony zachęcić do czytania, z drugiej zapewnić materyalne zyski wydawcy. Rzucił się więc na to pole śmiało. Właściwie mówiąc inwencyi pod tym względem posiadał on nie wiele. To co robił, robił zawsze naśladowując zagranicę, ale wśród ospałości powszechnej na tem polu, było i to zasługą, że umiał i chciał kogoś naśladować. Za przykładem Francuzów począł wydawać „Biblioteczkę kolei żelaznych“, w broszurkach małych i tanich, zawierającą przeważnie powieści. Drukował tu nowelę T. T. Jeża p. t. „Mąż z rezerwy“; potem zrobił odbitkę z „Przeglądu“ powiastki E. Lubowskiego „Co się stało w małym miasteczku“. Wł. Sabowski dał swą „Iglę i pióro“, powiastkę ze świata urzędniczego, Anczyc „Meszty Abu-Kazema“, komedyjkę dla dzieci i t. p. Ale „Biblioteczka“ ta wlokąc się przez kilka lat z rzędu, nie przynosiła zdaje się wydawcy żadnych zy-

sków, a przynajmniej bardzo małe. Wpadł więc na szczęśliwy pomysł wydania sławnej w całym świecie „Pomocy własnej“ (Self-help) Samuela Smilesa. Dzieło to w sam raz zgadzało się swą tendencją z kierunkiem jaki propagował dotąd „Przegląd“. Zalecało ono liczenie tylko na własne siły, trzeźwość, rachunkowość, pracę cichą; w szeregu przykładów, wziętych z życia ludzi różnych narodowości i różnych epok, przedstawiało obraz, jak dzięki pracy, oszczędności, zapobiegliwości, najbiedniejsi ludzie dochodzili do majątku i znaczenia. Było to dzieło na wskroś materyalistyczne; jako ideał i cel życia stawiało do pewnego stopnia robienie majątku, ale w społeczeństwie biednym, rozbitym, zniszczonem materyalnie, a mimo to „seraficznie rozskrzydlonem“, jak powiada Słowacki, taki całkiem odwrotny program mógł wywołać reakcję zbawienną. A przytem, czyż jest jaki człowiek na świecie, któryby nie chciał zrobić fortuny, dającej niezależność, swobodę, siłę i pewność siebie? To też wydawnictwo „Pomocy własnej“ miało zupełne powodzenie. Przekładu, oraz uzupełnienia książki przez dodanie życiorysów polskich, dokonali ówcześni współpracownicy „Przeglądu“, jak Kraushaar, Kirszrot, Skiba i inni. Pierwsze wydanie w r. 1867, rozeszło się w ciągu roku, przynosząc stosunkowo znaczne zyski (po-

dobno 1,500 rs.) wydawcy i dając mu poprostu możliwość dalszego egzystowania.

Z następnym 1868 rokiem, „Przegląd Tygodniowy“, z którym dotychczas nikt nie walczył, bo szczerze mówiąc walczyć o co nie było, ujrzał naprzeciw siebie nie tyle groźnego, ile zjadłego i upartego przeciwnika. Dotąd prasa warszawska spoglądała na „Przegląd“ z ukosa, nie podobała jej się jego śmiałość, zuchwalstwo, czupurność, nie podobało się mieszanie do wszystkiego, ale i na tem był koniec. Milczano o nim, bo zresztą wszyscy o sobie wzajem milczeli, gdyż oddawna w prasie tej przyjął się brzydki, kupiecki zwyczaj zachowywania głębokiej cichości o innych pismach. Celem tego milczenia było to, żeby czytelnik nie dowiedział się, iż poza gazetą, którą prenumeruje, istnieją jeszcze jakieś inne, i żeby go czasem ochota nie wzięła przekonania się, co też to są za pisma. Jak dalece było to śmiesznem, małym, niepięknem, handlarskiem, nie potrzebujemy mówić, ale było to prostem następstwem tego, że na czele ówczesnej prasy nie stali prawdziwi literaci z wykształceniem wyższem i z poglądem szerszym na zadanie w ogóle dziennikarstwa. Tam zatem, gdzie ludzie skrojeni byli na miarę krawca nie Fidyasa, dzieła ich były podobne do kurtki kantarowicza, ale nie do togi mistrza...

O „Przeglądzie“ zaś tem chętniej milczano, że bądź co bądź wprowadzał on pewną wrzawę, pewien dysonans w smaczne chrapanie ówczesnych koryfeuszów literackich. Ale teraz miało się to skończyć, miały się rozpocząć pierwsze strzały tyralierskie walki długiej, bo kilka lat trwającej, walki, która w zakresie literackim pozostała podziśdzień nierozstrzygniętą, choć w dziedzinie przekonań społecznych płodną w następstwa była niezmiernie. Tym przeciwnikiem, który śmiało rzucił „Przeglądowi“ rękawicę, był „Kuryer Warszawski“.

Jak wiadomo, pisemko to o charakterze czysto brukowym, założone niegdyś (jeżeli się nie mylę) przez Brunona hr. Kicińskiego, prowadzone następnie przez Dmuszewskiego, w połowie bieżącego wieku redagowane było przez Karola Kucza. Nie miało ono dotąd żadnych pretensyi do powagi; zajmowało się plotkami miejskimi, weselami, chrzcinami i pogrzebami sławetnych „obywateli“ warszawskich, wszystkich chwaliło, panegiryki im pisało i żyło sobie bardzo skromnie i szczęśliwie. Gdy jednak Kucz, który całe miasto znał i nawzajem wszyscy go znali, zmuszony był z przyczyn od siebie niezależnych redakcyę opuścić, „Kuryer“ po nim prowadzili różni, jak: Heppen, Zaborowski, Stanisław Bogusławski, Odyniec. Na nieszczęście szło z dziennikiem coraz gorzej. W r. 1865 Kucz

wrócił do kraju i założył nowe pismo p. t. „Kuryer Codzienny“. Wszyscy się teraz do niego rzucili i stary, dawny „Kuryer Warszawski“ zawisł nad przepaścią.

W takim położeniu właścicielka „Kuryera“ pani Zabłocka, z domu Dmuszewska, zwróciła się do wytrawnego dziennikarza, choć pojmującego zadanie pisma bardzo ciasno, Heppena, i zaproponowała mu, by „Kuryer“ wziął, robił z nim co zechce, byle go tylko utrzymał przy życiu. Działo się to w r. 1867. Heppen nie był od tego, ale przeląkł się wydatków i nakładu znacznego, jaki trzeba było uczynić, co tem mogło być dla niego niebezpieczniejszem, że sam nie był bogaty. Udał się więc do Wacława Szymanowskiego z propozycją, czyby nie zechciał do spółki należeć. Szymanowski się na to zgodził, ale po naradzie postanowili koniecznie wyszukać jakiego zamożnego człowieka na wydawcę, którego wreszcie znaleźli w osobie księgarza Gustawa Gebethnera.

Objęli więc „Kuryer“ w styczniu 1868 r. i zaraz o tem uwiadomili czytelników, dodając, że Szymanowski będzie redaktorem, do redakcyi zaś należy: Jan Chęciński, znany poeta i aktor, Julian Heppen i poeta Miron. Pod wytrawną ręką Szymanowskiego odrazu pismo przybrało inny ton. Pojawiły się w nim przeglądy teatralne i do tego krytyczne, pojawiły recenzye

literackie, powiastki, poezye. Znać było duże ożywienie, ale zabawną, śmieszoną chęć pozowania na organ poważny. Ton w piśmie był dyktatorski i majestatyczny; mówiono o sobie „my“ i nie przypuszczano nawet możliwości, by ktoś się na świecie znalazł, coby wątpił w mądrość redakcyi „Kuryera“. Ale robiło to wszystko pewne wrażenie i zdradzało ogromną znajomość w redaktorze publiczności warszawskiej i w ogólności publiczności polskiej, której bardzo łatwo zaimponować, zwłaszcza jeżeli się kto do tego bierze śmiało i zuchwale.

Na tej śmiałości i zuchwalstwie Szymanowskiemu nie brakło. Był to pod pewnym względem dziennikarz niepospolity, zręczny, sprytny, umiejący grać na wszystkich strunach słabostek ludzkich. Jako pisarz, jako literat, był to talent drugorzędny i w tej dobie całkiem już wyczerpany. Rymopis gładki, z zacięciem satyrycznem, dramaturg deklamacyjny, fejletonista nudny, oto Szymanowski. Ale dziennikarz był jedyny. Dawniej pracował przy „Kronice“ Henryka Rzewuskiego, o którym lubiał opowiadać tysiące anegdotek, potem został urzędowym fejletonistą „Tygodnika ilustrowanego“, ale oczywiście oddawna wyczerpany, pisał już fejletony nadzwyczaj słabe i wodniste.

Był to typ w swoim rodzaju. Nizki, gruby, pękaty, zachował w swej fizyognomii wszystkie

cechy rasy, do której z krwi należał. Był brzydki, choć sympatyczny. Głowę miał okrągłą, krótko strzyżoną, o włosach kędzierzawych i rudych. Zarost maleńki, skołtunowany i także rudawy. Oczy małe, głęboko zapadłe, świeciły sprytem. Całość przypominająca Barabasa lub Judasa Iskaryotę, na starych obrazach holenderskich. Mówił przyjemnie, choć „r“ gardłowo wymawiał i co chwila powtarzał zdanie: „pojmujesz pan“, które powoli od niego nabyli jego współpracownicy. Czytał dużo, więcej jeszcze odgadywał, ale nie miał wyższego ukształcenia literackiego. Za to zgodnie ze swem pochodzeniem był arogant i pelen pychy. Opowiadano, że gdy w ośmdziesiątym którymś roku odwiedził Lwów, gdzie go tamtejsi literaci z owacyami przyjmowali, tak się zachowywał, że mu w końcu podrzuciono do łóżki w teatrze następujący dwuwiersz:

Z grzeczności znani Francuzi, z arogancyi Żydzi;
Ześ nie Francuz mój Wacku, każdy dobrze widzi.

Były to drobne wady, które okupywał niezwykłym, niepospolitym talentem dziennikarskim. On pierwszy, i jak dotąd jedyne, postawił pismo polskie tak, że liczyło kilkanaście tysięcy abonentów. Umiał dziennikiem swym zainteresować wszystkich i był wszędzie, a wszędzie pierwszym i najlepiej poinformowanym. Utworzył i wykształcił całą szkołę reporterską, której

dotąd nie było, to prawda, ale obok niej nie było także tego proletaryatu dziennikarskiego, jaki się odtąd pojawia, istotnego proletaryatu tak pod względem materyalnym, jak moralnym i umysłowym. Sam Szymanowski lubiał chodzić po mieście, otoczony gronem młodych swych współpracowników. Bo i on, podobnie jak Wiślicki, ściągał do siebie młodzież i na niej się głównie opierał. Wprawdzie ze szkoły Wiślickiego wyszło kilku znakomitych pisarzy, którzy na zawsze w literaturze polskiej zostaną, ze szkoły Szymanowskiego ani jeden. Umiał nimi tak owładnać, tak ich nagiąć do wymagań kuryerowych, że zrobił z nich tylko reporterów, nic więcej. Natchnął on ich swemi widzeniami, potrafił przekonać, że „Kuryer Warszawski“ to całe dziennikarstwo, cała literatura, ba! cała Polska nawet! Niem i w niem żyli, dla niego wszystko gotowi byli zrobić. Wszędzie było ich pełno, wszędzie dawali znać o sobie i o swym „Kuryerze“.

Stąd wpływ Szymanowskiego i jego znaczenie w tej epoce jest ogromne i pomijanym być on nie może. On i Wiślicki, to dwa wytyczne punkta tej doby, dwa bogi na swych słońcach stojące, że sparafrazuję Słowackiego, choć ani jeden ani drugi do boga olimpijskiego nie był podobny. Ale oni streszczają w sobie wszystkie prądy chwili i są widomymi jej przedstawicielami

Gdyby Szymanowski nie był wszedł do „Kuryera Warszawskiego“, walka z „Przeglądem“ prawdopodobnie nie byłaby się rozpalila, a przynajmniej nie byłaby przyjęła tak szerokich rozmiarów i charakteru takiej zaciekłości. Nie ulega wątpliwości, że grała w tem wszystkim wielką rolę osobista niechęć i nienawiść do siebie obu tych panów, ale bądź co bądź, poza tą prywatą, zabarwiającą samą walkę i nadającą jej niezwykle cechy rozdrażnienia, Szymanowski i Wiślicki reprezentują dwa kierunki, ścierające się ze sobą w prasie, literaturze i życiu. Mniejsza z tem, że prawdopodobnie obaj nie bardzo wierzyli w to, o co walczyli, gdyż obu szło w gruncie rzeczy tylko o interesa materyalne, ale udawali że wierzą i zostali sztandarami innych ludzi, młodych, zapalonych, którzy rzucili się w wir boju na złamanie karku i nadali tej walce cechę wysoce doniosłą dla przyszłości kraju.

V.

Władysław Bogusławski. — Kazimierz Łuniewski — Polemika w „Kuryerze“. — Walka z „Przeglądem Tygodniowym“. — Walery Przyborowski. — „Hinda“ i recenzja Łuniewskiego. — Artykuł „Nule“ i jego następstwa.

Jakem już wspomniał, Szymanowski umiał ściągać i przywiązywać do „Kuryera“ młodych ludzi, na których ogromny wpływ wywierał. Że ten wpływ był raczej szkodliwy niż dobry, zaznaczyłem to poprzednio. Charakterystyczną cechą tych młodych współpracowników „Kuryera“, było to przekonanie, że są znakomici, wielcy, nieporównani pisarze, że oni są literaturą i że poza nimi niema, nie może być literatury. Nosili się dumnie jak indyki, górnio mówili i o wszystkim i wszystkich wyrażali się z lekceważeniem. Przy takim przekonaniu, które w nich wpajał Szymanowski i cała atmosfera, panująca w „Kuryerze“, jeżeli były jakie zdolności (a niektórzy mieli je rzeczywiście), to zostały zmar-

nowane na nic, lub jeżeli żyją jeszcze, to żyją sławą sztuczną, odblaskiem przeszłości.

Przy tym napływie młodych sił do „Kuryera“, wśród których Szymanowski królował, napawając się kadzidłem pochwał młodych kuryerowiczów, starsi powoli poczęli się usuwać. Już w rok po objęciu przez Szymanowskiego redakcyi, Heppen ustępuje, później ustępuje Gautier, usuwa się i Chęciński. Natomiast pojawiają się tam nowe siły; ukazuje się więc pan Władysław Bogusławski, żyjący pożyczaną sławą swego wielkiego dziada, drukuje zrazu bezsensową nowellę p. t. „Historya parasola“, potem pisuje długie i nudne sprawozdania teatralne, w których więcej było arogancyi niż znajomości rzeczy. Z twarzą podługowatą, olbrzymim nosem, podobny w ogólności do świętego malowanego na bizantyńskich obrazach, odrazu zostaje wielkim, znakomitym, nieporównanym, dla tego, że pisuje w „Kuryerze“. Wprawdzie pan ten nic wielkiego, ani znakomitego nawet przez ciąg dwudziestu kilku lat nie napisał, ale cóż to znaczy? Uchodził i uchodzi za wybornego znawcę teatru i za świetnego stylistę, dlatego, że kreśli frazesa okrągłe, gładkie, zwykle co do treści bardzo wodniste. Na potwierdzenie tego zdania przytoczę tu ustęp z jednej z jego krytyk teatralnych, pomieszonych w „Kuryerze“ w r. 1872:

„... Komu nie jest dany wyższy dar śledzenia męskim, głębokim duchem za drogami sprawiedliwości w pośród zawikłania wypadków, kto nie potrafi moralnem przecuciem i zdrowym rozsądkiem wymierzyć stosunku winy do wielkości ofiary pokutnej, ten nie jest dramaturgiem, kto przenikajacem spojrzeniem nie jest w stanie wykryć w najskrytszych głębiach serca pobudek do działania, aby je następnie ręką mistrzowską przyoblec w formę plastyczną i pojedyncze członki spoić w żyjący organizm. Kto nie ma siły twórczej kreślenia potężnie potężnych namiętności, ten nie jest dramaturgiem!”

Co za patos, ile tu słów pustych i szumno-brzmiących, a jak nie wiele myśli, jak w ogóle niema żadnej myśli. Te długie, bombastyczne okresy redukują się do tego, że kto nie ma talentu, nie powinien pisać dramatów. Stara to prawda, ale pan Bogusławski zawsze tylko powtarzał stare prawdy, strojąc je w patos i w mnóstwo rozczochranych frazesów, które stawały się tym śmieszniejszymi, że czytać je miała szewcowa lub krawcowa, co najmniej kupcowa, główny stanowiące kontyngens abonentów „Kuryera”. Wszystko to jednak nie przeszkadzało panu Bogusławskiemu uchodzić za znakomitość partykularza dziennikarskiego w Warszawie.

Obok niego, zaraz w pierwszych latach istnie-

nia nowej redakcyi „Kuryera“, występuje i robi dużo wrzawy koło siebie Kazimierz Łuniewski, student Szkoły Głównej z wydziału prawnego. Był to człowiek bardzo zdolny, choć wyższego talentu literackiego nie posiadał, a jedyna jego nowella kryminalna, której tytułu już nie pamiętam, zdradzała pióro gładkie, wprawne, niezdolne do popełniania krzyczących błędów literackich, ale też poza mierność nie wychodzące. Oczytany był bardzo i bodaj czy nie najwięcej umiał ze wszystkich współpracowników w „Kuryerze“. Pisał o wszystkim o czem trzeba było; krytyki literackie, sprawozdania sądowe, fejetony niedzielne, słowem *de omnibus rebus et quibusdam aliis*. W ogólności, była to siła nader pożądana w dzienniku.

Na nieszczęście, Łuniewski zaraził się zarozumiałością „Kuryera“. Chodził napuszony jak paw, co tym zabawniejsze było, że cała jego postać robiła wrażenie karykatury. Gruby, pękaty, z cerą niezdrową, jakby nalaną, zawsze brudny, był w dodatku brzydkim przez to, że patrzył zezem. Jadł za dziesięciu i głośnem było w zakulisowych anegdotkach literackich Warszawy w swoim czasie, jego znalezienie się na recepcyi u jednej z „wieszczek“. Na tych recepcyach, o których później, we właściwem miejscu wspomnę, częstowano gości t. z. „tartynkami“, t. j. rodzajem przekąsek wszelkiego ro-

dzaju. Otóż, pewnego pięknego wieczoru, gdy wszyscy zgromadzeni goście w zachwycie słuchali odczytywanego poematu o Wandzie i Ryttygierze, Łuniewski wysunął się z sali, spenetrował gdzie się znajdują przygotowane „tartyunki“, zjadł je co do jednej i cichaczem się wyniósł. Można sobie wyobrazić jakie wrażenie na gospodyni domu, bujającej w mglistych dziejach Wandy i Ryttygięra, zrobiła wieść, że tartynek niema! niema tartynek! Czy cała ta historia jest autentyczną nie wiem; powtarzam to, o czem powszechnie wtedy mówiono.

Tak mało znana osobistość poza kołem swych kolegów, jak Łuniewski, odważył się jednak na wystąpienie z prelekcją publiczną. W owe czasy (w r. 1872) Towarzystwo Dobroczynności dla zasilenia swych funduszów urządziło rzeczone prelekcye, ale ponieważ przeważnie tego rodzaju literaci jak Łuniewski występowali, nie przyniosły one zapewne wielkich korzyści biednym. Łuniewski mówił o Alfredzie de Musset, a zarazem dał przez swe postępowanie poznać arogancyę współpracowników „Kuryera“. Na prelekcycę się spóźnił; wpadł na katedrę zadyszany i zmęczony, manifestując przez to jak literaci z „Kuryera“ są zajęci i jak mało mają czasu. Pamiętam, że rozpoczął od słów: „są chwile w życiu ludzkim...“, co wywołało tłumiony

śmiej w audytorjum. Osób było zaledwie ze sześćdziesiąt.

Człowiek ten, który mógł się wyrobić na wyborczego dziennikarza, zmarnował się zupełnie. Przesiedziawszy kilka lat w „Kuryerze“, wyniósł się w końcu z Warszawy, i jak wieść niesie, zmarł na posadzie . . . pisarza u wójta, gdzieś w Kaliskiem. Karyera co prawda nie do pozazdroszczenia.

Ale wszystkiemu temu winną była wyczerpująca atmosfera „Kuryera“. Psuła ona ludzi, psuła im styl, niszczyła wszelkie wyższe aspiracje literackie. Panowała tam przesada w formie, zawsze niezgodna z treścią, co oczywiście źle oddziaływało na wyrobienie się literackie młodych ludzi, a przytem wyglądało komicznie. Słońce w tym czasie w Kuryerze, nazywa się „rozpromienionym dyamentem Bożego pierścienia“; reporter „sylfem redakcyjnym“; Warszawa „syrenim grodem“ i t. d. Któryś ze współpracowników, oznaczający się stale w „Kuryerze“ literą *q*, tak np. opisuje koniec maja:

„ wczoraj, gdy na niebios zegarze obojętny Saturn wydzwonił północ, bez skargi i żalu pożegnał tę ziemię w wieku dni trzydziści jeden, piąty i najpiękniejszy syn roku: maj. Śmierć tego miesiąca czarów, pieśni, blasków i woni, zasmuciła wszystkich, którzy jeszcze ko-

chają i tęsknią, i na grób jego opadły kwiaty, pierwiastki bzu i konwalii i kilka gniazd“

Spotykają się tam niekiedy takie, w najwyższym stopniu niesmaczne zdania: „zaczepiwszy noskiem ... stalówki o teatr, donosimy ...“ albo: „słońce tak w tym roku kapryśne, powstało ze snu widocznie nie lewą nogą, gdyż przez cały dzień uśmiechało się wesoło i rozkosznie“.

Była to przesada niewłaściwa, przenośnie nie-
trafne i ordynaryjne, i Szymanowski zamiast zalecania swym młodym współpracownikom prostoty w stylu i porównaniach, tolerował, owszem zachęcał do tego rodzaju pisania, w najwyższym stopniu zgubnego dla młodych autorów. Ale tak jak styl, wszystko w nich było nadęte. Wszędzie oni się znajdować musieli, wszędzie pierwsze miejsce zajmowali, jakby im się to z prawa należało. Podczas kiedy na recepcjach literackich u Deotymy, później u hr. Kossakowskiego i u innych, nie bywał ani jeden ze współpracowników „Przeglądu“, tych przyszłych gwiazd literackich, reporterzy „Kuryera“ stale się tam pojawiali i pierwszorzędną rolę odgrywali, jako świeczniki, jako słońca horyzontu literackiego Warszawy, słońca, o których dziś nikt nie wie i które kończyły swą karierę na posadzie Zołzikiewiczów ...

Obok tego „Kuryer“, wraz z nową redakcją, przybrał ton polemiczny i zaczepny; tylko że ta

polemika, niestety! zawsze toczyła się o interesa materyalne, albo o interesa osobiste, nigdy zaś o sprawy ogólnej natury. Ponieważ „Kuryer Codzienny“ był współzawodnikiem i do tego współzawodnikiem niebezpiecznym, więc przedewszystkiem na niego zostały wymierzone pierwsze ciosy. Oczywiście, z natury już obu pism, walka ta musiała się ograniczać do małych rzeczy, do drobiazgów, do poprawki jakiejś wiadomości błędnej, jakiejś plotki reporterskiej. Więc z namaszczeniem, co wystąpieniu takiemu tem komiczniejszy nadawało charakter, „Kuryer Warszawski“ gromi swego współzawodnika za „bezczelną“, jak mówi, uzurpację, jakoby on pierwszy zaczął u siebie podawać afisze teatralne. Nie on, ale „myśmy wprowadzili tę innowację dla dogodności publicznej“, nie on, ale „my daliśmy inicjatywę tej ważnej sprawie“. Tym tonem podniosłem, poważnym, jak gdyby szło o kwestye najdonioślejsze, „Kuryer Warszawski“ walczy z „Kuryerem Codziennym“ o afisze, lub o wynalazek ochrony od nagmiotków. Polemika ta zresztą jest podjazdowa, ale ciągnęła...

Z „Przeglądem Tygodniowym“ miała się cna także rychło rozpocząć. Przyznać trzeba, że pierwszy strzał padł z reduty placu Teatralnego (tam się bowiem mieściła redakcja „Kuryera“). Już w Nr. 56 „Kuryer“ zgromił surowo „Prze-

gląd“, mieszając do tego zgromienia sporą dozę szyderstwa. „Barwa polemiczna i zaczepiająca, pisze „Kuryer“, zdaje się być spełnieniem wyższej idei pisma“; utrzymuje, że Wiślicki zaleca czytanie brudnych powieści Pawła Kocka, że wydaje „Najnowsze tajemnice Paryża“, że drukuje u siebie kroniki kryminalne, które bardzo źle oddziaływać mogą na moralność publiczną, że współpracownicy „Przeglądu“ nie umieją pisać po polsku, że „przy ogłaszaniu złej, czy dobrej powieści z francuskiego na polski język, potrzebne są nieodbitcie dwa główne warunki: trzeba umieć po francusku i po polsku“.

Cios był dobrze wymierzony i bardzo dotkliwy, gdyż istotnie przekład „Tajemnic Paryża“ był okropny. Co jednak najważniejsza, co najbardziej rozdrażnić musiało Wiślickiego, to ta okoliczność, że artykuł „Kuryera“ ukazał się przed samym początkiem nowego kwartału, mógł zatem bardzo ujemnie wpłynąć na prenumeratę. Że to było z namysłem dokonane świadczy ten fakt, że Szymanowski zawsze się tej kupieckiej, wstrętnej i poziomej taktyki trzymał względem pism przez siebie nielubianych.

Rzecz prosta, że „Przegląd“ nie pozostał dłużnym w odpowiedzi, a choć „Kuryer“ po pierwszej napaści milczał, to jednakże nie było numeru, w którymby Wiślicki nie przypiął łatki, nie zaczepił „Kuryera“, jego redaktora lub

współpracowników. Tym sposobem chmury się powoli zbierały, rosły, aż nakoniec grom z nich wypadł, do czego przyczyniła się pośrednio i bezpośrednio nowa osobistość, występująca teraz na scenę. Należy nam się więc jej bliżej nieco przypatrzeć.

Osobistością tą był Walery Przyborowski, głośny z czasem ze swej donkiszockiej wyprawy w dziedzinę polityki, a wtedy student z wydziału filologiczno - historycznego, który w r. 1868 wszedł w grono współpracowników „Przeglądu“. Opowiadają, że w sposób oryginalny zawiązał znajomość z redaktorem tego pisma; za autentyczność tego opowiadania wszelako nie ręczę; powtarzam com słyszał. Według tej wieści tedy, Przyborowski mieszkając gdzieś na wsi w okolicach Kałuszyna, przysłał do „Przeglądu“ kilka artykułów o kwestyi kobiecej p. t. „Listy o kobiecie“, podpisane nie swoim nazwiskiem, ale jakiejś Wandy L. z Brzozówki. Uchodził więc za kobietę. Listy były pod względem literackim bardzo dobrze obrobione, a pod względem treści uderzały śmiałością poglądów, tym większe robiących wrażenie, że wychodziły z pod pióra kobiety. Żądał np. by panny same się mężczyznom oświadczały i t. p. Wiślicki listy te wydrukował, wywołując w pewnych organach prasy oburzenie. „Przegląd Katolicki“ począł powątpiewać o moralności owej

pani Wandy L. z Brzozówki, a „Kuryer Codzienny“ puścił się na pole łatwych zresztą bardzo konceptów. Sfery literackie zaś zainteresowane były ową Wandą i różne snuły co do niej domysły; sam nawet Wiślicki wierząc w kobiecość swej nowej współpracownicy, miał do niej wystylizować list czuły i pełen kurtoazji, przynależnej płci nadobnej.

Pokazało się w końcu, że ową śmiałą kobietą jest Przyborowski, że przybrał pseudonim a raczej miano ówczesnego swego ideału sercowego. Mówiono nawet, że później miał z tego powodu pewne nieprzyjemności ze strony pięknej (bo zapewne była piękną) właścicielki nazwiska, czy też jakiegoś jej rycerza... Dość, że mistyfikacja się udała i Przyborowski nie przez piec wprawdzie, ale przez spódniczkę dostał się do literatury. Po powrocie do Warszawy wszedł na stałego współpracownika do „Przeglądu“.

Był to w tej porze młody, dwudziestoparoletni chłopiec, niepospolicie piękny, z typowymi rysami szlachcica polskiego. W koleżeńskich sferach tysiączne opowiadano sobie anegdoty o jego przygodach i podbojach miłosnych, dokonywanych w najrozmaitszych warstwach społecznych, co zresztą jest bardzo prawdopodobnem, gdyż jak powtarzam, był to chłopiec bardzo ładny. Twarz o rysach polskich, nosie rzymskim, wielkich, niebieskich, trochę rozma-

rzonych oczach, uderzała swą łagodnością i ujmującym wdziękiem. W „Przeglądzie“ pisał bardzo wiele, a jego „Kroniki zagraniczne“ trzymane w tonie fejetonowym, powszechnie się podobały. Talent był duży, łatwość pisania wielka, zdolności twórcze znaczne, choć jeszcze nie wyrobione. W tej dobie mało jeszcze kto o nim wiedział i utworami młodego aspiranta literackiego zachwycały się zapewne tylko jego... przyjaciółki sercowe.

Otóż w roku 1869, Przyborowski począł pomieszczać w dodatku do „Przeglądu“ pierwszą swą powieść p. t. „Hinda“. Była to rzecz tendencyjna, gdyż w owe czasy, za pierwszy warunek utworu literackiego, uważano tendencyjność, wierząc jeszcze w to, że można książką świat zreformować. Nie dziw więc, że i Przyborowski, jako pisarz młody, hołdujący tej zasadzie, napisał powieść tendencyjną, to jest, dotyczącą kwestyi żydowskiej u nas. Nie będę tu naturalnie powtarzał bajki powieściowej, zaznaczę tylko, że według autora, najlepszym sposobem rozwiązania kwestyi żydowskiej u nas, byłoby to, żeby chrześcijanie na wielką skalę żenili się z Żydówkami, a Żydzi z chrześcijankami. Był to pomysł niezbyt szczęśliwy, ale dość oryginalny, tak że zwrócił na powieść Przyborowskiego uwagę, zwłaszcza, że końcowe rozwiązanie romansu osnute było na zdarzeniu prawdzi-

wem, które niedawno rozegrało się w Warszawie, i które może dało autorowi powód do napisania powieści żydowskiej. Jakiś młodzieniec rozkochawszy się w żydówce i nie mogąc się z nią ożenić, z powodów, których już dziś nie pamiętam, pojechał z nią w zamkniętym powozie do parku Łazienkowskiego, i tam siebie i ją zastrzelił. Cała Warszawa w swoim czasie mówiła o tym romantycznym wypadku, który widocznie i na Przyborowskiego wywarł silne wrażenie, gdyż tak samo każe umierać bohaterowi swej powieści. Ta to okoliczność, przypominająca czytelnikom niedawną głośną tragedję w Łazienkach, oraz tendencya „Hindy“ zwróciła na nią uwagę powszechniejszą niż to zwykle bywa przy utworach nieznanych autorów.

Co do samej powieści, to ta, jako dzieło literackie nie przedstawiała nic osobliwszego i w ogólności była dość słabą. Jak mi ktoś później mówił niektóre sceny w niej pisał sam Wiślicki; za autentyczność jednak tego faktu nie ręczę. Znać było zresztą w całości talent, pewną barwność stylu; biła z książki woń poetyczna, zapach wielki, co wszystko zapowiadało, że Przyborowski w przyszłości zostanie pierwszorzędną siłą literacką.

Współcześnie z pojawieniem się powieści Przyborowskiego, ukazał się na widok publiczny nowy zeszyt (zdaje się piąty) „Szkiców“ Klina,

odznaczający się zwykłą paradoksalnością. Pod ogólnym tytułem „Nul“, Klin zapuścił się w przegląd dziejów ludzkości, i w końcu dochodzi do rezultatu, że tak ludzie jak i ich historia jest cyfrą bez żadnej wartości, jest zerem, nulem. Oczywiście, ani ten przegląd dziejów ludzkich, dokonany na kilku kartkach druku, ani wnioski z niego nie były uzasadnione; ale mniejsza z tem, dość, że „Hinda“ i „Szkice“ w owych czasach zupełnej posuchy literackiej, gdy książka nowa rzadko opuszczała prasę drukarską, były nowościami dnia i stały się powodem poważniejszego starcia między „Przełgądem tygodniowym“ a „Kuryerem warszawskim“.

Przedewszystkiem o „Szkicach“ Klina, utwore słabym młodego pisarza, rozpiwały się obszernie wszystkie dzienniki warszawskie, jakby tu szło o dzieło, którego przeznaczeniem było wywierać wielki wpływ i na zawsze w literaturze pozostać. Nawet „Gazeta warszawska“, która wcale ruchem literackim w kraju się nie zajmowała, wystąpiła z recenzją „Szkiców“ i przekonująco usilnie poczęła Klina, że ludzkość wprawdzie ma te i owe niedostatki, ale ostatecznie nulem nie jest. W „Kuryerze warszawskim“ zaś surowo skarcono Klina za jego broszurkę, a jakiś pan R. zaklinał go tkliwymi słowami, „aby w interesie własnego talentu przestał pisywania „Szkiców“.

O powieści Przyborowskiego mniej pisano, prawdopodobnie dlatego, że książka nie miała siedmiu kartek jak „Szkice“, ale znacznie więcej a zatem przeczytanie jej wymagało więcej czasu i pracy, na którą ówczesni dziennikarze zdobyć się nie mogli. Jedynie w „Kuryerze warszawskim“ wystąpił z obszerną recenzją Łuniewski, może dlatego, że był kolegą szkolnym i uniwersyteckim Przyborowskiego, że się znali od dziecka, a podobno nawet z jednego miasta pochodzili (z Kielc?). W recenzji tej było mnóstwo kontradycyji. „Hinda“ — pisał Łuniewski — zrobiła na nas wrażenie pięknego, w misterne ramy oprawionego, kolorowanego obrazka. Na pierwszy rzut oka uderza nas świeżość i wdzięk użytych barw; migotliwy, świetlany, ciepły koloryt odurza i olśniewa. Dopiero po bliższem rozpatrzeniu, okazuje się rysunek nieudolny układ nieharmonijny, rozproszenie szczegółów, słowem słabe malowidło. Bądź co bądź „Hinda“ niezaprzeczenie jest dziełem talentu. Z pomiędzy zużytych efektów, bladych określeń, oklepanych frazesów, natchnienie wytryska od czasu do czasu, jasne i czyste, jak woda bijąca ze skały. Piękne obrazy, głębokie i silnie wypowiedziane refleksye ozdabiają te kruche dzieło artystyczne, które jak każdy utwór niewprawną budowany ręką, chwije się w podwalinach swoich“.

Już w tym wyjątku z recenzji Łuniewskiego widocznem jest jak jedno zdanie zaprzecza drugiemu. Jeżeli bowiem „Hinda“ była malowidłem pełnem wdzięku, świeżości barw i ciepłego kolorytu, który aż odurzał czytelnika, to współcześnie nie mogła mieć bladych określeń i zużytych efektów; jeżeli są w niej głębokie refleksye, to skądże się wzięły oklepane frazesy? Jednem słowem była to recenzja na kolanie pisana; krytyk nie zdał sobie wcale sprawy z książki, o której wyrokował, a ton doktoralny i pełen wyższości jeżeli nie drażnił, to co najmniej śmieszył.

Otóż „Przegląd“, a raczej jego redaktor, skorzystał z tych sprzeczności w recenzji i uderzył śmiało i zjadliwie na „Kuryer warszawski“ w artykule wstępnym, zatytułowanym „Nule“. Najprzód więc zastanawia się nad burzą, jaką wywołało pojawienie się w prasie warszawskiej „Szkiców“ Klina, i korzystając ze sposobności, oddaje pięknem za nadobne Klinowi, za to, że w pierwszym swym „Szkicu“ opisał redakcyę „Przeglądu“. Pyta więc: — „Kto zacz jest Klin? — i odpowiada tak: — „...pseudonim ten ukrywa młodego człowieka, który nie mogąc dobić się zwykłą drogą prasy, dojrzałości i rozgłosu autorskiego, ośmielił się własne prace osobnymi w świat Boży puszczać zeszytami“. Następnie szydzi z przeglądu dziejów ludzkości na siedmiu kartkach, chłoszcze „staruszkę“ „Gazetę warszaw-

ską“, dziwi się zajęciu Klinem i powiada, że przyczyną tego są małe rozmiary tych poszytów, że „trzydzieści kilka stronic jest to sama miara, aby być przeczytanym przez recenzentów warszawskich“. O literatach z „Kuryera warszawskiego“ mówi: „sławni ci publicyści wiedzą dokładnie gdzie i kto wznosi komórki, ile szyb grad wybił“, ale nie powinni pozować na powagę i na krytyków.

Przechodząc następnie do „Hindy“, wytyka Łuniewskiemu sprzeczną w sędzie i drwi sobie z jego uczoności. W końcu powiada: „Kuryer jest nieoszacowany bajkarz, gdy zbiera brukowe nowinki... z tem mu do twarzy zupełnie, jest kompletnie niewinny... lecz pozując na wielki organ krytyczny, przypomina cośkolwiek niezgrabne skoki owiec Panurga“.

Artykuł ten zjadliwy, rozdrażnił do nadzwyczajnego stopnia redakcyę „Kuryera“. Jeśli Szymanowskiego, którego słabą stroną, prawdziwą piętą achilesową było to, że „Kuryer“ jego należy uważać za organ poważny, obraziły nadzwyczajnie słowa o nieoszacowanym bajkarzu pozującym na wielki organ, to Łuniewskiego, charakter chłodny, ale zły i mściwy, obruszyła niezwykle szyderska krytyka jego krytyki. Sam widziałem, będąc nazajutrz po pojawieniu się artykułu „Nule“ w redakcyi „Kuryera“, jak Łuniewski bladł i czerwieniał ze złości, a Szyma-

nowski przygryzał wąsy i paznokcie. Ale wkrótce znaleźli oni sposobność zemścić się w sposób zaiste oryginalny. Łuniewski znając osobiście Przyborowskiego, wyszukał go i począł mu srogie czynić wyrzuty, że za jego (Łuniewskiego) przychylną recenzję tak mu odplacił. Ponieważ Przyborowski nie pisał artykułu „Nule“, więc naprawdę nie wiedział czego Łuniewski od niego chce; wówczas ten ostatni poprowadził go do „Kuryera“ i tam, razem z Szymanowskim potrafili przekonać młodego i nadzwyczaj wrażliwego chłopca, że powszechnie mówią, iż to on pisał „Nule“, że jeżeli w rzeczy samej tak nie jest, to niech publicznie temu zaprzeczy w „Kuryerze“. Przyborowski rozdrażniony zgodził się na to i ukazało się w „Kuryerze“ kilka wierszy, w których powiada, że „artykuł „Nule“ nie jest jego pióra ani w części, ani całkowicie“.

Był to bez zaprzeczenia krok ze strony Przyborowskiego niewłaściwy, nietaktowny i musiał też głęboko oburzyć Wiślickiego. Wszak inkryminowany artykuł był niczem innym, jak tylko obroną Przyborowskiego, a ten tak się niewdzięcznym za to okazuje. W zaprzeczeniu bowiem, pomieszczonem w „Kuryerze“, wyraźnie występowała myśl, że artykułu „Nule“ Przyborowski nie aprobuje i że go potępia, że nie chce mieć z nim żadnej solidarności i przeciw wszelkim posądzeniom protestuje publicznie. Następstwem

tego, bądź co bądź nieszlachetnego kroku ze strony Przyborowskiego, było to, że Wiślicki wymówił mu współpracownictwo w „Przeglądzie“ i po półtorarocznej kollaboracyi rozstał się z nim na długo, lubo, jak obaczymy, nie na zawsze.

VI.

Pomysłowość Wiślickiego.— Ogródki Froebrowskie.— Poczytywizm. — Wiktor Gomulicki i jego śmieszna przygoda.— Wiersz „Babunia“.— Artykuł „Groch na ścianę“.

Wśród takich to okoliczności i warunków, poczynającej się walki z prasą warszawską, reprezentowaną przez „Kuryera“, wychodził dalej w r. 1868 „Przegląd“. Nie przestaje on się rzucać, nie przestaje wpadać na najrozmaitsze pomysły, żeby podeprzeć wciąż kulejącą stronę finansową swego istnienia. Po „Pomocy własnej“ Smilesa, począł teraz wydawać na wzór niemieckich odczytów, szereg broszur o najrozmaitszych przedmiotach, pod ogólnym tytułem „Wiedza“. Wydawnictwo to jednak jakkolwiek było bardzo interesujące, całkiem się nie powiodło, wlokło się dość długo i skończyło się na kilku broszurach.

Ale umysł Wiślickiego ruchliwy, czynny, ciągle tworzący tysiące projektów nowych, nie mógł

długo pozostawać w bezczynności, bez jakiego nowego zamiaru. W jego głowie roilo się jak w ulu i w rzeczy samej, pomysły jego w ogólności biorąc, były bardzo dobre, ale wykonanie ich niezmiernie słabe i wadliwe. Człowiek ten nie miał cierpliwości, systematyczności i przygotowania naukowego w sobie; dlatego też projektu jego przy egzekucyi szwankowały zawsze.

W tym czasie wpadł na pomysł wprowadzenia do Warszawy całkiem tu nieznanego systemu edukacji drobnych dzieci, wynalezionej w Niemczech przez Froebła. Była to nowość zupełna i zasługa inicjatywy w tym względzie przypada wyłącznie Wiślickiemu. Obznajmił się z tą kwestyą sam, posprowadzał książki z zagranicy i na próbę system ten wprowadził do ochrony dla dzieci, imienia ks. Baudouina przy ulicy Pivnej. Ochronę tę utrzymywało swym kosztem Towarzystwo Dobroczynności. Szło to dość kulawo, jakkolwiek miał gorliwe pomocnice w młodych opiekunkach. Dzieci bawiły się dobrze, ale nie wiele korzystały, tak że w rezultacie po paroletniej próbie system ten zarzucono. Oczywiście nie była to wina systemu, który zagranicą przyjął się szeroko i próbę praktyki wytrzymał zwycięsko, ale prawdopodobnie Wiślickiego. Być może, iż nie zgruntował on dobrze przedmiotu, jak to zresztą we wszystkim robił, a najprędzej nie miał potrzebnej do tego celu wytrwa-

łości i system Froebrowski w ogólności przyjął się u nas bardzo słabo i, jak się zdaje, nie ma przed sobą przyszłości. A może też niezgodny on jest z charakterem narodowym?

Sam „Przegląd“ w tym roku zachował kierunek dotychczasowy, to jest niezadowolenie z umysłowego nastroju w kraju i krytykę tego nastroju. Jednakże tu i owdzie, przy pomocy młodych swych współpracowników, wchodzić poczynął na drogi pozytywizmu późniejszego. Kiedy w r. 1869 profesor Lewestam miał lekcyę o dramatach Szekspira, recenzent „Przeglądu“ (zdaje się był nim Przyborowski), wyraźnie zaznaczył swą niechęć do idealno-romantycznego traktowania kreacyi szekspirowskich, tu i owdzie czynił wycieczki przeciw „spłowiałej romantyce“, jak mówił. Były to już przebłyski, pierwsze forpoczty tego, co się później u nas nazywać zaczęło „pozytywizmem“. O szkole filozoficznej, noszącej to miano, naprawdę nic jeszcze w Warszawie nie wiedziano, a raczej ściślej mówiąc, ani Wiślicki, ani jego współpracownicy nie wiedzieli. Pierwsze światło na tę kwestyę rzucił ks. Krupiński, który w r. 1868 wydrukował w „Bibliotece Warszawskiej“ artykuł bardzo sumienny i bardzo dobrze napisany p. t. „Szkola pozytywizmu“. Z niego dopiero redakcyja „Przeglądu“, wraz ze swym redaktorem naczelnym, dowiedziała się coś o Comt'cie, Millu i Spence-

rze, i niejako wzmocniła swój front bojowy nowymi działami ciężkiego kalibru.

Chciałbym, żeby mię tu zrozumiano. Całej, tak zwanej później „młodej prasie“, nie szło wcale o pozytywizm, jako metodę badania naukowego, i nie w imię nauki wyzywali oni do walki wszystko i wszystkich. Tej teorii filozoficznej większość ich wcale nie znała, a ci, którzy ją znali, dowiedzieli się o niej znacznie później. Tu szło głównie o kwestye społeczne, o los tej zbiorowości, z łona której młodzi pisarze wyszli. Wszelkie ich ataki nie były sporem naukowym, ale raczej sporem politycznym, były w gruncie rzeczy tem samym, co podnieśli w Galicyi „Stańcycy“, tylko z tą różnicą, że inne warunki w Warszawie, musiały wywołać inną formę walki, oraz, że kiedy tam rzezoną walkę w imię nowego programu społecznego podnieśli profesowie uniwersytetu, głośni i znakomici pisarze, hrabiowie i książęta, tu, na bruku warszawskim wystąpiła do niej młodzież nieznana nikomu, biedna, mająca po swej stronie tylko talent i zapał.

Nazwa więc pozytywizmu pokrywała całkiem inne rzeczy i inne dążności, dążności zupełnie przeciwne temu, co dotąd uważano za świętość, za słup ognisty, mający nam przewodniczyć w wędrówce po pustyni życia historycznego. I tem się tłumaczy zaciętość tej walki, jej cha-

Tożemnie pomyślał, że...
...

rakter nieubłagany i bezlitosny. Nigdy by sprawy z cechą czysto naukową nie zdołały wstrząsać i entuzjazmować ludzi, wywoływać starcia, zdradzające, że w nich gra rolę główną obrażone do głębi uczucie, gdyby tu nie szło o najżywotniejsze interesa, o interesa serdeczne. I to jest właśnie punkt, który nadaje tej walce charakter wielkiej doniosłości historycznej; moment z wielu względów podobny do walki romantyzmu z kłasyccyzmem, tylko o całe niebo ważniejszym w swych skutkach. Tam przeważnie szło o teorye literackie, tu pod maską dążności literackich i naukowych, dokonywał się olbrzymi przewrót społeczny. Mówię dokonywał się, a właściwie on jeszcze dokonywuje się... Epizod ten bowiem dziejów naszych podobno nie skończony, ostatni akt dramatu nie rozegrany dotąd, burza choć znacznie przycichła, grzmi jeszcze ciągle...

Lecz wróćmy do opisu czasów i ludzi tej epoki, dziś już niestety! przebrzmiałej.

Wśród wzrastającej liczby współpracowników „Przeglądu“, znalazł się w r. 1868 Wiktor Gomułicki, poeta, który z czasem tak wydatnie miał zająć stanowisko na Parnasie ojczystym. Pierwszym poemacikiem, który wydrukował w „Przeglądzie“ był wiersz p. t. „Młode małżeństwo“. Są tu liczne usterki i wady, ale zarazem i wszystkie przymioty, które powoli rozrastając się, sprawiły, że Gomułicki z czasem

urósł tak wysoko. Ta sama malowniczość i barwność słowa, ta pogoda niezamącona ducha nawet wtedy, gdy maluje straszne sceny lub obrazy, już wtedy w nim występowała. Jest to przede wszystkim artysta lubujący się w kolorycie; mniejsza o to, czy ten koloryt będzie jasny lub ponury. On tylko maluje, nakłada barwy i niemi się zachwyca. Już wtedy, gdy był jeszcze młodym chłopcem i stawiał pierwsze kroki w swym zawodzie, przebijał się w nim ten artyzm i zajmował go wyłącznie. Kiedy my żywo interesowaliśmy się kwestyami społecznymi, przeszłością i przyszłością tej ziemi, na której staliśmy, gdy rwały nam się nieraz serca i krwią zlewały źle zagojone rany, Gomulicki na to wszystko był obojętny, jego to nie obchodziło i dla wszelkiej polityki żywił najwyższą pogardę artysty, albo raczej człowieka, który jej nie rozumie i rozumieć się nie sili. To było powodem, że Gomulicki, jakkolwiek znaleźmy się z nim, nigdy z nami bliżej nie żył. Ta obojętność na sprawy najserdeczniejsze czyniła wielu chłodnymi w stosunkach z nim, a podobno zachował ją do dzisiaj...

Jeżeli większe, ogólniejsze zagadnienia nie obchodziły Gomulickiego, to jakimże sposobem mogły go interesować sprawy jakiegoś tam nowego kierunku literackiego? Do „Przeglądu“ wszedł i pisywał dlatego, że wszystkim młodym

ludziom, których paliła gorączka twórczości literackiej, najłatwiej się tam było dostać. Ale nie należał naprawdę nigdy do redakcyi i do pozytywistów, do „młodej prasy“ zaliczyć go niepodobna. Rosnąc powoli w siły, rozwijając swój prześliczny ale chłodny talent poetycki, pisywał do wszystkich gazet, nigdzie nie zatrzymując się i nie przywiązując stale.

W owe czasy był to młody chłopiec, student Szkoły Głównej, do której, jak się zdaje, uczęszczał na wydział prawny. Wyglądał dość zabawnie, bo był mały, kusy, z twarzą czerwoną, małemi oczkami, nosem ogromnym, a zato ust prawie wcale nie miał, gdyż otworu, który zastępował ten organ, mianem tem nazwać niepodobna. Mimo to nosił się poważnie i dumnie. Pochodził on z Pułtuska (urodzony w Ostrołęce) i posiadał trochę pieniędzy, dlatego też nie bardzo żył z taką nędzą i cyganeryą, jaką my przedstawialiśmy. Był zapalonym wielbicielem kobiet i życie prowadził dziwaczne. Zwykle w dzień sypiał, a dopiero w nocy wychodził na miasto, co nawet, znacznie już później, dało powód do zabawnego zdarzenia.

W r. 1876 czy 1877 zamordowano w Warszawie na ulicy Długiej zamożną kobietę, p. S. Wszelkie poszukiwania do niczego nie doprowadziły, ale władze były nadzwyczaj czujne i na wszelkich podejrzanych ludzi zwracały uwagę.

Otóż, ponieważ Gomulicki często zmieniał mieszkanie i zwykle nie miał zwyczaju się meldować, w dodatku w nocy tylko wychodził i wąsy (które miał zabawnie małe) czernił, wpadł zatem w podejrzenie, że jest poszukiwanym mordercą. Przytrzymano go więc i odprowadzono do ratuśza. Na szczęście, sędzia śledczy, prowadzący tę sprawę, znał poetę osobiście i rzecz prosta, natychmiast go uwolnił. Wypadek ten, w wysokim stopniu śmieszny, rozgłosił się po całym mieście, tak nawet, że ukazał się o tem wiersz w piśmie humorystycznym „Kolce“, który podobno bardzo gniewał Gomulickiego *).

*) „Kolce“ redagował wtedy Jan Maurycy Kamiński, znany później adwokat i autor dzieła „O prostytucyi“. Wiersz ów o Gomulickim napisała siostra Kamińskiego, panna Marya; podpisująca się zwykle *Em-ka*, niestety! przedwcześnie zgasła, rokując wysoki talent. Wiersz, o którym mowa, nosi tytuł „Ballada“, przytaczamy go tutaj dosłownie, gdyż rzecz dobrze maluje i w odnośnych kołach literackich był bardzo głośny.

Gdy jasny blask słońca za chmurą się skrył

I ziemię zaległa noc głucha,

Wieść straszną, co ludziom krew mrozi wśród żył,

Szeptano od ucha do ucha.

Na targach i placach gromadzi się tłum,

I słyhać dźwięk głosów i gwary i szum,

I każdy się w duchu zatrważa;

Bo oto staruszka z włosami jak śnieg,

W modlitwie i pracy spędziwszy swój wiek,

Zginęła od ręki zbrodniarza.

Powtarzam, był to talent pierwszorzędny. W „Przeglądzie“, oprócz poezyi, pisywał także razem z Walerym Przyborowskim krótkie obrazki p. t. „Sylwetki“ i podobnie jak w poezyi odznaczał się niezwykłą barwnością pióra. Lubił on i znał dobrze Warszawę. Jako urodzony na

Ten, który nie uczył ni cnoty, ni lat,
Potrafił uniknąć pogoni;
Z wysłanych na zwiady, nikt nie wpadł na ślad,
Nie odkrył gdzie zbójca się chрони.
Nikt dotąd nie odgadł jak przyszedł i skąd,
A tylko wiedziano, że wasy miał blond,
I takąż obfitą czuprynę.
Że musi być młodym i pewnym swych nóg,
Gdy w nocy, ogrodem, przez płoty ująć mógł,
To były poszlaki jedyne.

Na targach i placach ucisza się gwar,
A w sądzie trwa wielka obrada,
Przestępstwa nie można zostawić bez kar,
Tak całe zebranie powiada.
Przyzwijcie tu świadków, niech przyjdzie ten, ów,
Najłatwiej dowiemy się prawdy z ich słów,
Do kłębka dochodząc po nici.
Niech pisarz przed sobą papierów ma zwój,
Niech w twarze mówiących wyteży wzrok swój,
Niech każdą odpowiedź pochwyti.

Lecz z zeznań wątpliwych któż zmądrzy się, któż?
Kto prawdę wybadać potrafi?
W noc zbrodni snem twardym domowy spał stróż,
Zmorzony nadmiarem ratafi;

provincyi, przybywszy do stolicy kraju, uderzony został pewnemi własnościami i cechami charakterystycznemi tego miasta, które na każdy umysł wrażliwszy wielki wpływ wywierają. Pokochał on też Warszawę po swojemu, poetycznie z punktu oryginalności i artystycznych piękno-

Sąsiedzi też spali, nie mieli co rzec.
Więc chociaż do późna przeciągnął się wiec,
Choć pisarz nie tracił ni chwili,
Sędziowie ze świadków postawy i lic,
Nie mogli nowego dowiedzieć się nic
I smutni do domów wrócili.

Aż jeden z tych sędziów przebiegły jak wąż,
Powiedział: ja prawdę wyjaśnię,
Mam księgi uczone i czytam je wciąż,
Więc z tropu nie zbiją mię baśnie.
Toż koło tej sprawy zakrzętnął się sam,
Ajentów policyi rozesał do bram,
I wszystko szło pięknie i składnie.
Raz sędzia w zadumie pochylił swą skroń,
Gdy ajent po cichu przybliża się doń,
I temi słowami zagadnie:

„Z radosną nowiną przybiegam co tchu,
Spełnione już nasze zadanie!
Wykryłem zbrodniarza, prowadzą go tu,
I wkrótce przywiedzion zostanie.
By łatwiej omylić śledzący nasz wzrok,
Wychodził gdy nocny zaczyna się mrok,
Gdy ziemię ciemności ogarną.
Bywało w dzień Boży w mieszkaniu swem tkwi,

ści, lubiał włóczyć się po zaułkach staromiejskich, oglądać bramy, kraty, kołatki, sklepienia, dzięki czemu, dziś, jest on może najlepszym znawcą wśród piszących, miasta i jego starożytności.

W r. 1868 wydał niewielką nowelkę p. t. „Kolorowe obrazki“, których tytuł wybornie rzecz

Maluje na czarno i włosy i brwi
I wąsy maluje na czarno.

A z miejsca na miejsce przechodzi jak ptak
I nigdzie meldunku nie poda;

Więc wszystko zważywszy trafiłem na szlak,
I pomysł mój wieńczy nagroda...“

Gdy agent zakończył pan sędzia tak rzekł:

„Chcę zbadać zbrodniarza, niech wejdzie ten człek,
Nim srodze ukarze go władza“.

Lecz gdy go przywiedli, gdy spojrział mu w twarz,

„O dziwy! — zawołał — to znany wieszcz nasz,
Cóż pana w te strony sprowadza?“

„Niebacznie w zawikłań wplątałeś się sieć,

To niechaj za przykład posłuży,

Że trzeba w porządku meldunki swe mieć,

A teraz... nie trudzę go dłużej

I bardzo przepraszam za przykry ten błąd“,

„Co? — agent wykrzyknął — pan puszczasz go stąd,

Gdy mamy tak ważne poszlaki?

Ja za nim oddawna biegałem jak czort,

On ludzi się boi, on spełnił ten mord,

I ujść ma bezkarnie zbój taki?“

Lecz kiedy za wieszczem zamknęły się drzwi,

Pan sędzia uśmiechnął się mile.

samą maluje. Już w tym czasie pisywał do różnych gazet, do „Kuryera Warszawskiego“, do „Tygodnika ilustrowanego“, później do „Wieńca“, gdzie pomieścił przepyszny wierszyk: „Na Kanonii“. Ale te czasy nie należą już do opisywanej przez nas epoki. Z tej doby, o której mówię, zdaje mi się, że najpiękniejszy jest wiersz p. t. „Babunia“. Maluje on wyraźnie charakter poezji Gomułickiego i dlatego przytaczam go tu w całości:

„Zasłonę tajemnic, co znane są mi,
Dla twego spokoju uchylę.
Dlatego poeta wychodzi co noc,
Że w dzień wyjść nie może, bo długów ma moc,
Wierzyciel go ściga po mieście.
Dlatego zaś czerni włos, wąsy i brew,
By sobie zaskarbić przychylność u dziew,
By serca pozyskać niewieście“.

„Nie płaci lokalu, więc zmienia go wciąż,
Lecz krwawą nie zmazał się plamą.
I ręczę ci słowem, że zacny ten mąż,
Przed zbrodnią też czynił to samo.
Ze wszech stron dla niego pochwalny brzmi chór,
A kto go zna bliżej, to stawia za wzór,
Za chlubę młodzieży uważa...“
Lecz agent nie wierzył w roztropnych słów treść,
I w kółku znajomych powtarzał tę wieść,
Że sędzia wypuścił zbrodniarza.

— Babuniu, babuniu! ktoś stuka w okienko...
Babuniu! oh, przemów, drzę cały...

— To wicher po szybach gra cichą piosenkę,
Więc nie drzyj pieśczochu ty mały...

— Babuniu, słyszałem, ktoś westchnął żałośnie,
Szum jakiś się porwał od ziemi...

— Śpij dziecko, za oknem krzaczasty bez rośnie
I szmerze tak liśćmi suchemi.

— Babuniu najdroższa! strach duszę mi mrozi...
I patrzę... i oczom nie wierzę...

— Dziecino, dziecino, westchnąwszy do Bozi,
Za zmarłych odmawiaj pacierze...

— Za zmarłych? o babciu! ja zmarłych się boję...
O babciu!... mój Boże!... oh, co to?...
Strach jakiś... oh umrę!... na piersi, na twoje
Dłoń kładzie... i gwiazdy i złoto...

— Oh, jaki okropny!... płomyki mu biega
Ze źrenic... twarz biała i sina...
Uśmiechasz się babciu?... uśmiechasz?... do niego?...
Babuniu, co robisz, jedyna!...

— Co? oczy zamykasz?... babuniu, co tobie?
Patrz, słońce zagląda przez szybki...
Ej, babciu, dość żartów... w izdebce jak w grobie,
Z zielonej kruk porwał się lipki...

— Porwał się, zawodzi, zawodzi żałośnie...
Babunia nie wstanie już złota...
Jesienią zmarł tatko... matuchna o wiośnie...
O! biednyż ja, biedny sierota!

Jest to prześliczne, choć w gruncie rzeczy bardzo chłodne. W tych wierszach, rzeźbionych niby w opalu, czuć, że poecie przy ich pisaniu serce nie pękało, że nie bolał z tem dzieckiem, że wprost obrazek ten uderzył jego wyobraźnię jako całość piękna artystycznie. Jeszcze raz powtarzam, Gomulicki był tylko artystą, niczem więcej.

Dodać mi tu wypada, iż w tym czasie pisał on obszerny poemat p. t. „Joanna z Monfortu“; czy go skończył kiedy i wydał, nie wiem. Koło 1870 r. wyszła z druku jego nowella p. t. „Z otchłani“, napisana prozą, lśknąca brylantami słowa i wdzięku artystycznego, ale chłodna. W r. 1873 nosił on się z myślą wydania kalendarza. Z powodu tego rozpiisał listy do znajomych literatów. Pozwolę tu sobie przytoczyć jeden taki list (ofiarowany mi łaskawie przez wybitnego autora), malujący wybornie Gomulickiego. Oto co on pisze:

„... Postanowiłem spróbować sił swoich na polu wydawniczo-literackiem i... wydaję kalendarz! (Proszę Cię, nie wzruszaj ramionami i nie rób miny Wirgilego z wiadomej Ci sytuacji, ale owszem, przyjąwszy tę wiadomość jako złe, nad którem nie rozpaczać ale radzić trzeba, czytaj co następuje).

„Kalendarz mój będzie się nazywał „Kalendarzem dla wszystkich“ i wyjdzie na świat Boży w ostatnich dniach października lub w pierwszych

listopada. *Ergo* kochany N. N. otwórz jedną z szufladek biurka twojego i dobywszy stamtąd kilka ćwiartek zapisanych tym dziwacznym i hardym charakterem, który znam dobrze, przyślij je co najrychlej słudze twojemu.

„Przyślij rzecz jakąś, która byłaby niezbyt rozciągłą, a skończoną całością, rzecz którą zdaniem własnem za stosowną do „Kalendarza dla wszystkich“ osądzisz. Nie wątpię, że swemu współparobkowi na zagonie literackim pomocy nie odmówisz i nie pozwolisz na to, żeby opuszczony przez przyjaciół i kolegów spadł haniebnie z wysokości szczydeł redaktorskich i, co ważniejsza, wydawniczych.

„A może który ze znajomych Ci „młodych“ zechciałby wesprzyć jakim stosownym do kalendarza artykułem swego „starego“ kolegę... który, mówiąc nawiasem, w październiku skończy lat dwadzieścia cztery“ i t. d.

List to wysoce charakterystyczny.

Oprócz Gomulickiego w r. 1868, pojawiają się w „Przeglądzie“ wiersze Wacława Pomiana (Komierowskiego); słabe jak wszystko tego miernego pisarza, który z czasem nie przyznawał się do tego, że pisywał do „Przeglądu“. Zaznaczyć także należy dla porządku, że w tymże roku po raz pierwszy wystąpił na arenę dziennikarską w „Przeglądzie“ Wacław Holewiński, student Szkoły Głównej, wydziału fizyko-matema-

tycznego. Pisywał on artykuły z dziedziny wynalazków i odkryć. Była to zdolność dnia, ale umysł ciężki. Zmarnował się także na nic.

Wszystko to jednak, powtarzam, nie nadawało „Przeglądowi“ charakteru odrębnego. Śmiał się z idealizmu, był ruchliwy, zaczepiał każdego, ale w ogólności był podobny do innych. Pewną różnicę pod tym względem stanowił pomieszczony w r. 1868 artykuł pióra Wiślickiego samego p. t. „Groch na ścianę — parę słów do całej plejady zapoznanych (??) wieszczów naszych“. Artykuł ten wywarł pewne wrażenie już przez to samo, że oburzył na siebie wielu. Chcąc go zrozumieć, trzeba tu powiedzieć, że w owe czasy, między skonaniem lub uciehnięciem epigonów romantyki (Gabryela, Lenartowicz, Pol, Syrokomla, Zieliński i inni), a pojawieniem się nowych półgwiazd poetycznych, szpalty dzienników i tygodników warszawskich zapełniała swymi rymami cała gromada wieszczów i wieszczek, różni Florjani, Zbigniewy, Liliemy i t. p. Wszystkie te ich utwory były nędznym, trzeciorzędnym odblaskiem romantyzmu, a nie mogąc się bawić w ballady i epepeje, opisywały egoistyczne cierpienia autorów, tęsknotę lub żal za czarnymi i niebieskimi oczami. Było to w najwyższym stopniu śmieszne i bezsensowe, zwłaszcza że żaden z tych efemerycznych poetów nie okazywał wyższego talentu. Zresztą wówczas poezję pisywało się

na zwołanie, na urząd, jak to mówią. W „Tygodniku ilustrowanym“ np. takim poetą urzędowym był Floryan (Rzętkowski), człowiek bez nauki i bez talentu poetyckiego; zwyczajny wierszorb, który nieskończywszy Szkoły Głównej osiadł na stałe w „Tygodniku“, pełniąc tam funkcje sekretarza i... poety. Była to mierność zupełna, od której nie wyratował go nawet małeńki dramacik, jaki później napisał p. t. „Liwia Quintilla“. Jest to jedyny tego pisarza utwór z pewną wartością, ale świadczy on zarazem o prawdzie starego przysłowia, że i ślepej kury zdarzy się czasem znaleźć ziarno.

Otóż przeciw tym poetom, przeciw tym miernościom, kradnącym okruchy spadłe ze stołu romantyki naszej, powstał Wiślicki we wzmiankowanym artykule. Artykuł był arcyzjadliwy, chłosta surowa, choć bezwątpienia zasłużona.

„...za przenievierstwo dwudziestu tysiącom spłodzonych przezemnie rymów, woła Wiślicki, wielki Apollo skazał mnie na czytanie wszystkich wierszy, jakie pomieszczane są w szpaltach literackich prasy warszawskiej. Mam nadzieję, że policzonym to mi zostanie w przyszłym życiu jako pokuta za grzechy, odbyta już na tym padole płaczu. Wiedźcie bowiem, że czytanie utworów wieszczów dzisiejszych, nie jest rzeczą tak błahą, jeżeli mianowicie o władnie was owa żyłka dysekcyjna, jeżeli się staniecie choć tro-

chę krytykami, t. j. nieprzyjaciołmi poetów, jak mówi melancholijny Nodier. Wtedy rozpoczynają się dla was tortury! Ach! ileż to razy odbywałem dantejską wędrówkę po kręgach rymów chcąc się spotkać z myślą... ileż to razy rzewnymi spłakałem się łzami nad sonetem do białej róży, jakże naziąbłem wśród ranków, biegając za gwiazdą w sukience utkanej z zorzy... Często kaleczyłem sobie ręce o *Ciernie* szukając *Kwiatów*, ciężko trwonilem czas przysłuchując się fletniom wierzbowym i echem grającego wiatru z dzwonkami w dąbrowie. A los szyderca rozwiewał mi w nicość *Pyłki*, lub przesypywał same *Plewy* *), gdy się chciałem dobrać ziarna.

„Ale szczytem mojej męczarni były wieszce płody pseudonimów i kobiet. Czuli śpiewacy róży, makolągwy i gila, Floryanie, Zbigniewie, boskie Safony, Lilianny, Wandy, Aniele i Adele! wy co karmicie się lazurem i esencją liliową, czemuż musiałem z wami cierpieć? Przebóg! wy jesteście karytydami, schylonemi pod brzemieniem nieszczęścia, źródłami sączącemi łzy milionów! Wasza wielka pierś rozdarta od ramienia po żebra, wasze oczy zapatrzone przez kręgi gwiazd, komety zniszczenia świecą wam nad

*) Wyrazy pisane kursywą, są to tytuły rozmaitych książeczek z poezjami, które w tym czasie ukazały się z druku.

głową a buchacie ogniem piekielnych cierpień jak lawą wrzące piersi Wezuwiusza“.

Ale oprócz chłosty i satyry, w artykule tym był zarazem pewien zarys programu przyszłego, zarys bardzo jeszcze niewyraźny, odgadniony raczej niż wyrozumowany.

„... wiek XIX, pisze Wiślicki, nie jest wcale wiekiem cierpiących i zachwyconych trubadurów; jego poezję stanowi ciągły postęp, ciągła dążność do zajęcia takiego stanowiska w obec praw przyrody i ludzkości, aby w jak największym zakresie urzeczywistnił dla siebie wszystko, cokolwiek myśl jego podyktuje do wykonania...“

Jest to więc nowe hasło, którego atoli wypowiedzieć jasno, pogłębić, jeszcze ówczesny „Przeгляд“ nie potrafił. Zaszczyt ten należy do współpracowników, którzy w miarę lat, rosnąc w siłę, mieli stanąć zbrojni do walki. Teraz jednak dopiero przygotowywali się do niej, w ciszy kuli pioruny, które miały mieć z czasem wielki wpływ na społeczeństwo.

VII.

Krzemiński Stanisław. — Feliks Fryze. — Wycieczka balonem. — Kazimierz Zalewski i jego komedye i wiersze. — Klemens Podwysocki. — Stara prasa i jej przedstawiciele. — „Biblioteka warszawska“ i niedzielne w niej zebrania.

Wśród tego, gdy „Przegląd“ powoli zaczynał już zarysowywać swój program i coraz więcej młodzieży przyciągał ku sobie, w obozie konserwatywnym, a ściślej mówiąc w obozie „Kuryera warszawskiego“ także tego systemu się chwycono, t. j. poczęto przyciągać do siebie młodzież ze Szkoły Głównej. Jak wiemy znalazł się tam już Kazimierz Łuniewski, powoli poczęli się znajdować i inni, przeważnie karyerowicze lub mierności, które uważały literaturę i dziennikarstwo za takie samo rzemiosło jak np. zawijanie pieprzu, za stopień do kariery lub pieniędzy. Indywidualia takie niezdolne były ani zrozumieć, ani odczuć tych szlachetnych, podnio-

słych porywów tej garści młodzieży, która skupiała się koło „Przeglądu“. „Kuryer warszawski“ dobrze ich płacił i dlatego tam szli, bo ostatecznie ludziom tym o nie nie szło tylko o pieniądze. Nim więc w kilka lat później pojawi się „najazd galicyjski“, nim wystąpią na widownię dziennikarstwa warszawskiego: Czaplowski, Gawalewicz, Antoni Zaleski, Książek (Łętowski), Sedlaczek (Zoryan) i w. in. i zabagnią do reszty i tak już zabagnioną prasę warszawską, przez swą koteryjność, brak wykształcenia, język galicyjski (bo niestety! taka gwara istnieje), ciasnotę pojęć, ograniczoność widnokregu, instynkta kupieckie, intrygi i wzgląd nie na zasady, ale na osobistości*), to tymczasem „Kuryer warszawski“ posiłkuje się siłami miejscowemi.

Znalazł się tam, mniej więcej w tym czasie, Stanisław Krzemiński, stanowiący może jedyny wyjątek w tem zbiorowisku blageryi, jakim był „Kuryer warszawski“ wraz ze swym redaktorem i współpracownikami. Krzemiński był człowie-

*) Jakkolwiek niektórzy z nich z czasem wyrobili się na dobrych pisarzy, jak np. Gawalewicz, który posiada miłutki i wybitny talent, jak Książek, używający pseudonimu „Łętowski“, to jednak pod względem swej działalności dziennikarskiej, wpływ ich na poziom umysłowy i moralny prasy był bardzo deprymujący i zgubny. Rzecz ta wymaga osobnego studyum, które w swoim czasie, także w wyciągu z mych pamiętników, podam.

kiem zupełnie seryo, dużo czytał, dużo umiał i dużo widział. Wyrwany z naturalnej rzeczy kolei przez burzę szaloną, która przed chwilą grzmiała piorunami i uraganami, potrafił zachować podniosłość myśli i celów tego pokolenia, z którego wyrósł, a zarazem wierność i szczerą, nieudawaną wiarę w jego ideały. Jeżeli przytknął do obozu t. zw. teraz konserwatystów, to nie dla interesu, ale z pobudek szlachetnych, z głębokiego przekonania, że tak czyniąc, pełni dobrą służbę wobec społeczeństwa. Jednym słowem był to blask słońca wśród ciemności instynktów poziomych, panujących we wzmiątkowanym piśmie.

Blondyn, nizki, z twarzą pospolitą, skromny, cichy, dalekim był od tej wrzawy, jaką koło siebie wszędzie i zawsze czynili inni współpracownicy „Kuryera“. Robił on swoje, w domu pracował podobno nad dziełem o Konarskim i wpływie jego na zmianę wyobrażeń w dawnej Polsce, dziełem, którego dotąd, po latach dwudziestu, nie skończył, nie dlatego, by nie mógł, ale dlatego, że chce je sumiennie i wyczerpująco napisać. Sumiennosc ta prawdopodobnie stanie się przyczyną, że dzieła tego świat Boży nigdy oglądać nie będzie. Do walki rozpoczynającej się właśnie teraz w świecie literackim wcale się nie mieszał, może nie odczuwał jej

doniosłości, a może wyczerpany był inną walką, dawniejszą, w której brał udział.

Współcześnie z Krzemińskim zjawia się w „Kuryerze“, Feliks Fryze, student Szkoły Głównej, z wydziału, jeżeli się nie mylę, fizyko-matematycznego. Fizyognomia i figura była to osobliwsza i uderzająca. Gruby, pękaty, tłusty tą niezdrową tłustością, która robi wrażenie, jakby była nalaną i rzadką, blady, piegowaty, o twarzy dużej i cerze chorobliwej, nie brzydki, ale nie miły, nosił włosy długie, które z natury swej rzadkie i miękkie, zawsze wypomadowane (kochał się w pomadzie topolowej), zakręcając się u dołu robiły Fryzego podobnym do pastora luterskiego, który wybrał się w zaloty do swej Fryderyki lub Miny. Ubierał się przytem nie dbale i przez szczególne usposobienie, suknie miał zawsze za wielkie na siebie i za obszerne, jakgdyby należały do brata starszego. Nigdy też nie widziałem obcasów u jego butów.

Pełnił on w „Kuryerze“ funkcyę reportera i przyznać mu należy, że pierwszy u nas w Warszawie, temu rodzajowi dziennikarskiemu nadał ton europejski. Fryze, pomimo swej tuszy, był bardzo ruchliwy i cokolwiek się w mieście stało, on był pierwszy co o tem wiedział. Porobił sobie znajomości, stosunki, wszędzie miał znajomych i życzliwych. Prawdziwą zaś jego specjalnością były pożary. Tak się zaprzyjaźnił ze

strażą ogniową, że mu przez umyślnego dawano znać o każdym ogniu, brał udział w ratunku, jeździł nawet często na koniu strażackim, co wobec jego postawy mieszczańskiej w wysokim stopniu było śmieszne i zabawne. Kiedy w kilka lat później, jakiś Francuz przyjechał do Warszawy z balonem i ofiarował się, że gotów jest zabrać kogokolwiek ze sobą w szlaki napowietrzne, Fryze natychmiast się na to zgodził. Puścił się więc razem z Holewińskim i Filipowskim, podrzędnym dziennikarzem, także z „Kuryera warszawskiego“. Oczywiście losem balonu i jego balastu dziennikarskiego żywo zajmowało się całe miasto, a dla „Kuryera“ była to woda na jego młyn. Wszyscy współpracownicy biegali po ulicach i ogrodzie Saskim i tonem nieporównanej wyższości i sztucznego niepokoju rozpowiadali, że jeszcze niema depeszy o losach aeronautów, że jednak lada chwila jej się spodziewają. Wszystko to wypowiedane było tonem takim, jak gdyby na balonie i Fryzem spoczywały już nie losy Warszawy, ale całego kraju.

Sam Fryze, jakkolwiek pierwotnie mógł być bardzo dobrym chłopcem, z czasem jednak zaraził się atmosferą blagi, panującą w „Kuryerze“. Odtąd nie było przedmiotu na świecie, o którymby on nie mówił tonem pewności, zagłuszając wielomównością i pewną niby logiką. Stał się typem reportera, który o wszystkim wie

i rozprawia jako człowiek znający przedmiot doskonale. Nie będąc z natury wcale dowcipnym, sadił się na ciężkie koncepta, z których zwykle sam się tylko śmiał. Wszystkich znał i wszystkich traktował poufale i z pewną po-błażliwą wyższością. Ale jest to podobno wła-ściwość wszystkich reporterów na świecie.

W „Kuryerze warszawskim“ Fryze pracował przez lat parę, potem został redaktorem i współ-właścicielem „Kuryera porannego“, pisma na-wskrós plotkarskiego z charakterem skandali-cznym. Przez jakiś czas redagował też tygo-dnik humorystyczny „Muchę“. Do walki litera-rackiej tej doby nie mieszał się wcale, nie dla-tego, że go nic nie obchodziła, iż czuł pewne sympatyje do obozu pozytywnego, a wydawać się z niemi nie śmiał, lub nie chciał. Dość, że milczał zajęty swą reporterką.

Koło roku 1869, jeżeli się nie mylę, wystąpił na scenę literacką z grona młodzieży Szkoły Głównej i pan Kazimierz Zalewski. Mówię tu o nim dlatego, że odrazu przystał do obozu konserwatystów, strzegących jakoby ideałów przeszło-ści polskiej, jak gdyby on miał jakikolwiek zwią-zek z tą przeszłością. Nizki i pełen pretensyi, sztu-kujący swój wzrost mały śmiesznie wysokimi obcasami, brunet, zezowaty, miał się za pięknego i za zdobywcę serc niewieścich, które jeżeli w rzeczy samej podbijał, to nie swą osobą, ani

też twarzą, w której zachował się wybitny typ rasy, do której pan Zalewski z krwi należał, ale dobrze nabitą szkatułą. Był bowiem jedynakiem, synem zamożnego ojca, adwokata dość znanego w Warszawie. Miał on się i ma podobno podziśdzień za talent pierwszej wody, za pierwszego prawdziwego komedyopisarza, za „ojca komedii polskiej“. Biednąby zaiste była ta komedia, gdyby takiego ojca miała!

Lubiał się chwalić swym animuszem rycerskim odziedziczonym oczywiście po przodkach i rozpowiadano dramatyczne historye o jego pojedynkach, które umiał zręcznie rozgłaszać. Utrzymywał, że pochodzi ze starej szlacheckiej rodziny podlaskiej, że jego dziad czy pradziad był konfederatem barskim (co dowcipnisiom dało sposobność do łatwego konceptu o fabrykacyi konfederatek) i przy każdej sposobności nosił się z dokumentami, z których najstarszy nie sięgał po za r. 1820.

Pierwsze jego kroki na niwie literackiej były ze wszech miar niefortunne. Dzięki wpływom i przewadze swej pieniędzy, wystawił on w r. 1869 sztukę p. t. „Bez posagu“, rzecz nędzną, choć zręcznie pod względem scenicznym napisaną. Ponieważ jeszcze nie należał do żadnego stronnictwa literackiego, więc osądzono go za tę próbkę jak należało. „Kuryer warszawski“ pisał „wyszliśmy wczoraj z teatru z takim wra-

zeniem, z jakim np. odchodzi się z przed zna-nej, blade kolorowanej litografii, przedstawiającej kilka figur, którym z ust wychodzą kartki z elementarзовymi aforyzmami; przyznajemy młodemu autorowi, iż mu jego szkic zgrabnie się napisał, ale otwarcie upewniamy, że w nim nie ma ani oryginalności pomysłu, ani świeżego humoru, ani też siły argumentacyjnej, zdobytej pracą ducha samodzielna, patrzeniem w życie własnymi oczami“.

Ocena ta była zupełnie słuszną i do pewnego stopnia, do wszystkich późniejszych prac pana Zalewskiego może być zastosowana. Człowiek ten nie ma talentu, tylko ma zręczność; nie stworzył ani jednego typu, ale za to komedye jego są jedynie robotą sceniczną, sztuczkami teatralnymi, w których nic niema nowego, wszystko to już spektator gdzieś widział, czytał lub słyszał. Jest to majster od komedyi, ale nie autor, nie komedyopisarz. Złośliwi opowiadają nawet, że myśl do najlepszej swej komedyi p. t. „Spudłowali“, wziął z jakiegoś libretta francuskiego.

Pomimo tego jednak, że „Kuryer“ tak surowo się obszedł z pierwocinami twórczości literackiej pana Zalewskiego, znalazł się on wkrótce między współpracownikami tego pisma. Pisywał tu poezye. Jako próbkę tego rodzaju prac przytoczymy tu ustęp z przetłomaczonego z Berangera poemaciku p. t. „Tęsknota za rodzinna wioska.

„Wyście mówili: „młody góralu
Pójdź z nami, słuchaj głosu natchnienia,
Tam teatr, sztuka, przepych — o żalu
Zapomina. Paryż gusta odmienia“.
Przyszedłem. Patrzcie dziś twarz mam inną,
Wasz blask za mocno we mnie ugodził.
Oddajcie góry, gdzie się urodził,
Wróćcie mi moją wioskę rodziną“.

Pomijając wybór nie dość szczęśliwy, zwłaszcza, że z Berangera można było tyle pięknych rzeczy wybrać, zdradzający pewien ckliwy sentymentalizm w panu Zalewskim, wiersze są jeszcze nędzne, kulawe, dziadowskie, świadczące o mozolnej pracy tłumacza, by rymy dobrać i sens jaki taki wykleić. Wkrótce potem ukazał się oryginalny wiersz pana Zalewskiego, dowodzący, że marzył o laurach poetycznych, człowiek, który ani krzty poezji w sobie nigdy nie miał. Wiersz ten przytem jest wyraźnem naśladownictwem tego kierunku, który nazwałbym społecznym, jaki Miron wówczas uprawiał, tego podnoszenia biedy i nędzy maluczkich. Tylko że Miron miał talent, był poetą z Bożej łaski, a pan Zalewski nie. Elukubracya, o której mówię, nosi tytuł „Kancelista“ i brzmi jak następuje:

„Od lat dwudziestu czterech jestem na urzędzie,
Rozliczne referaty kopiując na czysto;
Władza mając gorliwą pracę mą na względzie,
Mianowała mnie wreszcie starszym kancelistą,
Urzędnikiem do pisma starszym — więc zasługa

Bądź co bądź, przynależne zyskuje uznanie;
Prawda, chwila czekania była nieco długa,
Lecz na tej pięknej drodze człowiek nie ustanie,
Mam przecież perspektywę, że za lat niewiele...
Do licha! szósty krzyżyk dzisiaj liczę sobie,
I zanim nowy awans fortuna uścieli,
Przyjdzie inną posadę zająć... może... w grobie.
Nie mam komu zostawić mej emerytury,
A na czyn zbyt zuchwały umysł się nie waży,
Żona, dzieci, dom własny... to zbytek, na który
Stać tylko wielkich panów, albo dygnitarzy.
Ja nie byłem z nich żadnym, więc dziś sam na świecie...
Pędem strzały odbiegła mnie miłość jedyna,
A jednak, jabym bardzo kochał moje dziecię,
Zdaję się, że mój awans oddałbym za syna,
Kształciłbym go. Ha! nie wiem, na cobym go chował,
Bo trudno jasnym okiem patrzeć w przyszłość mglistą,
Lecz nie chcę, by w dwadzieścia lat raz awansował...
Lepiej nie żyć niż jak ja umrzeć kancelistą...“

Nazwałem ten utwór elukubracyą, a w rzeczy samej jest on czemś niższem, bo ćwiczeniem czwartoklasisty. Że takie rzeczy wtedy Szymonowski drukował, zaprawdę dziwić się należy, gdyż bądź co bądź, redaktor „Kuryera warszawskiego“ był starym, wytrawnym literatem, znającym się na przedmiocie, i w wierszach własnych dbającym o formę, zawsze prześliczną. Ale przecież i „Bez posagu“ wystawiono na pierwszej scenie polskiej!... może dlatego, że komedycę tę Chęciński poprawiał, przerabiał, na

nice wywracał i zrobił tyle, że z głupstwa stworzył mierność.

O udziale pana Zalewskiego w „Niwie“ opowiemy we właściwym miejscu. Później nabył on od Lewestama gazetę „Wiek“ i został jej redaktorem, pisał komedye, tłumaczył Moliera, a nawet brał pierwsze nagrody na konkursach.. lwowskich. „Są cuda na ziemi i niebie“ — powiada Szekspir. W walce z młodą prasą bezpośredniego nie brał udziału, był na to za leniwy, za zręczny i za ostrożny, ale pośrednio mieszał się do niej, psy wieszając na wszystkich przeciwnikach, uważając ich za łotrów ostatnich i zdrajców dawnej tradycyi. Boże kochany! jakby to oni zdradzili Jerozolimę lub Franciszkańską ulicę!..

Tejże wiary geniuszem i równie pełnym pychy jak i pan Zalewski, był inny poeta, pojawiający się w tej porze i noszący nazwę Klemensa Podwysockiego. Przyjechał on z Wołyńa czy Podola i licząc już przeszło czterdzieści lat wieku, zabrał się w Warszawie do pisania wierszy, bo nie poezyi. Oczywiście dotąd, tam w t. zw. guberniach południowo-wschodnich pisywał tylko poezye okolicznościowe, panegiryki na urodziny jakiej odrośli szlacheckiego domu, treny na śmierć jakiej wielkości parafialnej, albo akrostychy na wiwat przy zaślubinach młodej pary. Dzięki temu miał pewną sławę w swej

okolicy rodzinnej, sławę, która jednak po za kopce parafialne nie wyszła. Był on tam nauczycielem domowym, a teraz, doszedłszy już pewnych lat, postanowił przenieść się do Warszawy i tu pracować dla sławy... i chleba. Miał on to przekonanie, że go tam przyjmą jako poetę z otwartymi rękami, posadzą na pierwszym miejscu i obsypią jeżeli nie złotem, to „bumażkami“, jak zwykle nazywał ruble papierowe.

Posiadał on bardzo mały i drobny talencik, jeżeli można tem mianem nazwać wiersz gładki i wodnisty. Nie przeszkadzało to jednak Podwysockiemu nosić się dumnie i mieć się za poetę, godnego zasiąść obok Mickiewicza i Słowackiego. Znając dobrze język francuski, którym mówił płynnie, zabrał się do tłumaczenia niektórych poezji Wiktora Hugo, ale jeżeli przekład był gładki i wymuskany, to w żadnym razie nie odzwierciedlał ani siły, ani charakteru poety francuskiego. Owszem, u Podwysockiego zdarzały się czasem takie np. wiersze:

„W Toledzie sama gasła królowa
Bładła jak nic“.

Jakim sposobem można „blednąć jak nic“, nie wiem, i sam Podwysocki by tego wytłómaczyć zapewne nie potrafił. Pamiętam jak Ordon raz czytając jakieś wiersze Podwysockiego pokładał się od śmiechu na kanapie, na której siedział,

a był to jakiś utwór epiczny i poważny. Mimo to Podwysockiego chętnie drukowano, gdyż popolitością swej formy, miernością i brakiem myśli nowej i świeżej, odpowiadał w zupełności usposobieniom redaktorów gazet warszawskich. Podwysocki zresztą, jakem to powiedział, nosił się górnie, dużo mówił o idealizmie, o posłannictwie poety i imponował ludziom. Stąd gardził nową szkołą pozytywzą i należał do konserwatystów, choć w życiu nie był ani idealistą, ani też konserwatystą. Twarz miał typowego satyra, był brzydki i chudy. Czoło wysokie, ale w skroniach zapadłe, oczy małe, niebieskie, usta duże, wywinięte, zmysłowe, broda nader starannie utrzymana i pachnąca fiksatuarem — oto Podwysocki. Miał się jeżeli nie za pięknego, to za bardzo przystojnego mężczyznę, któremu dość spojrzeć na kobietę, by jej głowę zawrócić. Nosił się z głową zadartą, stawiając nogi jak pajac i zachowując w ruchach pewną śmieszłą elegancję i szykowność złotego młodzieńca z przed lat czterdziestu. Był gwałtowny i gdy go kto ośmielił się skrytykować, wpadał w niepohamowany gniew. Raz, jednego z takich krytyków, A. G. Bema, o którym później kilka słów powiem, publicznie na ulicy zwymyślał; innym razem Wiślickiego wyzwał na pojedynek. Niejakiego Szmita, którego żona otworzyła zakład przemysłowy dla kobiet i szereg prelekcyi

urządziła, zbił laską na Nowym Świecie [za to, że mu wymówił dawanie tych lekcji. Później został nauczycielem języka francuskiego w gimnazjum w Częstochowie, przestał pisać poezye i znikł z horyzontu literackiego, bez szkody żadnej dla samej literatury.

W walce z nową szkołą nie uczestniczył wcale. W r. 1872, w chwili, gdy ta walka dochodziła do swego punktu kulminacyjnego, Podwysocki wystąpił z prelekcją publiczną w salce Towarzystwa dobroczynności, „O pozytywizmie i idealizmie“. Oczywiście odczyt był lichy; prelegent ani o tym, ani o tamtym kierunku nie miał pojęcia, bo był to człowiek bardzo źle wykształcony i mający tylko salonowe polory tego wykształcenia. Najzabawniejszem było to, że mówiąc o teorii Darwina, której rzecz prosta, nie czytał, tak się wyraził: „niech mi pan Darwin daruje, ale...“. Wywołało to w sali wśród słuchaczy śmiech i stało się przedmiotem później licznych żartów z Podwysockiego, które gniewały go nadzwyczajnie, a że wychodziły z obozu pozytywistów, więc w jego wyobraźni nabrali oni jakichś szatańskich kształtów. Więc też wygadywał na nich, co mu tylko ślina do ust przyniosła.

Któż jednak nie wygadywał wtedy na nowy kierunek, jakkolwiek bardzo nie wielu zrywało się do walki. Cechą charakterystyczną starej

prasy (tak ją teraz nazywano) było to, że nie była wcale ona skupioną koło jednego, że tak powiem, sztandaru. „Kuryer warszawski“, który od początku wiódł podjazdowe utarczki z pozytywizmem, stanowił obóz odrębny i zamknięty w sobie. Obok niego, boczając się na swego współzawodnika stał „Kuryer codzienny“, redagowany na sposób dawny, z chęcią dogodzenia wszystkiemu, co jak wiadomo, jest najlepszym środkiem niedogodzenia nikomu. Przytem był on trochę niedołączny i zacofany. Redaktor Karol Kucz, był człowiekiem poczciwym, zacnym, znało go całe miasto, ale należał do dawnej rasy redaktorów i nowszych poglądów i prądów nie pojmował. Do sporów się nie mieszał, gdyż wszyscy dla niego byli dobrzy i poczciwi, a przytem, że te spory wszczynał „Kuryer warszawski“, którego z natury rzeczy lubić nie mógł.

Z dwóch gazet dużych, „Gazetę polską“, własność Kronenbergów, redagował Sikorski, trochę muzyk, trochę krytyk muzyczny, trochę drukarz. Gazeta była nędzna; wobec nowego kierunku nieprzyjazne zajmowała stanowisko, ale do walki się nie mieszała. Z nią dawne współzawodnictwo miała „Gazeta warszawska“, nie mniej słabo prowadzona przez Józefa Keniga, który nie wiadomo skąd i dlaczego zyskał sobie sławę wybornego dziennikarza, kiedy pisma prowadzi nie umiał, owszem dowiódł je do upadku. Ga-

zeta rzeczona oprócz polityki i czasem teatru, o którym Kenig sążniste pisywał fejletony, zwykle ich nie kończąc, niczem innem się nie zajmowała. Dla niej kraj, ruch w nim umysłów, nic nie istniało. W walce więc udziału nie brała, choć samo się przez się rozumie, że nowemu kierunkowi była niechętną, a nadewszystko traktowała go z pogardliwą obojętnością, jak wszelkie objawy życia w kraju. Pan Kenig był wyższy nad tego rodzaju rzeczy i doprowadził gazetę w końcu do ruiny. Wprawdzie mówił on bardzo pięknie, umiał oszołomić każdego swą elokwencyą, bystrością umysłu, dowcipem, cóż kiedy tego nie okazywał w gazecie! Był leniwy, nic nie czytał i niczem się nie zajmował. Osobistość to zresztą dość znana w mieście. Wysoki, z twarzą ruchliwą i charakterystyczną, z długimi włosami i brodą, robił wrażenie artysty z czasów cyganeryi literacko-artystycznej, czasów, których wiernym synem i wychowalcem pod wielu względami był Kenig.

Na czele „Tygodnika ilustrowanego“ stał jak zawsze Ludwik Jenike, Niemiec z pochodzenia, ale człowiek poważny i uczciwy wysoce. Natura odmówiła mu talentu literackiego i wszelkich zdolności. Wspominałem już, że „Tygodnik“ oddawał się z namiętnością rysowaniu i opisom starych ruin, zamków, kościołów; było to pismo z charakterem wyłącznie archeologicznym, za-

grzebane w przeszłości i nie czując wcale tętna chwili bieżącej. Fejletony, czyli tak zwane „kroniki“, pisywał Wacław Szymanowski i temu to zapewne przypisać należy, że od czasu do czasu „Tygodnik“ robił lekką wycieczkę w kierunku obozu młodego i zwykle pobity szybko się cofał w swe reduty, z kupy starych kamieni wzniezione. Na piśmie tem odbijał się w zupełności charakter i fizyognomia jego redaktora. Było ono tak samo suche jak Jenike, tak samo długie jak on, także nieruchome i drewniane, tak samo pobłażliwe i względne, jak zacna skądinąd dusza jego kierownika.

W „Tygodniku mód“, zwanym dawniej „Magazynem“, siedział Jan Kanty Gregorowicz, znany w literaturze pod pseudonimem Janka z Bielca, typ dawnego polonusa, z białymi sumiastymi wąsami. Był to człowiek z talentem niewielkim, inteligencją jeszcze mniejszą i całkiem nie pojmował nowego kierunku literacko-społecznego. Jakkolwiek najlepszego serca, duszy szczerzej i otwartej, gorąco przywiązany do wszystkiego co swoje, kilkakrotnie zaczepiony przez „Przegląd“ stał się krzykliwym, namiętym, nieprześląganym wrogiem młodych pisarzy.

Była jeszcze jedna forteca starej prasy, z pozoru najsilniejsza i najtrudniejsza do zdobycia. Mówię tu o „Bibliotece warszawskiej“. Królował tu Kazimierz Władysław Wójcicki, spoczy-

wający na laurach dawnej sławy, interesujący niezmiernie typ rodzaju literackiego, ze swą fizyognomią oryginalną, twarzą podługowatą, dziwną, niepolską, wielkimi oczami czarnymi i włosami, które rosnąc na skroniach tworzyły nad łysą czaszką rodzaj dwóch wystających wichrów. Obok niego był stary poczciwy Szabrański, sędzia apelacyjny, tłumacz „Nibelungów“, w którego mieszkaniu mieściła się redakcja „Biblioteki“, i który, stary kawaler, zachował do końca życia humor jowialny i nieprzebrany zapas conceptów i opowieści ze swego długiego życia. Co niedziela, między godziną 11-ą a 2-gą odbywały się w „Bibliotece“ zebrania literacko-sądowe, na które przychodziło nieraz po kilkadziesiąt osób. Przyjęcie było bardzo skromne: bułki, masło, serdelki, wódka, piwo, oto wszystko. Zachodzili tu także od czasu do czasu niektórzy z członków przyszej młodej prasy; pojawiał się Chmielowski, Przyborowski, Ochorowicz. Wójcicki dominował na tych zebraniach ze swem „łaskiewy panie“, i przy zdarzonej sposobności piorunował na młodą prasę, tonem najgłębszego, najserdeczniejszego oburzenia. Inni słuchali tego spokojnie i zimno, jakby nie wierzyli w szczerść tych słów. Zjadłszy serdelki rozchodzono się w najlepszej zgodzie i tem przekonaniu, że nowe kierunki nie mają przyszłości.

VIII.

Bolesław Limanowski. — Ernest Świeżawski. — Gustaw Roszkowski. — Zgliński. — Henryk Sienkiewicz. — Bogumił Aspis. — Aleksander Świętochowski.

A tymczasem te nowe kierunki rozszerzały się coraz bardziej i zyskiwały coraz więcej prozelitów; czarne chmury, dotąd wieszające się na skraju horyzontu, zajmowały teraz pół nieba i groziły rychłym trzaskiem piorunów i zawiechą. W r. 1869 w „Przeglądzie“ napotyamy nowe osobistości, po większej części imiona, które odtąd znane być mają w literaturze, a niektóre z nich nawet świecić z czasem będą takim blaskiem, jakiego żaden z członków starej prasy nie osiągnął nigdy.

Okolo tego roku zjawia się w Warszawie Bolesław Limanowski i pisywać poczyna do „Przeglądu“ przeważnie w kwestyach socyologicznych, którym i później pozostał wiernym. Nie długo

tu bawił, dlatego mało go pamiętam; przesunął się przed okiem moim jak mglisty obraz, w którym jednak znać było niektóre zarysy tak silnie, że zrobiły one na mej wyobraźni wrażenie niezatarte. Wysoki, szczupły, z twarzą suchą, zawiedłą, brodą ciemno-blond i rozczochraną, oczami palącemi, przypominał mi swą postawą, ruchami, głosem, typ spiskowca, jednego z tych co urządzili „spisek prochowy“ w Anglii i których tak dosadnymi barwami odmalował Macaulay. Zresztą bardzo mało znałem Limanowskiego, czego dziś żałuję, bo poza jego znaczeniem literackim, jest to jeszcze postać historyczna, postać która miała swój udział, odegrała jedną scenę w wielkiej tragedji dziejowej... Zabawiwszy jakiś czas w Warszawie, Limanowski wyniósł się zagranicę i odtąd pisywał bardzo wiele...

Drugą nową siłę „Przeglądu“ stanowił Ernest Świeżawski, student Szkoły Głównej, który oddawał się studjom historycznym i pisywał o Bucklu i o różnych przedmiotach historycznych. Był to autor, który żadnego pożytku nie przynosił piśmni, owszem szkodę wielką. Jakkolwiek bowiem już wtedy umiał on wiele i ciągle pracował nad sobą, jednakże pozbawiony zupełnie talentu pisarskiego, tego co umiał, wypowiedzieć nie już pięknie, ale choć jako tako, byle jasno, nie potrafił. Okresy w jego artykułach były tak zawile, tak ciężko wystylizowane i wypra-

cowane, że pomimo najszczerzej chęci nie można było wcale zrozumieć o co autorowi idzie i czego chce. Jednym słowem do Świeżawskiego możnaby zastosować w zupełności słowa Onacewicza o Lelewelu, że pisze rzeczy bardzo ciekawe, „szkoda tylko, że dzieła jego dotąd na język polski nie są przełożone“. Później Świeżawski nieco się wyrobił, pisze dziś przynajmniej tak, że go zrozumieć można, choć po dawnemu na każdej nieomal kartce okazuje zupełny brak talentu pisarskiego. Jako przykład stylu Świeżawskiego podaję tu ustęp, wzięty z przedmowy do drugiego tomu jego „Zarysów badań krytycznych“.

„...obecnie, puściwszy w świat pierwszą z tego zbioru rozprawę p. t. „Kronika węgiersko-polska“ i wydając drugą oraz trzecią, każda odpowiednia jednemu z zapowiedzianych trzech kierunków a za nimi następne; uważam za stosowne bliżej zastanowić uwagę czytelników nad zakresem i celem, metodą i wykonaniem wspomnianych zarysów“.

Wybraliśmy okres, który jeszcze jako tako zrozumieć się da, ale ileż to u Świeżawskiego, zwłaszcza w jego artykułach dziennikarskich było zdań, stanowiących nierozwiązalną łamigłówkę dla najpobłaźliwszego czytelnika.

Pisywał także w tym czasie do „Przeglądu“ Gustaw Roszkowski, student Szkoły Głównej,

wtedy nizki, pulchniutki, rumiany chłopiec, a później profesor uniwersytetu lwowskiego, dziś już podobno nie żyjący; pisywał Gustaw Doliński z wydziału lekarskiego, dziś głośny lekarz w Lublinie; pisywał Piotr Chmielowski, który przy pośrednictwie Przyborowskiego dostaje się znów do „Przeglądu“, tłumaczy słynne przedmowy Dumasa syna do własnych sztuk teatralnych, które wtedy wyszły w zbiorze kompletnym.

Z poetów odznacza się Zgliński. Prawdziwe jego nazwisko Frajdensohn i w tej chwili miał on już za sobą pewną przeszłość pełną przygód. Jakkolwiek pochodził z rodziny kupieckiej, jak większość rodzin jego rasy, posiadał on popędy artystyczne. Ponieważ miał twarz o rysach silnie akcentowanych, profil rzymski, więc zdawało mu się, że może zostać aktorem i w tym celu udał się do Krakowa i wstąpił do trupy tamtejszej. Karyera ta jednak wcale mu się nie udała; porzucił ją więc, powrócił do Warszawy i oddał się literaturze. Później opisał swą epopeję aktorską w osobnej książce, w której Kraków nazywał, dość zresztą słusznie, Gawronowem. W „Przeglądzie“ pomieszczał poezye niezgorsze. Jako człowiek był bardzo dobry, bardzo uczynny, spokojny, równy, cichy i nie miał w sobie ani wad, ani przymiotów plebienia, do którego należał przez krew, wychowanie i religię. Lubiliśmy go wszyscy bardzo, choć trzymał on się zdaleka,

nie wysuwał naprzód, do walki i sporów nie mieszał się wcale. Jego drobny talent pisarski, nie stawiał go na pierwszym planie, a temperament flegmatyczny i spokojny ochraniał go od blagi i pychy, właściwej wielu miernościom literackim. Jednem słowem był to z gruntu dobry i miły człowiek.

W tym czasie poraz pierwszy występuje także w „Przeglądzie“ Henryk Sienkiewicz, student wydziału filologiczno-historycznego. Miał on z czasem zasłynąć tak wielkim rozgłosem, przyćmić blaskiem swoim tak dalece wszystkich, niemniej może od niego zdolnych, tylko mniej szczęśliwych i zręcznych, że warto przypatrzeć się początkowej jego karyerze literackiej.

Jaką drogą dostał się do „Przeglądu“ nie wiem, dość że w r. 1869 drukuje tam pierwszą swą pracę. Jest nią sprawozdanie o wystąpieniu gościnnem Rapackiego, podówczas aktora teatru krakowskiego w „Naszyc najserdeczniejszych“. Później nieco napisał studyum o poezjach Mikołaja Sępa Sarzyńskiego, które wydrukował w „Tygodniku ilustrowanym“. Świadczyło to, że po prostu szukał zarobku, że mu wtedy nie szło o kierunek literacki i podobno mu nigdy o to nie chodziło. Poza tem był to wtedy bardzo sympatyczny i bardzo przystojny młody człowiek, o dystyngowanej fizygnomii, dużych, ciemnych, rozmarzonych i głębokich oczach, o we-

sołem i nieco sarkastycznym usposobieniu. W rozmowie był dowcipny, a dowcip jego miał charakter szlachetny, choć zjadliwy. Lubił rozprawić o swym rodzie i pokrewieństwie arystokratycznym z Cieciszowskimi. Jedną z Cieciszowskich była wtedy ksienią panien Kanoniczek w Warszawie i Sienkiewicz zwał ją swą ciotką, współcześnie lekko żartował sobie z tego. Czy istotnie pochodził z rodziny arystokratycznej, nie wiem, gdyż byli tacy, co temu przeczyli i o jakimś domku na Pradze mówili, który miał być miejscem rodzinnym przyszłej gwiazdy literackiej. On sam utrzymywał, że się rodził na Podlasiu.

Jakkolwiek bądź, był on wtedy bardzo biedny, bardzo skromny i wiecznie potrzebujący pieniędzy. Później nieco mieszkał na ulicy Niecałej pod Nr 12, gdzie wraz z Leopoldem Mikulskim, o którym we właściwym czasie powiem słów kilka, zajmował dwa pokoiki. Nad łóżkiem u niego wisiały jakieś czarne portrety, mające przedstawiać przodków Sienkiewicza. Bądź co bądź było wtedy koło niego krucho i Mikulski krzywił się nieco na tę współkę. Pisywał wtedy fejetony w „Gazecie polskiej“, które mu niewiele przynosiły. Jeszcze nikt nie uważał go za wielkość, nie owiało go jeszcze świeże powietrze amerykańskie i stepy i puszcze Nowego Świata, jeszcze sam nie był tego przekonania,

że na nim się zaczyna i kończy literatura polska, jak to podobno teraz, jeżeli nie głosi, to daje poznać każdemu, kto się doń zbliży.

Tłómaczył na współkę ze Zglińskim i zdaje się z Przyborowskim słynną powieść Wiktora Hugo p.t. „Rok dziewięćdziesiąty trzeci“ dla „Przeglądu“, drukował w tymże „Przeglądzie“ w dodatku swe „Humoreski z teki Worszyłły“ a później w „Wieńcu“ powieść „Na marne“. Zrazu zdawało się, że stanowczo przyłączy się do stronnictwa młodej prasy, z którą wiązało go po większej części koleżeństwo szkolne i jednomyślność przekonań. Inaczej się miało stać. Z „Przeglądu“ powoli wysuwał się i przenosił do „Gazety polskiej“, gdzie ulegał jej żydowsko-liberalnym prądom, tak że nie brał żadnego udziału w rozpoczynającej się walce dwóch kierunków, stał za nimi zdaleka i nawet przybierał niekiedy taką postawę, jak gdyby aprobował to co czyni i czego broni strona przeciwna młodym. Później wyniósł się do Ameryki, gdzie, według wieści, zagnała go tęsknota miłosna za głośną aktorką. Tam w Nowym Świecie, jego przestrzenie olbrzymie, wielka atmosfera, „daleki Zachód“, rozparł mu piersi szeroko, zaprawił mu wzrok do spoglądania w dal nieskończoną, tak, że wrócił jako talent niepospolity, pierwszorzędny. Ale od kierunków nowszych usunął się zupełnie, kłaniał się innym Bogom, bogatszym i ważniejszym, co

świadczy o praktycznym, kupieckim zmyśle Sienkiewicza.

W roku następnym 1870, mniej więcej te same siły pozostają w „Przeglądzie“; ubył tylko Przyborowski z powodu opisaney już historyi. Natomiast zjawia się Bogumił Aspis, naówczas nauczyciel gimnazyalny, poeta, który niegdyś zyskał sobie dość dużą sławę przez napisanie poematu p. t. „Salwator“. Kiedy ten poemat wydał, był jeszcze studentem uniwersytetu moskiewskiego. Wydawnictwo nietylko otoczyło aureolą rozgłosu czoło młodego poety, ale przyniosło mu niemałe zyski pieniężne. Jadąc z uniwersytetu do domu Aspis wstępował po drodze do Mińska, Wilna, Grodna, Warszawy i wszędzie od księgarzy zagarniał setki rubli za swój poemat, który rozszedł się prędko, tak że dziś egzemplarze jego są rzadkością bibliograficzną.

W porze, o której mówię, Aspis był już człowiekiem nie pierwszej młodości, szczupłym, chudym, o oryginalnej twarzy i poetycznie długich włosach. Mówił spokojnie, płynnie, cicho i z nieprzeblaganą logiką. Był namiętym zwolennikiem płci nadobnej i lubiał czasem pozować. Utrzymywał np. że pisze nie dlatego, że musi pisać, że go popycha do pióra nieprzełamana siła, ale z nudów. Gdy mu się nudzi, siada i „babrze“ (jego wyrażenie) poezye. W życiu, w zachowaniu się całym był oryginalnym

trochę cynicznym. Kiedy w r. 1871 „Kuryer Warszawski“ doniósł, że Aspis ożenił się w Kielcach, nadesłał do pisma tego zaprzeczenie tej treści: „racz oznajmić szanowny redaktorze, że jakkolwiek znany z wielu utworów poetycznych w pismach czasowych umieszczanych, jednakże nie ja zawarłem związek małżeński w d. 4 b. m. i r. w Kielcach, ale mój ojciec, Jan Aspis, którego niestety! jedynym i znanym utworem poetycznym jestem ja sam, Bogumił Aspis“.

Zaprzeczenie to wybornie maluje człowieka i cokolwiekbyśmy powiedzieli, jest ono cynicznym i niesmacznym. W tej dobie i talent jego, który nigdy nie był pierwszorzędnym, zmałał i zbladł. Jeżeli w „Salwatorze“ przebija się pewna siła, temperament ognisty, lubujący się w scenach lubieżnych, wiersz nieraz piękny, choć zwykle dość chropowaty, to teraz wszystkie te przymioty gasną. Myśli jest niewiele, siła niknie, a wiersz tak staje się wykuty i ciężki, że czytanie poematów Aspisa staje się istotną męczarnią. Jeszcze raz zdobył on się na rzecz piękniejszą, na poemat p. t. „Sulamita“, który czytał publicznie w Resursie obywatelskiej przyjaciół poety, Chęciński, ale i tutaj owłada na chwilę słuchaczem tylko ognista wyobraźnia i jaskrawe malowanie scen miłosnych—poza tem nie ma nic więcej. Drobniejsze utwory Aspisa nie zasługują wcale na uwagę.

Do sporów literackich tej doby nie mieszał się wcale; stał poza nimi, na uboczu i nie go one nie obchodziły. On żył w świecie swoich własnych myśli i własnych pragnień, zresztą świat się mógł walić. Później ożeniwszy się kupił „Opiekuna domowego“, pismo tygodniowe, które wydawał przez jakiś czas, ale redagował kiepsko. Zresztą to już do rzeczy nie należy...

W tymże 1870 r. występuje na scenę „Przeglądu“ Aleksander Świętochowski. Był on wtedy studentem Szkoły Głównej, z wydziału filologiczno-historycznego. Szczupły, chudy, zawiędły, z twarzą podługowatą, płcią ciemną, brodą, na której puszczał się rzadki, zaniedbany zarost — oto Świętochowski. Do „Przeglądu“ wprowadził go, jak się zdaje, Chmielowski, z którym się przyjaźnił. Pierwszą pracą literacką nowego adepta, była krytyka poemaciku Pługa p. t. „Przyjaciele“. Już w tej pierwszej próbie widać ton szermierski, namiętny, polemiczny i cięty, który odtąd miał stanowić cechę charakterystyczną pióra Świętochowskiego.

„...to za obszerne, jak na zasługę, przytoczenie treści, mówi w końcu krytyk, niech mi darują ci wszyscy, którzy są zwolennikami zdrowego rozsądku i wyznają tę słuszną zasadę, że lichocie nie warto jest poświęcać wiele czasu i miejsca; są bowiem chwile, w których trzeba uparcie walczyć z tem, co zdawałoby się na po-

zór nie mieć żadnych warunków życia; są pisarze, którzy istnieją jedynie przez nicość swych myśli, są podrobione talenta, których rozgłos pozostanie wieczną dla trzeźwego umysłu zagadką.

„Nie wiem jak kogo, ale mnie nic bardziej nie razi w naszym najnowszym piśmiennictwie, jak owa martwość myśli, wstręt do wszelkiego ruchu naprzód, to płaczliwe bałwochwalstwo dla tego, co minęło, bezmyślne poetyzowanie niedo-
łęstwa, ta przesadna czułośćkowość, to nakoniec nieustanne przeżuwanie i przybieranie w najroz-
maitsze formy prawd starych“.

W ustępie tym maluje się cały człowiek, który z czasem, ba! wkrótce potem miał rozognić walkę i miał się stać wodzem nowego kierunku literackiego, bo nie społecznego. Jakkolwiek o samym Świętochowskim, jako człowieku, nie umiem wiele powiedzieć, gdyż go nigdy bliżej nie znałem, nie sympatyzując z tą naturą suchą a współcześnie ognistą, z tym mnichem średniowiecznym, przebranym w szaty pozytywisty, to przecież wiedziałem, że wówczas, w dobie pierwszego rozmachania swych skrzydeł do lotu, społeczeństwo, w którym Świętochowski żył, nie wiele go obchodziło. To „kretowisko“ jak się sam wyrażał, było dlań za małe, za ciasne i za nędzne. I później gotów był dla mrzonek ogólnoludzkich poświęcić swoje „ja“ społeczne. Dowodzą

tego jego nowelle: „Chawa Rubin“, „Karl Krug“ i „Damian Capenko“, którym pozwalał żyć w domu swoim, choć już do domu tego dyabli wiedzą kto nie wchodził i pierwotnego gospodarza wyrzucał.

To usposobienie, ten pogląd na rzeczy, nadzwyczaj mi się nie podobał i zbrzydził mi człowieka bez zaprzeczenia bardzo utalentowanego, i jakby stworzonego na szermierza stronnictwa. Pogląd ten nakoniec w większej części przyczynił się do tego, że całemu stronnictwu zarzucano odszczepieństwo, a nawet zdradę. Winien temu wyłącznie Świętochowski. Natura to była tak namiętna i do tego namiętna na zimno, stąd raczej zacięta, że gotów był wszystko obalić, wszystko podeptać, oplwać i splugawić, byle na swoim postawić.

Ale nie uprzedzajmy wypadków. Opowiem to zaraz szczegółowo, zwłaszcza, że epoka walki ostatecznej, wielkiego boju, który stoczyły ze sobą dwa stronnictwa, a w którym Świętochowski pierwszorzędną odegrał rolę, już jest tuż przede mną. Był on, jak się ktoś wyraził, hetmanem stronnictwa, a ja bym powiedział: nie hetmanem, ale jego rzecznikiem i adwokatem. Do hetmaństwa, oprócz odważnego prowadzenia w bój, trzeba posiadać jeszcze umysł organizacyjny, a Świętochowski go nie miał. Nie mając miłości gorącej do tego pnia, na którym wyrósł,

mógł tylko burzyć a nie tworzyć, mógł deptać tych, których inni już deptali. Ten fakt świadczy, że to był człowiek mały; umysły podniosłe, serca wielkie, nie opuszczają nigdy nieszczęśliwych i słabych, choćby ci byli dla nich obcy; znajdują pewną dumę i rozkosz w tem, że mogą bronić tych, których wszyscy szczwają. Tej szlachetności Świętochowski nigdy nie miał, a może i miał, tylko zagrzebała ją w sobie namiętność stronnicza, rozgoryczenie walki i doktryneryzm. Był to temperament ognisty na chłodno i przypominał inkwizytorów średniowiecznych. Gdyby żył w owych czasach zostałby Arbuesem, Torquemadą lub Laubardemontem, stawiałby stosy i palił na nich heretyków. Straszna po za tem wszystkiem postać; fizyognomia ascety lub filozofa. Gdyby go cofnąć o XIX wieków w tył i przenieść do Galilei, nad turkusowe jezioro Tyberyadzkie, dać mu więcej spokoju i więcej miłości, przypomniałby swą twarzą wielkiego reformatora, tak jak go malowali Grecy. Dać tylko ramy orientalne, tło złote i nimbus gwiazdami usiany... Miał on i ma podobno podziśdzień swoich uczniów, ubóstwiających nauczyciela i zwących go „mistrzem“. Słyszając o tem i patrząc się na tę postać, przypominają ci się stare dzieje Kany Galilejskiej lub Sokratesa. Tylko mistrz nowożytny nie wypije cykuty, ani na Golgotę nie pójdzie...

Takim był człowiek (przynajmniej wtedy, bo dziś nie wiem jakim on jest), który toczącą się leniwie i ospale walkę dwóch prądów, rozognił, roznamiętnił, oblał jaskrawym blaskiem. Programu on nie stwarzał; stworzyli go inni; jego zresztą obchodziły tylko sprawy literackie a nie społeczne. ^{Falsz!} Stąd doniosłości tej walki nie rozumiał, granice jej zacieśnił, sprowadził do nizin sporu filozoficznego o metodę badania, do sporu literackiego, do osobistego swaru, o to, by się inni mu usuwali, bo on tam chce usiąść. Właściwy zaś program społeczny, właściwy zwrot w umyśle zbiorowym wywołali inni, cichsi, skromniejsi, ale owiani gorącą miłością, zakryci ognistym mieczem tego Archanioła polskiego, jakim był Świętochowski, zagłuszeni wrzawą, jaką czynił koło siebie.

W żadnym razie hetmanem stronnictwa nie był i dziś nim nie jest. Dziś pozytywizm (bo wreszcie użyjmy tej nazwy nic nie malującej odnośnie do stosunków literackich warszawskich) nie ma żadnego znaczenia; podobny jest do do tych starych mieczy, niegdyś pożytecznych w walce, a potem zachowywanych w muzeach na pamiątkę. Zrobił on swoje i legł między zużytymi narzędziami, syt chwały i wspomnień. Dziś może on tylko mieć znaczenie filozoficzne jako metoda badania, ale znaczenia społecznego nie ma żadnego. Tak go też zawsze pojmował Świę-

tochowski i takim go przedstawiał w swej „Prawdzie“, tygodniku, który później począł wydawać. Ale co dziś jest dobrem i właściwem, nie było takim przed dwudziestu laty. Wtedy nie szło o taką lub inną metodę badania, ale o rzeczy stokroć większe, o obudzenie umysłów drzeмиących w apatycznym śnie, o obudzenie energii. Świętochowski tego wcale nie rozumiał i dlatego, jeszcze raz powtarzam, hetmanem stronnictwa nigdy nie był i być nim nie mógł.

Zato był on niepospolicie utalentowany jako pisarz. Ale i w talencie jego maluje się w sposób wybitny jego charakter i usposobienie umysłowe. Był to stylistą świetny, błyskotliwy, pełen oryginalnych zwrotów i porównań, cięty, zjadliwy, ale zimny. Styl jego robił wrażenie pięknego posągu z marmuru, Galatei, której żaden Pigmalion ożywić i rozgrzaćby nie potrafił. Zachwycił on smakoszków literackich, ale nikogo unieść nie potrafił; czytanie jego pism było wspaniale zastawioną ucztą, od której jednak wstawało się głodnym i chłodnym. Nie było tam za grosz uczucia i serca; wielkie wypadki i wielka przeszłość, tego człowieka nie rozgrzewała.

Po za stylem miał talent twórczy, ale jak wszystko w nim chłodny i giętki jak stal. Na życie się nie patrzył, w „kretowisku“ i „bagnisku“ własnego otoczenia nic takiego nie widział, coby

warte było studyów i badań; on miał swe własne poglądy filozoficzne, które mu się wydawały alfą i omegą mądrości świata. Te poglądy wcielał w swe kreacye powieściowe i dramatyczne, tworzył ludzi bez krwi i kości, postacie fantastyczne, wykute z przepysznego marmuru i rozprawiające filozoficznie. Tak dalece nie przywoił sobie techniki powieściowej i dramatycznej, że wszystkie jego postacie, w jakimkolwiek byłyby położeniu i do jakiegokolwiek należałyby narodu lub sfery, mówią jednym językiem, jednymi zwrotami, jednym słowem mówią tak jak autor.

Ale to są wszystkie rzeczy, które nie należą do mego przedmiotu; objaw to późniejszej działalności Świętochowskiego. Teraz jest on tylko dziennikarzem, namiętym, gwałtownym, ciętym, rzucającym się na wszystko i wszystkich. Stanowił on oczywiście dla „Przeglądu“ pożądany nabytek, ożywił go, pchnął naprzód, dał mu tę szaloną siłę rzutu, przy pomocy której biegnąc naprzód łamał i druzgotał wszystko. Ale nic więcej Świętochowski nie zrobił; robili za niego inni, którym z kolei rzeczy należy się bliżej przypatrzeć.

XI.

Wiersz Ordona. — „Gwiazdy upadłe“ Wiślickiego. — Aleksander Messyng i jego poezya. — Echa warszawskie. — Historia białych krawatów. — Artykuł „My i wy“. — Odpowiedź na niego „Kuryera“. — Mieczysław Dzikowski i proces o „Córkę lichwiarza“.

W r. 1871 „Przegląd“ powoli zaczął zyskiwać sobie coraz większą ilość prenumeratorów; redakcyja była staranniejsza i lepsza. Poezye pisują Aspis, Zgliński, Gomulicki; pojawia się też, nadesłany, jak się zdaje, z zagranicy wiersz Ordona p. t. „Mówią, żem sztukmistrz“. Wiersz jest prześliczny, jest łabędzią pieśnią poety w „Przeglądzie“, w którym odtąd nic więcej nie drukował*).

*) Poemacik ten tak się kończy:

„Odślonię okno... ciężką głowę złożę,
I myśleć będę o śmierci, o życiu,
O tobie ziemio i o Tobie, Boże,

Z działów powieści, sam redaktor „Przeglądu“ p. Adam Wiślicki drukuje swój romans p. t. „Gwiazdy upadłe“. Rzecz to, jako dzieło sztuki bardzo słaba, co dowodzi, że Wiślicki nie miał co do nowego kierunku zdecydowanych pojęć, że ten nowy kierunek nie on, ale jego współpracownicy nadali „Przeglądowi“. Bohater romansu, sentymentalny, poetyczny, geniusz nie znany przez otoczenie, przesiąknięty manfredyzmem samolub, jest czystą reminiscencyą postaci, których tyle widzieliśmy w powieściach i poematach epoki romantycznej. Opisy natury są pełne czułości i zachwyty sztucznych; miłość do kobiety jest wszystkim, jest ideałem i celem życia; jednym słowem rzecz słaba i w niczem nie odpowiadająca kierunkowi pisma.

Pomimo to „Przegląd“ nie przestaje kpić i szydzić z tych, którzy ślą westchnienia romantyczne do czarnych lub niebieskich oczów. Właśnie w tym czasie poczęły się pojawiać w druku poezye nowego wierszoroza, pana Aleksandra Messynga. Był to także student Szkoły Głównej,

O zgonie liści i kwiatów rozwiciu;
O białym śniegu, który krew wylań
Kryje, nie dając pyłu poniewierce;
O tej, co tchnęła pulsów moich biciu
Siłę nieznaną i rozkosz nieznaną;
O dniach ubiegłych, i znów, jutro rano
Będę miał pieśni nowych pełne serce.

ale umysł zanadto mały i zanadto mieszczański, by mógł pojąć znaczenie nowego ruchu. Urodzony w Warszawie z rodziny rzemieślniczej, nie miał żadnych szerszych aspiracji i pragnień po za zarobkiem rubla. Nie wyglądał on przytem na poetę i zresztą zabawnie się nazywał. Z nazwiskiem Messynga nie wjeżdża się na parnas poetyczny polski. W kołach blizkich znajomych zwano go „mosiądzem“, ale byli tacy co przekręcali jego nazwę na *mensonge* (kłamstwo) lub nawet *mon singe* (moja małpa). Przekręcanie to usprawiedliwiała postawa i charakter nowego poety. Był niski, gruby, brzydki jak nieszczęście, z nosem pałkowatym i czerwonym, maleńkimi oczkami i twarzą krostowatą. Mówił źle i nudnie. Kiedy raz Hiżowi, redaktorowi „Kuryera codziennego“, który jako zięć Kucza, po jego ustąpieniu objął rzeczone pismo na siebie, Messyng począł coś opowiadać, Hiż spojrział na zegarek (była dwunasta w południe) i rzekł: „tylko mój panie Messyng śpiesz się z opowiadaniem, bo ja o czwartej jadam obiad“.

Namiętnie lubiał pić piwo i palić tanie cygara, których z ust nie wyjmował, tak że w kariaturach rysowano go zawsze „z cygarem w twarzy“. W trzeciorzędnych piwiarniach i kawiarniach grywał w domino i miał swe stosunki. Choć był brzydki ubiegał się za płcią, co prawda nie... piękną. Był to typ warszawskiego re-

portera. Nikt go nie szanował i wszyscy go za nic mieli, choć od wielu był zdolniejszy. Kiedy tenże „Kuryer codzienny“ zakupili bracia Orgelbrandowie, pewnego wieczoru zaprosili do redakcyi swe damy i mówiąc im o współpracownikach, postanowili przedstawić im także Messynga. Wezwali go więc temi słowy: „panie Messyng, pokaż się pan!“ Koncept był dobry, choć nieco żydowszczyzną trącający. Zresztą o Messyngu tysiące anegdot możnaby opowiedzieć, gdyby nam nie szkoda było papieru na osobistość tak podrzędną.

Otóż ten pan Messyng zaczął swą karierę literacką od poezyi, które podówczas umieszczał w „Tygodniku mód“, redagowanym przez J. K. Gregorowicza. Poezye te nic nie były warte, a „Przeglądowi“ dały sposobność do całego szeregu wybornych i zjadliwych konceptów. Dla charakterystyki, jak on takie rzeczy traktował, przytoczę ustęp dotyczący nieszczęśliwego pana Messynga:

„...Do licznych usług — pisze „Przegląd“ — jakie „Tygodnik mód“ spełnia względem swych czytelników, przybywa jedna z ważniejszych, przez pomieszczenie wzorów wierszy, jakie służyć mogą pisarzom prowentowym, aplikantom biura powiatowego, lub uczniom klasy czwartej do wyrażenia ich uczuć ku czułym Chloryndom... do których się pisze owe tajemnicze „Do“,

z trzema lub pięcioma kropkami. Na dowód przytaczam wiersz p. Aleksandra Messynga, z pewnymi komentarzami, dawno już bowiem nie udało nam się upolować takiego poetycznego *curiosum*:

„Z blasków i zórz,
Z lilii i róż
Uplotę dzisiaj ci wianek

(ciekawiśmy jak to zrobić?)

Brylantów skry,

(podziwiamy hojność w obdarzaniu swej lubej skrami brylantów. Ach! gdyby piękny balet zgodził się na takie prezenta!

Uśmiech i łzy,

(jedna strona twarzy mazgajowato zapłakana, druga głupkowato uśmiechnięta),

W każdy przysłę ci ranek.

Wśród kwiatów z gór,

Korali sznur

Niech pieści szyję twą białą,

Jak pochlebstw rój,

Niechaj śpiew mój

(poezie brak kilku zębów i śpiewem swym przeraża sąsiednie w dymniku koty)

Duszyckę zajmie twą całą.

Ja błagam cię,

Pamiętaj mnie,

Choć mozem nie wart wspomnienia.

(przez grzeczność trudno przeczyć).

Nie śmieję się już,

Ocząt nie mróz

(czyżby bogini była zezowata?)

Gdy czytać będziesz me pienia.

Ja zimny głaz
(hu, ha!)
Ujrzałem raz
Ciebie aniołku skrzydlaty,
Wśród lilii róż
(na Saskiej Kępie pod Jeleniem)
I kocham już,
Bo uwielbiam cię nad światy“.

Dopiski te, jak czytelnik widzi, jakkolwiek nie zawsze smaczne, w ogólności są zjadliwe i ośmieszające, a nadewszystko to „hu, ha“, gdy poeta mówi, „że jest zimny jak głaz“ — wyborne. Taka śmieszność raniła lepiej i dotkliwiej od najsurowszej i najpoważniejszej krytyki, a zarazem obrażała śmiertelnie tych, na których spadała.

W ogólności „Przegląd“ stał się teraz nadzwyczaj napastniczym. Rąbie na prawo i na lewo, nie zważając nieraz kogo uderzy. Wprowadził rubrykę p. t. „Echa warszawskie“, rodzaj kroniki tygodniowej i zarazem fejetonu, w którym nie było osoby i przedmiotu, którejby nie zaczął, nie wydrwił i ośmieszył. Częstokroć w tych napaściach wypływała, jak oliwa na wierzch, prywata, osobista zawiść, niekiedy zajmowano się sprawami, które nie interesowały ogółu kraju, i ktoś nie znający stosunków zakulisowych warszawskich, nie rozumiał o co tu idzie i kogo „Echa“ napadają. Tak np. na samym początku

zaczepiono „wieszczkę“, jak ją wtedy zwano, Deotymę, i jej przyjęcia literacko-artystyczne, które urządziła u siebie raz na tydzień. Że te recepcyje były z wielu względów śmieszne i nudne, że zbierali się ludzie po większej części w gęście takich znakomitości kuryerowych, jak Łuniewski lub pan Bogusławski, to nie ulega kwestyi, że należało coś o nich napisać, to także było koniecznem, z powodu, że w Warszawie o nich mówiono, a „Kuryer warszawski“ cuda o nich donosił. Z tem wszystkiem rzecz zamykała się w pewnem kole ograniczonym i kraj cały o tem nie wiedział i Bogiem a prawdą, nie wiele go to obchodziło, co się dzieje na recepcyach u „wieszczki“ Deotymy. Dlatego też pisząc o tem, należało rzecz jasno i wyraźnie przedstawić, żeby mieszkaniec Kikoła lub Pacanowa wiedział o co idzie. Tymczasem artykuł taki, jaki się ukazał w „Przeglądzie“ a raczej w jego „echach“, był dla wielu prawdziwą szaradą. Oto ten artykuł:

„Scena: salon oświetlony. Osoby: śmietanka arystokracji, milionów, literatury, sztuki; heroiną — wieszczka... ale to prawdziwa wieszczka; bohaterem pachnący, wyfryzowany, wyfraczkowany, w *białym krawacie*, młodzieniec. Scena pierwsza: wchodzi dwóch panów w czarnych krawatach i składa wieszczce ukłon. Wieszczka (spoglądając poważnie, mówi z natchnieniem):

panowie, coby było na świecie, gdyby znikł kolor biały? ziemia w zimie nie stroiłaby się białą szatą, uleciałyby gęsi edredenowe w edenowe szlaki i z serc uleciałyby niewinność. Czerwone serce nie biłoby w białym łonie pod białą gazą; zwiędłyby białe róże, strojące trumnę dziewiczą, nie byłoby białych rękawiczek i białych krawatów. Panowie, co nosicie czarne halsztuki, dla was biały krawat wydaje się niczem, drobnostką, lecz czyż nie wiecie co wyrzekł Szeling, nie wiecie co powiedział Szyling? Proszek to świat! nie masz drobnostek na świecie.. forma jest wielce ważną, i ja chciałabym, aby na moich recepcjach panowie wszyscy przychodzili w białych krawatach, naśladując w tem pana X (bohater się kłania).

„Scena druga za drzwiami, na schodach. Wszyscy co mają czarne krawaty wynoszą się, dziwiąc się postępowemu duchowi genialnej wie-szczki“.

Jakkolwiek ta śmieszna historia białych krawatów była całkiem niezrozumiałą dla Biłgoraja lub Lututowa, jednakże w sferach dziennikarskich Warszawy, wywołać koniecznie musiała oburzenie głębokie, zwłaszcza, że do tego przyłączyły się nieustanne napaści na różne pisma, a głównie na „Kuryer warszawski“. Toczyła się wówczas wojna francusko-pruska, i oczywiście nasze gazety szeroko rozpisywały się o polityce.

Zwłaszcza „Kuryer“ zabawny był ze swem pozowaniem i udawaniem głębokiej znajomości sztuki wojennej. „Przegląd“ uderzył w tę słabą stronę „Kuryera“, w osobnym artykule p. t. „Kołowacizna polityczna“.

„...śmieszność ta — woła „Przegląd“ — doszła do kulminacyjnego punktu u sprawozdawcy „Kuryera warszawskiego“. Młody ten, ale zapalony kapłan politykomanii, bieglejszy w strategice niż Moltke lub Chanzy, zniżał się do udzielania rad, wskazówek i informacyi dowódcom i ministrom francuskim. Jaka to szkoda, że generalne sztaby armii francuskiej nie czytają „Kuryera warszawskiego!“.

Odtąd też współpracownicy „Kuryera“ stali się przedmiotem nieustannych napaści „Przeglądu“. O Łuniewskim tak np. pisał:

„...czemże od anonimu różni się podpis pana Kazimierza Łuniewskiego? O pracach wierszem i prozą tego pana milczy najskrzętniejszy bibliograf i chyba tylko dla blizkiego koła redakcyjnego jego nazwisko może mieć powagę“.

Łuniewski, który był z natury niesłychanie zarozumiały, wiele trzymający o sobie i mściwy, nie mógł tej napaści pozostawić bez odpowiedzi. Odpisał więc: „w echach warszawskich ostatniego numeru „Przeglądu tygodniowego“ wyczytałem zdanie, że podpis mój w niczem się nie różni od anonimu, gdyż nazwisko me w bliz-

kiem tylko kółku redakcyjnym może być znane, a o mych pracach prozą i wierszem milczą bibliografie. Przedewszystkiem dziwię się dlaczego redakcja „Przeglądu“ odmawia mi prawa podpisywania się pod memi pracami. Powtóre logika „Przeglądu“ w tym samym artykule rozwinięta, wydaje mi się conajmniej słabą. Jeżeli bowiem za wszystkie artykuły „Przeglądu“ nie podpisane, przyjmuje odpowiedzialność moralną i materyalną redaktor tego pisma, na ostatniej stronie podpisany, cały „Przegląd“ musi być jednym wielkim anonimem, gdyż o pracach prozą lub wierszem pana Adama Wiślickiego w żadnej bibliografii nie czytałem“.

„...Wcale nas to nie dziwi — odpowiada na ostatnią uwagę „Przegląd“ — gdyż sądząc z jego (Łuniewskiego) artykułów, wąpimy aby jakąkolwiek bibliografię kiedy czytał. Jako wierny współpracownik poprzestaje zapewne na wiadomościach „Kuryera warszawskiego“, a już co do tego pisma nie mamy szczęścia“.

W tym tonie prowadzona była polemika. O panu Bogusławskim „Przegląd“ przy sposobności powiada: „pan Bogusławski, współpracownik „Kuryera warszawskiego“ — ten tytuł wystarczyć musi dla scharakteryzowania jego literackiej działalności, choćby dlatego, że o innym nie wiemy“. Zdanie to można chyba i dziś jeszcze w całości zastosować do tej znakomitości,

o której literatura polska nic nie wie, mimo, że od owego czasu dwadzieścia przeszło lat upłynęło.

Napaści te zresztą stały się tak powszechnymi i nieustannymi, że aż pismo humorystyczne „Kuryer świąteczny“ się w nie wmięszał i tak je scharakteryzował w rozmowie między Pawłem i Gawłem, dwoma osobistościami stale w tem piśmie występującymi na ostatniej karcie. Oto ta rozmowa:

„Paweł: Powiedz mi dlaczego ten „Przegląd tygodniowy“ tak rąbie? Gawel: Widzisz mój kochany, w lesie gdzie dawno siekiera nie powstała, dużo drzewa do rąbania“.

„Tygodnik ilustrowany“, a raczej jego kronikarz Waclaw Szymanowski, wystąpił pierwszy z pewnością, że tak powiemy krytyczną oceną tych napaści „Przeglądu“. „Od pewnego czasu — powiada on — pojawiło się u nas kółko młodych piszących, wśród których wielu jest zdolnych i umiejących dobrze władać piórem, ale dziwny fakt objawia się pomiędzy nimi, u nas niebywały dotychczas, bo to młode kółko polemicznie w świat występuje“. Kółko to nazwał Szymanowski dość dowcipnie, bo „bojującym kościołem literackim“; że jego członkowie „idą ławą i plwają na wszystko, nie uznają nic co było przedtem i co jest po za nimi. Oni tylko i oni

jedynie, reszta już nic nie ma, ani zdolności, ani talentu, ani wykształcenia, nic zgoła“.

„Kłosy“ zaś, wydawane przez zamożnego żyda Salomona Lewentala, i w których po zerwaniu z „Przeglądem“ osiadł na stałe Edward Lubowski i pisał tam kroniki tygodniowe p. t. „Pokłosie“, wołały: „energia skandalu robi coraz śmielsze wyłomy w literaturze“, że artykuły „Przeglądu“, „zaczynają sprawiać wrażenie ćwiczeń pisanych przez zdolnego, dobrze o rozumie swoim trzymającego młodzieniaszka“, i przy sposobności szydziły z nieznamomości gramatyki u współpracowników tego pisma.

Na wszystko to „Przegląd“ natychmiast odpowiadał, a odpowiedzi jego zaogniały walkę. Nakoniec w numerze 44 tego pisma z r. 1871, ukazał się artykuł p. t. „My i wy“, który wyraźnie zaznaczył rozdział między obu odłami literackimi, zerwał wszelkie mosty i był otwartym wypowiedzeniem wojny tym wszystkim, którzy nie należeli do „młodej prasy“. Termin ten pojawia się teraz coraz częściej. W artykule wspomnianym, napisanym, jak się zdaje, przez Świętochowskiego, cała walka, zgodnie z jego widzeniem rzeczy, ogranicza się tylko do spraw literackich i dziennikarskich, o kwestyach znaczenia społecznego niema tu jeszcze mowy, co dowodzi, że autor ich nie rozumiał i nie interesował się nimi wcale.

„...To coś — woła „Przegląd“ — to strasz-
dło, ta ława groźna, mająca zatrwożyć i zo-
hyczyć obecny literacki okres w oczach potomnych,
to jesteśmy *my*, młoda drużyna pisarzy“. Uzna-
jąc potrzebę określenia teraz stanowiska tej
„młodej drużyny pisarzy“, tak mówi: „zastój,
nieruchomość i sennaść w dziennikarstwie, leni-
stwo lub niedołęstwo w literatach, którzy coraz
bardziej mnożącym się potrzebom wysługiwać
się nie chcą lub nie mogą“, oto prawdy, które
pobudziły „Przegląd“ do zajęcia innego stano-
wiska. Utrzymuje, że tu nie o osobistości idzie,
i „odpowiedź nasza zamykać się będzie w gra-
nicach pytania, kto jesteśmy *my*, a kto jeszcze
wy wielcy, zaci, uczeni, poważni, krzywdzeni
i prześladowani?

„My jesteśmy młodzi, nieliczni, nierządzący
się widokami materyalnych korzyści, uwolnieni
z obowiązków hołdowania pewnym stosunkom
i znajomościom, wypowiadamy swoje przekona-
nia otwarcie, nie lękamy się sądu i kontroli,
pragniemy ją rozciągnąć na wszystkich, pragniemy
pracy i nauki w społeczeństwie, pragniemy wy-
wołać siły nowe, zużytkować istniejące, skiero-
wać uwagę przed, a nie po za siebie. Oto na-
sze wady“.

„Wy jesteście starzy, liczni, krępowani pomię-
dzy sobą tysiącem niewidzialnych nici, skrada-
cie się ze swojemi zasadami nieśmiało, żądacie

w literaturze spokoju, nieruchomości, każeć wszystkim patrzeć w przeszłość, szanować nawet jej błędy, chcecie, aby was tak jak senatorów rzymskich była zawsze jedna tylko liczba, ażeby was nikt nie sądził, nikt o nic się nie upominał — oto wasza zasługa“.

Twierdzi, z pewnością na niczem nie opartą, że te dwa obozy, idąc odmiennymi drogami, nigdy się z sobą nie spotkają, że są popalone mo-
sty. Uroczyście wypiera się, by gardził zasługą, ale że ludzie zużyci powinni się usuwać. „Całe nieszczęście w tem — mówi — że przeciągnąwszy swój zawód zbyt długo, obok strat, zyskaliście jeszcze wadę nałogu przewodniczenia innym. To was w każdym razie nietyle broni, ile szkodliwymi i nieużytecznymi czyni. Ustąpcie więc z drogi wszyscy, którzy ją tylko zawalać możecie, inni dopędzajcie tych, którzy prędzej od was biegną“.

Ten ze wszech miar śmiały, ale zarazem osobliwy w swoim rodzaju artykuł, kończy takim aforyzmem: „krzyczą więc czują, czują więc żyją. Żyją? połowa naszego zadania spełniona!“

Artykuł ten w swym zasadniczym tonie zdradza ogromnie ograniczony horyzont piszącego i ostatecznie streszcza się w tem: ustąpcie, bo ja chce zająć wasze miejsce. Nie szło więc młodemu pisarzom o kwestye społeczne, o propagandę nowych teorii, ale wprost o to, że oni

chęć jeść i używać wszystkich tych przywilejów, jakich używają starsi pisarze. Artykuł więc był niewłaściwy i łatwy z wielu względów do odparcia. Jakoż „Kuryer warszawski“ w swej odpowiedzi uderzył na tę stronę rzeczonoego artykułu.

„...rzeczywiście — powiada — zasada ta jest jasno postawioną. My (redaktorzy i współpracownicy „Przeglądu“) potrzebujemy być użytecznymi, cenionymi, płaconymi. Więc ustąpcie nam z drogi wy, którzy stoicie nam na przeszkodzie, bo chcemy bez trudu i zachodu zająć wszystkie miejsca. To najłatwiejszy sposób...“ „Przypuśćmy więc na chwilę wraz z „Przeglądem tygodniowym,“ że takie doraźne odsuwanie od pracy i dobytku, które dotąd stosowane było tylko u dzieci Maćkowych, w rzeczach nawet tej wagi społecznej, jak trud piśmienniczy, jest praktycznem i godziwem. Trzebaż jednak wiedzieć jaki zapas sił i zdolności nowi pracownicy, odsuwając starych za piec do kąta, przynoszą ze sobą; bo Maćkowe dzieci posiadają rzeczywiście te siły, a więc *pozytywnie* rzeczy uważając, mają słusność, choćby tylko zwierzęcą. Odzywając się tak głośno i tak otwarcie, *my* stoimy, jesteśmy, żyjemy; trzeba wykazać co zrobili ci *my*, którzy nie mają czasu, według własnych słów swoich, oglądać się na przeszłość i dawać

baczenie na tych, co przed nimi byli. Oto więc zapas, z jakim owi *my*, w świat wchodzą.

Przytoczywszy co młodzi zrobili, dochodzi Szymanowski do konkluzji, że nic; że nic nie umieją i niczego się nie nauczyli. W końcu zastanawia się nad paradoksalnym wykrzyknikiem: „krzyczą więc czują, czują więc żyją“, i pyta:

„Jakto? więc za nim owi *my* zaczęli pisać w „Przeglądzie tygodniowym“, nic nie czuło, nic nie żyło, nic nie istniało? Natura cała była w uśpieniu, trawka nie rosła, kwiat nie kwitnął; ptaszek nie śpiewał, Basia nie kochała, Jaś nie grał na flecie. Jakto, więc ludzie nie umieli ani tworzyć, ani pracować, ani działać? Wszystko szło samopas, bezładnie? Przyszedł „Przegląd tygodniowy“ i stało się światło, a wszystko to powołane zostało do życia. *Sunt causae rerum*, jest „Przegląd tygodniowy“. Bóg z wami o! twórcy wielcy, ale zanim świat poruszycie do życia, chcejcie naprzód stworzyć sobie rozwagę i umiarkowanie, bo inaczej będziecie się ciągle kręcili w błędnym kółku szkalowania drugich, a wychwalania siebie“.

„Przegląd“ oczywiście nie zostawił tej repliki bez odpowiedzi, a ponieważ „Kuryer warszawski“ pierwszy podniósł rzuconą rękawicę, więc uderzył na niego.

„... pisaliśmy — woła — *wyłącznie* do was. Świat uczonych historyków, naturalistów, pra-

wniczych i ekonomicznych pisarzów, sędziwy czy młody, wzbudza w nas szacunek, jemu bowiem zawdzięczamy dorobek w piśmiennictwie naszym. Jaka zaś łączność między tym światem a wami, panowie pisarze kronik, sprawozdań tygodniowych, reporterzy wypadków codziennych, pisarze o łowach na lisa z urwanym ogonem i t. d. ani sobie wyobrazić możemy. Nie róbcie żartów, nie solidaryzujcie się z tem, co wam zupełnie obce“.

Spór ten rozdrażnił wszystkich; wmieszał się w niego Gregorowicz w „Tygodniku mój“ i był tak oburzony, że wprost młodych pisarzy posądzał o zdradę i nihilizm. Mam przed sobą jego list własnoręczny, dotyczący jak się zdaje Ochowicza i skreślony do nieznanego nam bliżej literata, który chciał wydrukować krytykę prac tego młodego psychologa. „Przegląd piśmienniczy pracy pana O***, jest dobrze napisany — mówi Gregorowicz — i na dowodzenia pańskie zupełnie się zgadzam, ale autor jej należy do owych młodych literatów, z którymi ja stary, głupi (sic) i zacofany, nie chcę mieć najmniejszego stosunku. Z każdym, byle skromnym i poważnym, można mówić, z nimi niema rozmowy, bo zarozumiałość ich większa od rozumu Tego, co dał im myśl i kazał nią pracować. Niech więc idą swoją drogą, aż się strawią własną złością i nierozumem. Czyż więc mogę z takimi wchodzić w zatargi? Obdarzcie mnie czem in-

nem szanowny panie N. N. a przyjmę chętnie, ale od bagna cuchnącego nihilizmem..... zdaleka, bo struje“.

Tego oskarżenia, które oczywiście sensu za grosz nie miało i tłumaczy się tylko nadzwyczajnem obu stron rozdrażnieniem, nie wahał się Gregorowicz publicznie w swem piśmie powtórzyć. Wprost mówił, że pozytywiści, że cała młoda prasa, to nihilisci, zasługujący na to, żeby ich powywieszano do nogi, lub powysyłano na Sachalin. Do takich to absurdów dochodzą namiętności stronnictw.

Ale czego wtedy o pozytywistach nie mówiono ! o co ich nie oskarżano! Pominąwszy już to, że powszechna obiegała wieść, iż „Przegląd“ pobiera subsydia ze źródła nieczystego, komponowano jeszcze tysiączne koncepta i plotki, ubliżające czci młodej prasy. Wincenty Korotyński, który pracował w „Gazecie warszawskiej“, Litwin, zarosły jak niedźwiedź puszczy jego ojczystych i jak niedźwiedź ciężki, gdy pewnego razu na jakimś zebraniu przedstawicieli starej prasy, komuś zginęło z przedpokoju palto, rzekł swym głosem śpiewającym i z uśmiechem na ustach: „to dziwne, przecie tu pomiędzy nami nie było żadnego pozytywisty“. Znaczyło to, że kto jest pozytywistą, ten nawet najordynarniejszej kradzieży dopuścić się jest zdolny. Niejaki Władysław Noskowski, dziennikarz z przypadku, gdyż

na co innego się kierował, pracujący stale w „Wieku“, nigdy inaczej Świętochowskiego nie nazywał, tylko *Świintuchowskim*.

Te niefortunne i zjadliwe koncepta, których zresztą było mnóstwo, powtarzane przez plotkarzy, przyczyniały się w wysokim stopniu do wzajemnego rozdrażnienia. W całej prasie zapanowała atmosfera złości; spory o najdrobniejszą rzecz się rozpoczynały i przybierały wielkie rozmiary. Wielu niepowołanych mieszało się do nich, podobni w tem do owej żaby Lafontenowskiej, która zobaczywszy, że konia kują, nadstawiała także nogę.

Był wtedy w Warszawie niejaki Mieczysław Dzikowski, kawałek literata, kawałek wywłoki najgorszego gatunku, który odziedziczywszy jakiś kapitał, począł się trudnić wydawnictwem książek. Wydał tedy kiepską swoją własną powieść p. t. „Dziewczyna“, wydał jeszcze gorszy romans Przyborowskiego p. t. „Życie za marzenie“ i Wojciechowskiego „Kobiety i mężczyźni“. Honoraryów nie płacił, gdyż, jak mówił, „przyjął taką zasadę“. Nizki, z dużymi wąsami, narobiwszy długów, drapnął potem z Warszawy, przeniósł się do Lwowa i tu wydawał różne pi-semka rewolwerowe. Napisał prócz tego parę komedyi, które jak się później pokazało, były plagiatami sztuk francuskich.

Otóż w tym czasie, gdy walka między młodą

i starą prasą przybrała charakter ostry i zacięty, Dzikowski począł wydawać zeszytami dwutygodniowymi pismo p. t. „Kolce“, z którego później powstać miał znany tygodnik humorystyczny. W piśmie tem napadał on na wszystko i na wszystkich. Nie przepuszczając z jednej strony „Kuryerowi warszawskiemu“, „Tygodnikowi ilustrowanemu“, „Kłosom“ i „Tygodnikowi mód“, z drugiej chłostał gdzie mógł i jak mógł „Przegląd tygodniowy“. W jednym z zeszytów „Kolców“, o tym ostatnim pomieścił taki, nie bez zjadliwego dowcipu pomyślany ustęp:

„Wyznanie wiary „Przeglądu tygodniowego“.

„Ja jestem „Przegląd tygodniowy“, najlepsze pismo w Europie. Drukuję tylko same arcydzieła w najobszerniejszem tego słowa znaczeniu i jeżeli nikt się na nich poznać nie umie, to dlatego, że pomiędzy swoimi prorokiem być nie można. Nie uznaję żadnych powag, bo sam jestem znakomitą powagą. Nie uznaję żadnych prawideł gramatycznych, bo sam stworzyłem nową ortografię, z której wprawdzie jakieś *literackie insekta* szydzą, ale to jest los wszystkich nowatorów. Przede mną nie było *nic*, stworzony zostałem dlatego, żeby było *coś*, jak mnie nie będzie, *będzie nic*. Już przed urodzeniem byłem wielki, po urodzeniu jeszcze większy, z pomocą mego geniuszu dojdę do monstualnych

rozmiarów. Tak mi dopomóżcie szanowni prenumerotorowie i wszyscy, którym nie obojętne są losy ludzkości, co mnie wybrała na swego przewodnika, opiekuna i nauczyciela. Amen“.

Pomimo to, że sobie drwił w ten sposób z istotnego reprezentanta młodej prasy, sam Dzikowski uważał się za należącego do niej. Odpowiadając na artykuł Szymanowskiego o „bojującym kościele literackim“, tak twierdzi o sobie: „...czujemy się w obowiązku odpowiedzieć mu (Szymanowskiemu), bo jakkolwiek nie wiemy, do jakiego szeregu w kolumnach bojującego kościoła literackiego raczy nas zaliczać p. Szymanowski, należąc jednak do falangi młodej literackiej generacji, byliśmy jedni z pierwszych, przynajmniej w Warszawie, którzy, tak nazwanym powagom, wymówili posłuszeństwo i porzuciwszy tryumfalny wóz, którego osie łamać się zaczynają nie od ciężaru talentu i pracy, lecz od abnegacyjnego sadła literackiego, stanęliśmy na stanowisku samodzielnem, zaufaliśmy własnym siłom i przeświadczeniu o ważności i świętości naszego powołania; w imię dobra publicznego pójdziemy po tej drodze, na ile sił, na ile wewnętrznych zasobów nam starczy“. A dalej:

„Nam tylko serce gwałtowniej w piersiach zabiło, myśmy tylko wpatrzyli się w jaśniejącą gwiazdę, zawieszoną ręką prawdy na firmamencie losów ludzkich, myśmy tylko wyciągnęli ręce

do tej gwiazdy, co światłem swoim składa pocałunek na czołach ludzkości, myśmy tylko wyciągnęli ręce do tej gwiazdy, którąście wy dymem palących się kadzideł zasłonili przed oczami ludzi...

A tyś zląkł się, ty — literat!...

Gdzieżeś to widział, że młodzi literaci zaprzeczają talentu i zdolności?... Wszak my dziś powiadamy, że jesteś zdolnym literatem, a kroniki twoje w „Tygodniku ilustrowanym“ nie warte nawet ćwierć funta suszonego pieprzu, bo w nich od bardzo dawna nic a nic niema, oprócz wody tak mdłej i tak nudnej, że nawet dziesięć funtów pieprzu smaku jej nie zmieni... Czy chcesz, żeby przed autorem „Dziejów serca“ uderzyć tak samo czołem, jak przed autorem „Ślubów panińskich“?... Czy na tym samym piedestale mamy postawić autora „Salomona“ co autora „Lilii Wenedy“?... Czy wreszcie domagasz się, abyśmy cię jako humorystę i satyryka posadzili na krześle obok Wilkońskiego?...

Odpowiedz — o błędny rycerzu literackiego autoramentu, któremu się ze strachu zdaje, że słyszy szczepek *stalówek*, co go życia pozbawić mają i z ostrych kolców uścielą Madejowe łoże, na którym krwią własną obłany, przypominać sobie będzie wszystkie swoje prace literackie, co w nich krwi nie było...

Dla nas praca, talent, nauka — to słońce, przy

promieniach którego ogrzewać się chcemy. Na promieniach tego słońca, chcielibyśmy posłać do serc ludzkich myśli nasze, promieniami tego słońca pragnęlibyśmy rozjaśnić sumienie ogółu... Myśmy tylko pogrozili tym, co długimi smugami cieniów swoich tamują drogę i ciepłu i promieniom słońca...

...A tyś zląkł się, ty — literat!...

W artykule tym wyraźnie występuje chęć wmieszania się do sporu, do którego w żadnym razie ludzie tego pokroju co Dzikowski, należeć nie mogli. Nie spodziewał się atoli biedak, jak ciężką burzę przez to na siebie sprowadził.

Zdarzyło się mianowicie, że w jednym z poprzednich zeszytów „Kolców“ Dzikowski pomieścił poemat Stanisława Bogusławskiego, p. t. „Córka lichwiarza“, poemat słaby, mierny, jak wszystko tego pisarza. Rękopism tego poematu dał Dzikowskiemu syn Bogusławskiego pan Władysław, który, jak wiemy, pracował w tym czasie w „Kuryerze“ i pisywał sążniste i nudne recenzje teatralne, z tem, by go wydrukował w swych wydawnictwach. I wszystko byłoby dobrze, gdyby w następnym zeszycie Dzikowski nie był wystąpił z artykułem, którego treść powyżej przytoczyłem, przeciw Szymanowskiemu. Napadnięto więc w „Kuryerze“ na pana Bogusławskiego, jak może mieć stosunki z takim człowiekiem jak Dzikowski i dawać mu do „Kolców“

poematy swego ojca? Pan Bogusławski, którego już wtedy zwano „Katonem literackim“, dopiero teraz, w miesiąc coś po wydrukowaniu „Córki lichwiarzy“, gwałtownie się przeciw temu oburzył, twierdząc, że rękopism dał Dzikowskiemu do jego wydawnictw książkowych, a nie do pisma peryodycznego, jakim są „Kolce“. Nie poprzestając na publicznej w „Kuryerze“ proteſtacyi, pan Bogusławski ciągle nadzwyczajnie oburzony, wystąpił przeciw Dzikowskiemu na drogę sądową. W pierwszej instancyi Dzikowski wygrał, w drugiej zdaje się, że musiał zapłacić jakąś karę i sprawa cała na tem się skończyła, choć Kato warszawski, odnośnie do swego przeciwnika, nie przestał wołać, podobnie jak jego pierwowzór rzymski: *delenda est haec Carthago!*

Taki był stan rzeczy na horyzoncie literackim Warszawy w końcu 1871 r. Wojna się rozpoczęła na całej linii i właśnie zbliżała się chwila, w której miało przyjść do starcia, do wielkiej bitwy, która jak wszystkie bitwy literackie tej doby, pozostała nierozstrzygniętą. Należy się więc przypatrzeć jakie siły nowe „Przeгляд“ przygotowywał do ostatecznego i decydującego, jak myślano, boju.

X.

Brak programu w „Przeglądzie”. — Zapowiedź wydawnictwa Encyklopedyi powszechnej. — Leopold Mikulski. — Feliks Ehrenfeucht. — Jan Jeleński. — Ekonomista Pololani.

Z r. 1871 „Przegląd” zbliżał się do swego apogeum, do pełni swego życia i sił, jakkolwiek wciąż jeszcze nie ma świadomości swych zadań i celów, prawi o pozytywizmie i zbywa rzeczy ogólnikami. Rozpoczynając rok powyższy powiada np. o sobie: „pięć lat mija, jak wydając pierwszy numer „Przeglądu Tygodniowego” przyrzekaliśmy go uczynić punktem środkowym, zarodkiem działalności literackiej i celem krzewienia idei postępu i tegoczesnej nauki”.

I to wszystko. „Idea postępu i tegoczesna nauka” są to frazesa zbyt ogólnikowe, by mogły stanowić sztandar pisma, by miały być jego i społeczeństwa kierunkiem. Ten brak zdecydo-

wanego, jasno postawionego i określonego wyrażnie programu, jest ciągle słabą stroną „Przeglądu“, której tylko nieuctwo i lenistwo umysłowe ówczesnych przeciwników tego pisma nie potrafiło wyzyskać. Artykuł „My i wy“, o którym poprzednio mówiliśmy, który miał być wyznaniem publicznem wiary „Przeglądu“, wcale tego wyznania nie zawierał. Pragnienie wywołania nowych sił, zużytkowania istniejących, skierowanie uwagi przed a nie poza siebie, jest także tylko frazeologią, z której przeciwnicy, gdyby byli rozumniejsi, gdyby także wiedzieli czego chcą, mogli byli skorzystać i powiedzieć „Przeglądowi“: kochanku, ty tak samo jak my nie wiesz poco i dlaczego istniejesz, a raczej wiesz tak jak i my wiemy, tylko nie chcesz się do tego przyznać. Tobie, na wzór nasz, nie idzie wcale o żadne zasady i programy, ale wrost o majątek. Prasa dla ciebie, tak jak i dla nas, jest tylko warsztatem do zrobienia pieniędzy.

I byliby prawdę powiedzieli. Wiślicki o tem tylko myślał, w tym kierunku wyteżał cały swój spryt kupiecki i swą pomysłowość. Po długich szamotaniach się i nieudanych próbach, teraz właśnie wpadł na szczęśliwą myśl wydania „Podręcznej encyklopedyi powszechnej“. Jak w pustyniach australskich poszukiwacz złota, po licznych a nadaremnych usiłowaniach trafia nareszcie na obfity pokład tego kruszcu, pokład, który

odrazu, za jednym zamachem wynagradza wszystkie jego trudy dotychczasowe, tak i Wiślicki pomysłem wydania „Encyklopedyi“ trafił na prawdziwą kopalnię bogactw. W społeczeństwie naszym, jak embryon w łonie matki, leży poczucie potrzeby wykształcenia, oświaty, wiedzy, ale tkwi także odwieczne, historyczne lenistwo umysłowe, niechęć do pracy systematycznej i ciągłej, dążność do lekkiego zarobku. Wydanie „Encyklopedyi“ przy takich pragnieniach, czyniło zadość ich potrzebie. Wszak tanim kosztem, bez żadnego wysiłku, bez żadnej pracy i natężenia, można było zdobyć odrazu mnóstwo wiadomości i świecić blichtrzem, pozorami uczoności.

Zaledwie też Wiślicki, wyzyskując tę ujemną stronę społeczną, ogłosił o zamiarze wydania „Encyklopedyi“, gdy rzuciła się prenumerata w tak gwałtownych skokach, że „Przegląd“ z piśmka, wlokącego swój żywot nędznie, z dnia na dzień, odrazu stał się pismem zamożnem, pewnem swego jutra, ustalonym. Ciesząc się dotąd zaledwie kilkuset prenumeratorem, którzy żyć piśmu nie dali i umrzeć mu nie pozwolili, doszedł odrazu, jakby za skinieniem laski czar-noksięskiej, do imponującej w naszych stosunkach wydawniczych cyfry trzech tysięcy, cyfry, która rosła ciągle i jak dobrze poinformowani twierdzili, doszła do czterech czy nawet pięciu

tysięcy. Pan Wiślicki stał się, sam nie wiedząc kiedy, człowiekiem zamożnym.

W r. 1871 liczba jego współpracowników także urosła. Oprócz Świętochowskiego, Chmielowskiego, Kotarbińskiego, Ochorowicza, Bogackiego, Holewińskiego, Aspisa, Zglińskiego i Gomulickiego, przybyło jeszcze dwóch nowych, mianowicie: Leopold Mikulski i Feliks Ehrenfeucht.

Obaj z wielu względów byli osobistościami bardzo ciekawymi i charakteryzującymi epokę. Obaj byli dziećmi Szkoły Głównej. Pierwszy z nich, Mikulski, uczęszczał na wydział prawny, skończył go i w tej właśnie porze rozpoczął swą karierę sądowniczą. Nizki, ułomny, garbusek, suchy, zawiedły, potęgował w sobie wszystkie wady ludzi garbatych. Był, jak oni, złośliwy, skłonny do intryg, mściwy, lubieżny i pełen najgorszych instynktów, ukrytych pod pozornym chłodem i spokojem. Syn pocztmistrza z Kałuszyna, ubóstwiany przez matkę jako jedyne i do tego nieszczęśliwe dziecko, był dość bogaty.

W r. 1862, w ówczesnym „Dzienniku Powszechnym“ doszukać się można wiadomości o poważnej sumie pieniędzy, jaką znaleziono u Mikulskiego. Dziwna to, bardzo niejasna historia, mętna w swych szczegółach i całości, nabierająca arcy ponurego cienia, gdy ją się uzupełni innym szczegółem, znajdującym się w tymże dzienniku w r. 1865, a dotyczącym ks. Brzoski.

Mikulski i tu grał jakąś osobliwszą rolę...

Bądź co bądź, jak tam było w przeszłości, nie wiemy, dość że Mikulski pojawia się w r. 1871 w „Przeglądzie“, zabiera znajomości, wytwarza sobie obszerne stosunki, o wszystkim wie, wszędzie się miesza i do wszystkiego należy. Z Sienkiewiczem żyje w przyjaźni, mieszkają razem i za oczami narzeka na niego... Garbusek ten umizga się do kobiet, ma postać satyra i nawet żeni się później z kobietą młodą i ładną. Ale to do rzeczy nie należy. Zobaczymy później jak ważną rolę ta figurka mała, zgarbiona, chuda, odegrała w akcji, w boju głównym młodej prasy ze starą i w skonsolidowaniu programu tej pierwszej.

Co się tyczy Feliksa Ehrenfeuchta, to przede wszystkim należy powiedzieć, że z takim nazwiskiem na Kapitol literatury polskiej niepodobna się dostać. A pan Feliks, „Feluś“, jak go zwali przyjaciele, miał szczerą ochotę dostania się na ten Kapitol i przekonany jest, że istotnie się dostał. Dobrze o sobie mniemanie, powiada przysłowie, to połowa szczęścia; „Feluś“ istotnie musiał być szczęśliwy, bo zawsze o sobie miał jak najlepsze mniemanie. Syn podobno agenta giełdowego, zaprzepaszczonego gdzieś w Ameryce, do której większość ludzi tej sfery, jak mahometanie do Mekki, dąży, był jakiś czas w Szkole Głównej, ale uważał za stosowne in-

stytucyi tej nie skończyć. Zresztą człowiek dobry z kośćcami i zabawny nadzwyczajnie. W baladynowej tragedyi młodej prasy mógłby być Skierką, gdyby był rozumniejszy i dowcipniejszy. Ale natura odmówiła mu stanowczo tych dwóch przymiotów, nadając mu natomiast zarozumiałość i wysokie o sobie mniemanie, co go czyni niesłychanie, nieporównanie komicznym. Jednem słowem on stanowił śmieszłą stronę tego dramatu...

Właściwie nie należał on wcale do młodej prasy. Jakieś nowe programy jego nie obchodziły i zresztą nie bardzo je rozumiał. Pisał, bo miał żyłkę do pisania, oraz że do „Przeglądu“ łatwiej niż gdzieindziej z rękopismem dostać się było można. A przytem miewał on niekiedy dobre pomysły, a pisał gładko choć blado, wodnisto i bez śladu iskry Bożej. Swoim artykułom nadawał szumne tytuły i lubiał używać wyrażeń cudzoziemskich, zwłaszcza zakończonych na *izm*, co zdawało mu się, że jest oznaką uczoneści. Pisywał komedye, dramaty, powieści, miewał prelekcye, z których jedna, zatytułowana „O miłości“, wyrobiła mu *sui generis* sławę. Przed licznem zgromadzeniem, przeważnie słuchaczek ze sfer kupieckich i mieszczańskich, miłość określił w ten sposób, że jest to *natężenie... wrażenia*. To „natężenie wrażenia“ obleciało całą Warszawę i przez jakiś czas te dwa wyrazy stały

się przydomkiem Ehrenfeuchta. W sferach literackich i dziennikarskich mówiono: „oto idzie natężenie wrażenia“ i każdy wiedział o kim jest mowa.

Był przez jakiś czas redaktorem pisma p. t. „Tygodnik powszechny“, o którym cuda opowiadał. Twierdził, że miał taki napływ prenumeratorów, że musiał ich za drzwi wyrzucać, że policya rozpędzała zbiegowisko tłoczące się do lokalu redakcyi. Poza tem był to bardzo dobry i uczciwy człowiek. Jasny blondyn, z twarzą dużą, wielkimi wąsami, uchodził za przystojnego i miał się za zdobywcę serc niewieścich, śród których, jak utrzymywał, czynił straszne spustoszenia. Mówił z powagą i godnością. Jednem słowem był nadzwyczaj śmieszny i stanowiłby wyborowy typ do komedyi, gdyby komedyopisarze warszawscy umieli szukać typów koło siebie, a nie przerabiać sztuk francuskich na polskie kopyto. Obecnie Ehrenfeucht dawszy za wygraną literaturze, jak powiadają, „pracuje w proszku otwockim“. Prosząc o przebaczenie czytelnika za to kupieckie wyrażenie, kończę o „Felusiu“ łacińskiem *sic transit gloria mundi*.

W tym czasie pojawił się w „Przeglądzie“ jeszcze jeden człowiek, także typ w swoim rodzaju, później niemałym, choć Herostratowym cieszący się rozgłosem. Mam tu na myśli Jana Jeleńskiego, osławionego w kilka lat potem ży-

dożercę i redaktora „Roli“. W tej porze jeszcze się na to nie zanosilo i Jeleński miał tylko tę zasługę, że sam się wybił na wierzch i śmiało mógł być postawionym w polskim Self-helpie, za wzór samopomocy. Syn podobno ubogich i niewykształconych rodziców z Jędrzejowskiego, znalazł się, już nie wiem jakim sposobem, na posadzie telegrafisty na kolei Terespolskiej w Mińsku mazowieckim. Ta okoliczność przyczyniła się głównie i wyłącznie, że biedny, niewykształcony telegrafista stał się z czasem pisarzem wcale niezłym i redaktorem niezwykle wpływowym.

To co tu opowiem, jak większość mych relacyi, oparte jest na pogłoskach, krążących wśród kół literackich. Nie może mieć więc w żadnym razie cechy autentyczności zupełnej, choć kłamstwem nie jest. Historya ta zresztą przynosi zaszczyt Jeleńskiemu, jego silnej woli i energii.

Wówczas gdy Jeleński kwasiał się na posadzie telegrafisty w takiej nędznej mieścinie jak Mińsko, w pobliżu, we wsi Mieni, przy szpitalu tam egzystującym, był doktorem ordynującym Henryk Dobrzycki. Osobistość to dobrze dziś znana i głośna ze swej nauki i czynności. Jeleński się z nim zapoznał i pod jego wpływem i kierunkiem począł się uczyć, czytał, pisał, pracował nad sobą. Pierwotnie podobno nie posiadał żadnego wykształcenia, prócz tego, że umiał czy-

tać i pisać. Wszystko więc co dziś umie, sobie i Dobrzyckiemu zawdzięcza.

Ten brak nauki gruntownej szkodził mu i później wiele. W ciągu paru lat nie można tego zrobić, na co inni dziesiątki poświęcili. Już kiedy był znanym, przynajmniej w sferach dziennikarskich, pisarzem, sławną była jego historia z Popolanim.

Jeleński zajmował się z początku wyłącznie sprawami ekonomicznymi, choć o teorii ekonomii politycznej miał bardzo słabe pojęcie. Otóż zdarzyło się, że wypowiedział raz jakieś nader ryzykowne zdanie ekonomiczne. Gdy mu ktoś robił z tego powodu zarzuty, a Jeleński bronił się słabo, znany nam już reporter Aleksander Messyng postanowił sobie zadzwonić z przyszłego redaktora i odezwał się z powagą:

— Pan Jan ma rację. Taką samą teorię wygłasza sławny ekonomista włoski Popolani.

Jeleński, który jak żyje nie słyszał o żadnym Popolanim, w zapale dyskusyi podchwytuje tę deskę zbawienia i woła swym grubym, krzykliwym, ekonomskim głosem:

— A prawda! Popolani to mówi! Popolani jest taką powagą, że na niej śmiało oprzeć się można.

Cóż się pokazało? skąd Messyng wiedział o jakimś Popolanim ekonomście, który zresztą wcale nie istniał? Oto nazwisko to usłyszał w jakiejś

operetce ogródkowej, stałem i jedynym źródle wszelkiej erudycyi tego indywiduum. Scena była wysoce zabawną i długo o niej rozprawiano i bawiano się nią w kołach literackich; charakteryzowała ona zresztą wybornie Jeleńskiego.

Pozatem jednak był to charakter niezwykle w społeczeństwie chorem właśnie na brak charakterów. Dał już dowód swej siły woli i wyższych pragnień, tkwiących w nim, kiedy z telegrafisty, umiającego zaledwie czytać i pisać, został literatem i nie tuzinkowym. Dał jeszcze inne dowody. Był oszczędny, co jak wiadomo jest także rzadkością nie tylko wśród literatów, ale wśród całego naszego społeczeństwa. Z nędznego stosunkowo zarobku, jaki daje u nas praca dziennikarska, potrafił on zebrać sobie kapitalik, owoc licznych zapewne prywacy i wygórowanej oszczędności. Dzięki temu kapitalikowi założył on później czytelną publiczną, a z niej tygodnik „Rolę“ (która powstała z czasopisma p. t. „Tygodnik rolniczy“) i dziś, jak powiadają, jest człowiekiem zamożnym. Jednym słowem jest to wzór samopomocy.

Ale jeżeli to wszystko stawia Jeleńskiego wysooko w naszym społeczeństwie, to jako charakter literacki, dalekim on jest od wzorowości. Zaczawszy od „Przeglądu“, w którym w tym czasie drukował między innymi artykuł bardzo dobry i bardzo ciekawy p. t. „Małomiasteczkowa

inteligencya i jej działalność społeczna“, powtarzam, zaczawszy od pisma radykalnego i antireligijnego, skończył na faryzejskiem uwielbieniu kleru i kościoła. Przeskok zanadto rażący, by go można uważać za szczery, co dowodzi, że Jeleński, jak wielu zresztą innych, siadł na konika literackiego nie dlatego, by głosić i walczyć o zasady, o przekonania, ale żeby na tym warsztacie zrobić majatek. Coprawda tłumaczy go, choć nie usprawiedliwia, ta okoliczność, że nie on to pierwszy i nie ostatni u nas robi.

Miał jednak na tyle rozumu, a raczej kupieckiej przebiegłości, że jakkolwiek drukował swe artykuły w czasie, gdy walka między dwoma obozami doszła do zenitu i przybrała formę zacieklego rozdrażnienia, do walki tej jednak nie mieszał się wcale. Cóż jego bowiem mogły obchodzić jakieś tam programaty społeczne? On pisał dlatego, żeby zarobić trochę pieniędzy i schować je na czarną godzinę. Był tak zręczny, że nie miał nieprzyjaciół, że pisując do „Przeglądu“ pisywał współcześnie do katolickiego „Wieku“ i do „Kuryera Warszawskiego“ i tam artykuły jego przyjmowano i nie boczono się nań wcale. Za tę zręczność, za utrzymanie równowagi na ślizkiej huśtawce sporów dziennikarskich, Jeleński wart był wieńca... z pokrzyw.

Z pozoru patrząc nań, niktby nie sądził, że pod tą twarzą otwartą, szczerą, polską, pod tą

czupryną zaniedbaną i rozczochraną, pod tym wąsem zawieszonym, ukrywa się tyle przebiegłości kupieckiej. Głos miał gruby i krzykliwy; ubierał się niedbale i brudno, na jedną nogę utykał; jednym słowem wyglądał na ekonoma z przed trzydziestu laty, a nie na literata i jeszcze tak przebiegłego literata.

Takie posiadał siły „Przegląd“ w przededniu śmiertelnego boju. Prenumerata wskutek ogłoszenia o „Encyklopedyi“ rosła jak na drożdżach, tak że w połowie 1872 r. redakcja przeniosła się z ciemnego, znanego nam dobrze pokoiku na Nowolipiu, do obszerniejszego o wiele lokalu na ulicy Czystej. Nie dość na tem; Wiślicki urosł tak w pierze, że sprowadził sobie z Berlina za kilkanaście tysięcy nową drukarnię i już był teraz u siebie, niczyjej łaski nie potrzebował. „Przegląd“ z początkiem roku 1872 zwiększył znacznie swój format i ubrał się w rysowaną winietkę, przedstawiającą pociąg kolei, wybiegający całą siłą pary z tunelu i noszący na przedzie napis: „postęp“. W nową fazę, w fazę walki najżażartszej wchodził dumny, pewny siebie i zwycięski.

XI.

Echa warszawskie. — Lubowski i Dzikowski. — Napaść „Przeglądu“ na Lubowskiego. — „Manifest“ tegoż. — Odpowiedź nań Wiślickiego.

Bezpośrednią przyczyną zawieruchy, która się zerwała w początkach 1872 r. i wstrząsnęła do głębi całym światem literacko-dziennikarskim w Warszawie, była rzecz błaha, wszędzie się przytrafiająca i pospolita. Ale jak w świecie fizycznym bywa czasem taki stan powietrza, że z pozoru spokojne, przy najlżejszem wstrząśnięciu rodzi burzę szaloną, tak samo w świecie moralnym. Materyały do walki, która teraz rozgrzmiała, zbierały się od lat sześciu, leżały one w naturze rzeczy i jakkolwiek końcowe rozwiązanie tego przydługiego nieco dramatu, można było odwlec, burzę na chwilę zażegnać, wcześniej czy później jednak elektryczność nagromadzona w chmurach, musiała rozjaśnić błyskawicą.

cami i piorunami horyzont i zalać ziemię ulewą. Powtarzam, była to konieczność nieunikniona i nikt jej powstrzymać nie byłby w stanie.

Bezpośrednia tedy przyczyna była małoznacząca i jej źródłem był niefortunny pan Edward, o mało nie Dumas, Lubowski. Jeszcze przed dwoma laty był on w stosunkach z „Przeglądem“, drukował tam nawet powiastkę swoją p. t. „Przygody krótkowidza“, teraz zaś dla powodów których nie wiem, które znane są tylko głównym aktorom, t. j. Wiślickiemu i Lubowskiemu, rozstali się oni ze sobą bardzo źle i dziwnie na siebie zażarci. Lubowski przeniósł się do „Kłosów“ i tam od czasu do czasu nie przedstawiał czynić wycieczek przeciw „Przeglądowi“ w szczególności, a młodym pisarzom w ogólności, za które ci oczywiście nigdy dłużnymi nie pozostawali.

Z drugiej atoli strony przyznać należy, że „Przegląd“ przybrał ton arcy wojowniczy. Pod wpływem Świętochowskiego, podobny do młodego koguta, wyzywał on wszystko i wszystkich do walki. W osławionych „echach warszawskich“, gdzie nawet dopuszczano się teraz paszkwilu, odsłaniano tajemnice prywatne, redakcyja daje zapowiedź na r. 1872 tego, czem będą „Echa“. Artykuł ten jest syczącym biczem satyry, jest węzami Eumenidy, smagającymi ciało

własnego społeczeństwa, biedne, chore, poranione ciało.

„Spółpracownikami „Ech“, woła „Przegląd“, wy to jesteście najdrożsi i dlatego przestępując Rubikon noworoczny, czujemy się w obowiązku złożyć wam podziękowanie serdeczne za już i życzenia na przyszłość z prośbą o jeszcze. Fałszywa skromność na bok! Dopóki w każdym człowieku (przepraszamy nieboszczyka Saphira za pożyczkę) mieści się cała menażerya, dopóty nie zbraknie na pracujących dla „Echa“. Cała menażerya, gwałtu! W żołądku siedzi wilk, w sercu tygrys, w umyśle kameleon, w zmysłach jeź, w języku grzechotnik, w rękach gryf, w nogach tarantula...

„Młody literacie! sławo przyszła a rozkosz dzisiejszych salonów, obok podziękowania wskazówka: patrz, oto napis: „redakcyja Kuryera Warszawskiego“... tędy droga do pracy i uznania!

„...dziękujemy ci także tłumie bezmyślny i życzymy: bądź zawsze żądny i głodny wrażeń, goniący za czczym blaskiem, pędzący gdzie głośno trąbią, szumnie krzyczą, łap się na błagę, wielbij pozory i przyjemności, wiruj wśród saturnalii uśmiechnięty i płaczący łzami krokodyla, piszczący i depczący, a niewdzięczny zawsze...

„Dalej ojcze, kapłanie rodziny! zaniedbuj żonę, rzuć dziatki na obce ręce, nudź się u ogniska do-

mowego, gryź wędzidła moralności i ładu; życzymy ci łatwych rozkoszy, wesółych śniadań z towarzyszymi kieliszka i turniejów przy zielonym stoliku... których zwycięstwo przyrzekamy roznieść setnem echem.

„Kobieto! którą jedni chcą widzieć niańką i kucharką, drudzy dżokejem kopającym knaster; życzymy ci, byś się stroiła w pożyczone gałganki, kupione nieraz kosztem własnego wstydu, lub męzowskiej hańby. Różuj się, blanszuj, maluj, zapalaj oczy zalotnie, dekoltuj do bawetu, podpinaj i kokuj!

„Matko, zapominająca o swych obowiązkach, sprowadzająca do swych dzieci bonę z Szwajcaryi, lub kokotkę z paryskiego poddasza... przyjm podziękowania i życzenia z powodzenia pedagogicznego eksperymentu, który powinien doprowadzić do skandaliku i pomnożenia progenitury domowej.

„Córeczko piękna... panno na model... życzymy ci, nie miej głowy, nie kochaj prócz siebie, nudź się tem, co poważne, słuchaj plotek salonowych, czytaj romanse i goń... goń... za bogatym niedołągą. Inni cię dogonią.

„Młodzieży zdrożna! życzymy ci chudych nóg, pustej głowy, szkiełka w oku, spalonych płuc burszowskim dymem, pustek w kieszeni, podrobionych weksłów. Ty jesteś nadzieją społeczeństwa!

„Obywatelu ziemski, filarze społeczeństwa! sprzedawaj zboże na pniu a wełnę na baranie, kupuj karekę z herbem, całuj żyda w brodę, wydaj bal. Tak kwitnie gospodarstwo!

„Zacny spekulancie w górę! ciągnij papier krótki z długim procentem; zakładaj bank, ale przedewszystkiem ssij gojów kiedy tacy... mądrzy! Przecież to w tem zasada finansów.

„Nareszcie praso warszawska! Dziękujemy ci, życzymy abyś jak dotąd krzewiła naukę, zamiłowanie do naszych spraw, abyś mówiła o tem, co żywotne dla nas, pożyteczne... bo ty jedyna jesteś do takich rzeczy!

„Dalej, girlando wielkości i małości, dalej społeczny kalejdoskopie, wiruj i tańcz w zaczerpniętym kole głupstwa, ciemnoty, obskurantyzmu, nietolerancyi! Heca, jaką sprawiasz, to nasz materyał do „Echa“. Mnóż się i rozradzaj! płódź niedołęstwa i potworności na potęgę, bo oto sprawiliśmy sobie nowy bicz satyry, upowity z ironii, łez serdecznych, wzgardy i miłości, rozumu i złości... Jeżeli was ta pletnia (?) nie zaboli, toście nic nie warci...“

Jest to wprost policzek, wymierzony własnemu społeczeństwu, policzek kata, bo ostatecznie społeczeństwo to miało swoje wady, ale nie było ani tak zepsutem, ani tak zgangrenowanym, ani tak podłym, by je policzkować, zwłaszcza że można było znaleźć tysiące przyczyn, usprawie-

dliwiających ten stan w zupełności. Co większa, ten akt nieubłaganego oskarżenia, akt prokuratorowski, napisał własny syn tego społeczeństwa i nie okazał w tym sądzie surowym ani krzty miłości, ani razu łza mu w oczach nie zaświeciła, nie czuć, by mu serce z bólu pękało, obnażając łono swej matki rodzonej!

Nie więc dziwnego, że takie wystąpienie wielu oburzyło i wielu się nie podobało. Nie dawne przecież były czasy, wszyscy je jeszcze pamiętali, gdy takie same akta oskarżenia na nas inni wnosili, tym samym jadem żółci pryskali. Gdyby Świętochowski był przeczytał choć część tych broszur, pamfletów i paszkwili, które sypały się wtedy ze szczodrej ręki naszych najserdeczniejszych, niby kwiaty ze złotego rogu Amaltei, byłby z pewnością zawahał się maczać pióro w tym samym kałamarzu, w którym je maczał np. pan Bazyli Ratez, Rojkowski *et consortes*.

Nie poprzestano jednak na tem, że spoliczkowano bezlitośnie własne społeczeństwo; młodzi krytycy, niedouczeni doktorowie filozofii, niby sfera jamników rzucała się na wszystkich. Jaki ton krytyki literackiej wprowadził Świętochowski, świadczy ustęp poniższy:

„...znany już dobrze apostoł najrozmaitszych bredni, p. Wł. Miłkowski, przetłómaczył broszurkę Haffnera: „Materyalizm nowoczesny“. Nie wspominalibyśmy nigdy o tej lichocie, gdyby

nie paszport, jaki jej dodano w ogłoszeniu „Prze-
glądu katolickiego“. Ktoś, prawdopodobnie sam
tłómacz, do tej stęchłej baraniny dorobił podobny
sos, składający się z idyotycznych, ale śmiałych
napaści na materyalizm. Nie możemy dosyć na-
dziwić się tej szczególnej śmiałości, z jaką nie-
dorosłe jeszcze indywidua rzucają się na wszystko,
co się nie mieści w ich ciasnych głowach. Kto
pod wiatr pluje, brodę sobie opluwa, powiedział
Szekspir“ i t. d.

Tego rodzaju epitety, jak: apostoł bredni, li-
chota, stęchła baranina, sos, składający się z idyo-
tycznych napaści, niedorosłe indywidua, ciasne
głowy i t. p. są teraz chlebem codziennym i po-
wagę krytyki obniżają do sfery kłótni karcze-
mnej.

Takie było położenie, które z każdą chwilą
się zaostrzało, gdy zdarzyło się, że wspomniany
już przeze mnie Edward (o mało nie Dumas) Lu-
bowski, należąc oprócz „Kłosów“ do redakcyi
pisemka humorystycznego p. t. „Mucha“, napadł
raz na Mieczysława Dzikowskiego, dowodząc mu,
że wystawiona wtedy przezeń w teatrze kome-
dyjka p. t. „Kartka wycięta“ jest plagiatem, jest
wprost przeróbką z francuskiego. Dzikowski nie
przebaczył tego Lubowskiemu i póty szperał
i szukał, aż w końcu wygrzebał, że drukowane
w r. 1870 w „Przeglądzie Tygodniowym“ jako

oryginalne „Przygody krótkowidza“ Lubowskiego, są także plagiatem. Zemścił się zresztą bardzo dowcipnie, bo w zeszycie 2-im „Koleców“ wydrukował jakoby list pana Charla Deulin, właściwego autora rzeczonej powiastki.

List ten brzmiał jak następuje:

„Szanowni koledzy!

„List ten dawno mi już leżał na sercu, ale straszne wypadki, które nawiedziły Francję, przerywając komunikację pocztową z całym światem i mnie postawiły w niemożności wypełnienia miłego obowiązku. Dziś dopiero, kiedy porządek w przesyłaniu listów został przywrócony, biorę się do pióra, aby oświadczyć publicznie serdeczne podziękowanie tym, którzy tłómacząc prace moje na język polski — łączą mnie silniejszym węzłem przyjaźni z polskimi literatami.

„Wielką jest nagroda dla żyjącego pisarza, jeżeli dzieło jego znajduje uznanie i rozgłos nie tylko pomiędzy swoimi, ale i u obcych. To też z niezrównaną przyjemnością odczytałem parę numerów „Przeglądu Tygodniowego“ z roku zeszłego, pisma zresztą które tak słusznie zyskało sobie uznanie w całej Europie, a nawet podobno i w Australii. W piśmie tem znalazłem bardzo wolny przekład mego humorystycznego opowiadania, które p. t. „Les tribunations d'un myope“

w „Journal pour tous“ w numerach 1181 i 1182 w r. 1869 drukowałem, a które w polskim przekładzie, p. t. „Przygody krótkowidza“ „Przegląd Tygodniowy“ w przedostatnim kwartale r. z. zamieścić raczył. Wprawdzie są tam przydatki i przerobienia, do których się wcale przyznać nie mogę, ale to już widać taka właściwość *samodzielnych* talentów, że nawet na przekładach indywidualność swoją wycisnąć muszą. Wdzięczność moja dla tłumacza jest tem większą, ile że gdym wydrukował powyższą pracę po francusku, nikt nie zwrócił na nią uwagi, a nawet fejletonista „Figara“ śmiało to nazwać *głupstwem*. Pokazuje się więc, że nigdy nie można być prokiem pomiędzy swoimi, a jakkolwiek „Przegląd Tygodniowy“ nie uważał za stosowne „Przygód krótkowidza“ nazwać przekładem lub przerobieniem z francuskiego i o mojem nazwisku zupełnie zamilczał, nie mam jednak do niego za to żadnej pretensyi, jestem bowiem tego przekonania, że w dziedzinie umysłowej pracy i w powszechnej rodzinie literatów, gdzie idzie o pokarm ducha, wszelkie względy na bok iść powinny. Czuję się więc w obowiązku złożyć najserdeczniejsze podziękowanie za polski przekład, jak złośliwi nazwali mego francuskiego głupstwa i szczęśliwym będę, jeżeli w równy sposób po koleżeńsku odwdzięczyć mu się potrafię, co

przy znanym talencie tłumacza, trudno mi nie przyjdzie.

Przyjm Szanowny Kolego i t. d.

Charles Deulin.

Paryż, dnia 20 lutego 1871 roku“.

Jakkolwiek obaj ci skrybenci (Dzikowski i Lubowski) jedno byli warci pod względem literackim, przecież dla „Przeglądu“ odnośnie do Lubowskiego była to sposobność, której pominąć on nie mógł. Że do tego mieszała się osobista niechęć Wiślickiego, któż o tem wątpi? dość, że napaści, dogryzki, docinki, przelotne smaganie człowieka nielubianego, były na porządku dziennym. Szczerze mówiąc, pastwić się nie było nad kim i tego rodzaju mierność jak Lubowski nie zasługuje na to, by się nią zajmowano, ale „Przegląd“ trzymał się zasady, że zemsta jest rozkoszą bogów i nie przepuścił żadnej okoliczności i sposobności, by znieawidzonemu przez siebie człowiekowi dać się we znaki. Właśnie teraz, w początku 1872 r. przydarzyła się taka sposobność.

Lubowski, człowiek z natury żółciowy, mimochodem, kilku słowami, bardzo zresztą lekko i nie znacznie, zaczął pozytywistów i pozytywizm. Zaraz też spadł na niego cios dokuczliwszy w „Echach“. Autor tej chłosty powiada, „że każdy piszący ma jakiś cel, a więc pan Lubow-

ski ma cel. Ma, jaki? żadnego. Ale jakże to ma i nie ma?“ - Zagadkę tę wyjaśnia w ten sposób:

„... najprzód wypada zaznaczyć fakt, że pan Lubowski należy do ludzi, przyznających cel pisanego, jako cel sam w sobie; powtóre cechą jest pana Lubowskiego także usposobienie, które wyraża się słowami: uderz w stół, nożyce się odezwą, t. j. jeżeli powiesz, że ktoś tam, gdziekolwiek i kiedykolwiek powiedział niedorzeczność, niechybnie, prawie fatalnie, autor „Pokłosa“ obrazi się za to i rozgniewa... Szczególniejszy to i ciekawy objaw sympatii.. Rezultatem tego usposobienia jest to, że pan Lubowski zapamiętałe broni głupstwa, staje się jego patronem, opiekuje się niem, jak matka swem dzieciąciem“.

Było to niezaprzeczenie zjadliwem, ale było jeszcze bardzo skromnem, bardzo przyzwoitem wobec tego, jak zwykł był „Przeгляд“ traktować innych swoich przeciwników. Niema tu wymyślań, zapożyczonych od ulicy, niema tu lajań od „stęchłej baraniny“, „kapuścianej głowy“ i t. p. Powiedziano tylko w sposób o tyle o ile przyzwoity, że pan Lubowski protegując głupstwo, jest sam... resztę, niech czuły słuchacz w duszy swej dośpiewa.

Była to jednak przysłowiowa kropla, przepelniająca naczynie, wypelnione już po same brzegi. Na żółciowe, zgryźliwe, wątrobiane usposobienie

Lubowskiego, padła ona jak rozżarzony węgiel; stała się ostrogą, podniecającą dychawicznego konia." Lubowski postanowił raz na zawsze skończyć z „Przeglądem“, z Wiślickim, pozytywistami i młodą prasą; zadać im za jednym zamachem taki cios, żeby się więcej podnieść nie mogli.

Ściśle biorąc, było to możliwe, ale trzeba było na to mieć o wiele większe zdolności pisarskie, niż je miał Lubowski; trzeba było mieć znaczenie, stanowisko w literaturze podniosłe i nieskalane żadnymi plagiatami. Lubowski tego wszystkiego nie posiadał; był sobie pisarzem tuzinkowym, miernością, jakich wszędzie dziesiątki się wieszają u stołu biesiadnego literatury; nie miał ani stylu, ani nauki, ani talentu, ani powagi i znaczenia, a co większa wisiał nad nim niedawny zarzut o plagiat, zarzut, którego nie odpierał nawet, bo go odeprzeć nie mógł. Wystąpienie więc jego miało ten skutek, że nie zaszkodziwszy w niczem młodej prasie, na głowę nieogłędnego szermierza sprowadziło wszystkie ciosy, skupiło wszystko rozdrażnienie, jakie przez tyle lat walki musiało się nagromadzić. Lubowski z tego wyszedł tak, że podnieść się już nigdy nie mógł potem.

Manifest swój, jak nazywano w kołach młodych wystąpienie Lubowskiego, wygotował on d. 15 stycznia 1872 r. i rozesłał do wszystkich

redakcyi z prośbą o wydrukowanie. Na szczęście większość pism miała tyle taktu, że się na to nie zgodziła i do walki, przekraczającej granice przyzwoitości literackiej, mieszać się nie chciała. Jeden tylko „Kuryer warszawski“ paszkwil ten umieścił w całości, dając poznać, że się z nim solidaryzuje zupełnie, oraz „Kłosa“, w których, jakiem już powiedział, Lubowski był kollaborantem, a w których Lewenthal, podpisujący się jako redaktor, był także zagniewany na „Przegląd“ o rozmaite drobne i dokuczliwe przycinki.

Sam paszkwil zaczynał się od uwag o tak zwanej prasie rewolwerowej, do której oczywiście Lubowski zaliczał i „Przegląd“, co w żadnym razie nie było prawdą, gdyż pismo to napadało wprawdzie na ludzi, ale nie dopuszczało się nigdy t. z. szantażu, t. j. nie wchodziło wprzód w układy z tymi, których napaść miało. Po tym wstępie Lubowski puszcza się w dziedzinę literacką i tak ocenia młodych pisarzy:

„...Toć nie nowina, że pod sztandar szkoły pozytywnej chronią się szerzyciele nihilizmu, pomiatając prawidłami drogiemi ludzkości i drogo przez nią okupionemi“; że „pozytywizm jest dla „Przeglądu“ tem, czem płaszcz dla hidalga okrywającego swe łachmany“; że metody tej nie zgłębił, że jej nie zna, „lecz napadać wszystko i wszystkich, instytucye i ludzi, pracujących umy-

słowo z większym lub mniejszym pożytkiem, jedynie dla poniżenia ich, lub ośmieszenia w oczach tłumu, niezdolnego rozróżnić blichtru od prawdy, a nawet lubiącego bezmyślnie paszkwil i to w imię pozytywizmu—jest już rzeczą czelności i zuchwalstwa“; że „Przegląd“ zasług żadnych niema, że współpracowników nie ma, że ci co tam piszą, całą swą działalność opierają na artykułkach, na redagowaniu „ech“. Nie wiedzieć kogo bardziej żałować się godzi, czy ich samych, przydatnych może do handlu lub rzemiosła, czy publiczność, której dobrą wiarę wyzyskują. Młokosostwo (sic) pojęć i zasad (jeżeli wykrzykniki zasadami nazwać można), fanfaronada mozoląca się na dowód, że aż do ery, w której ci panowie gryzmolić zaczęli, nic przedtem nie istniało, płytkość, maskująca się wyjątkami z książki zaledwo co przeczytanej, ale jeszcze niezrozumianej i nie przetrawionej, idące w ślady za nią nieuctwo, otulające się w szatę krzykliwego arlekina, oto cechy charakterystyczne“.

Potem przechodzi do samego Wiślickiego, którego osobistość, jak mówi, „jest obciążona grzechami nie do darowania“; przytacza nieszczęśliwy przykład geografii Pütza, oraz „przedsiębiorstwo literacko-finansowe“, jak nazywa „Encyklopedyę“; robi mu zarzut, że drukuje swe nazwisko na niej, jakby był jej autorem, że nie

skończył wydawnictwa p. t. „Praca kobiet“, choć pobrał za nie pieniądze. Wreszcie powiada, że powinien się przyznać do prawdy temi słowy: „przez pięć lat nikt o mnie nie wiedział, bom był zerem tak co do treści, jako i co do formy; nadaremnie przyrzekałem wam tysiące pożytecznych i przyjemnych przedmiotów, nie chcieliście wierzyć i słuszenie; trzeba mi się było wziąć do skutecznych środków, do paszkwilu, przez co osiągnąłem dwa cele: raz zachęciłem was do zamakowania w skandalach, a potem dogodziłem swej zawiści, zaczepiając braci mych w piórze, którzy się do braterstwa ze mną w żaden sposób przyznać nie chcieli i nie chcą“.

O „echach“ tak mówi: jest to fejleton „na który składają się siły zbiorowe panów współpracowników, nie podpisujących się wprawdzie, bo to wygodniej i bezpieczniej, ale zato z poza płota tym odważniej ostrzeliwujących znienawidzonych przeciwników“— że ci współpracownicy nie znają ani Comta ani Milla, że ciągle napaści znudziły większość młodzieży piszącej, tak że ta zamierza założyć własny organ. W końcu domaga się, by prasa stara ssolidaryzowała się ze sobą, żeby nie pomieszczała w swych szpaltach żadnego artykułu młodych pisarzy, żeby nawet ogłoszeń prywatnych o „Przeglądzie“ drukować nie chciała.

Takim był ten paszkwil w swej osnowie zasadniczej. Cios był silny, ale współcześnie nieudolny i świadczył o tym nadzwyczajnym, ślepym gniewie, jaki owładnął Lubowskim. Pominąwszy już to, że większość zarzutów, w nim przytoczonych, była kłamstwem, podyktowanem przez urażoną ambycję mierności, przez zawiść osobistą, to końcowe domaganie się zabicia bądź co bądź młodych talentów (boć one były i istniały) przez odebranie im możności występowania publicznego, dowodzi braku wszelkich podnioslejszych ideałów w Lubowskim i w tych, co go popierali, sobkostwa i ograniczoności horyzontu. W społeczeństwie takim jak nasze, obowiązkiem obywatelskim, świętą powinnością każdego było, by głos publiczny rozlegał się szeroko, by wszystkie usta, które mówić mogą, mówiły. Domaganie się więc, by te usta zostały zamknięte, było zbrodnią, było najoczywistszą, najordynarniejszą zdradą interesów ogólnych — i historia oskarżenie o zdradę, rzucane w twarz młodej prasie, odrzucić musi na głowy Lubowskich, Szymanowskich i całej tej plejady umysłów miernych, kupiecko-żydowskich, które rej wodziły wtedy w dziennikarstwie i pod płaszczykiem obrony interesów społecznych, przeprowadzały swe osobiste sprawy geszefciarskie.

Paszkwil Lubowskiego wywołał głębokie oburzenie w młodej prasie, zwłaszcza u tych wszyst-

kich, którzy bliżej Wiślickiego się znajdowali. Cios był zbyt silny i zbyt ogłuszający, by na razie wiedziano co z nim zrobić i jak go odeprzyć; noszono się z myślą zbiorowego wystąpienia, odpowiedzi, pod którąby wszyscy młodzi autorowie się podpisali. Mikulski wziął tę sprawę gorąco do serca, biegał, przemawiał, trząsał się cały z oburzenia, ale pomimo swej zręczności i zapobiegliwości nie mógł nic zrobić. Wiślicki zanadto wielu na siebie obraził, z wieloma, a prawie ze wszystkimi ostatecznie zawsze źle wychodził, by teraz chcieli stawać w jego obronie. Niektórzy naciskającemu ich Mikulskiemu wprost odpowiadali: prawda, Lubowski zasługuje na to, by mu dobrze skórę wytatarować, ale tym razem napada on tylko na Wiślickiego i nam nic do tego. Po co my się mamy mieszać w sprawę, w której nie idzie o zasadę ale o ludzi? Niech się Wiślicki sam broni.

Zbiorowa więc akcja się nie udała, a tymczasem coś trzeba było zrobić. W obec tego Wiślicki postanowił od siebie samego dać odpowiedź Lubowskiemu w najbliższym numerze „Przeglądu“. Jakoż odpowiedź tę dał, ale wypadła ona bardzo słabo. Czuć w niej obawę przed przeciwnikiem, znika gdzieś to zjadliwe pióro właściwe Wiślickiemu, które tak gniewało jego przeciwników, znika cała jego ostrość. Ton odpowiedzi jest łagodny, nieomal lękliwy.

„... Gdyby paszkwil podobny, pisze Wiślicki, trafił na mniej obeznanego z pobudkami, kierującymi pismem p. Edwarda Lubowskiego, przypomniałoby mu zapewne, iż są w kodeksie paragrafy broniące przed potwarzą, każdej jednostki społecznej“ — ale w tym razie do tego uciekać się nie potrzeba. Odpierając zarzuty, czynione sobie, Wiślicki powiada, że swe wyrobienie literackie zawdzięcza „współpracownictwu we wszystkich pismach warszawskich“; że stał się „grzesznym do niedarowania pisarzem od czasu, gdy „Przegląd“ począł mówić gorzką prawdę; że pan Edward Lubowski, „Kuryer warszawski“ i „Kłoso“ narażone były na zarzuty, więc cóż dziwnego, że starają się jak umieją, zdyskredytować naszą działalność? “; że chcą „aby cała prasa oświadczyła, iż nietylko z „Przeglądem“ nie ma żadnej solidarności, ale, że nie wydrukuje żadnego artykułu jego współpracowników i nie umieści ogłoszeń, za które się płaci“. I to wszystko dlatego, że pan Lubowski obrażony. „Dlatego, że kilku miernych pisarzy zostało zgromionych, trzeba pozbawić kilkanaście piór dzielnych, pełnych zapału i przyszłości udziału w literaturze? Pomysł potworny i godny źródła z którego pochodzi, a świadczy jakichby środków się chwycono, gdyby tylko była możliwość... wykonania“.

Co do zarzutów poczynionych jego przekładowi geografii Pütza, twierdzi, że „wyszła w roku zeszłym w drugim wydaniu we Lwowie, jako dziełko szkolne, używane w tamtejszych gimnazjach“; że wydawnictwo „Pracy kobiet“ przewrwał wprawdzie na jednym tomie, ale za drugi zwrócił prenumeratę. Odpowiedź swą Wiślicki kończy temi słowy: „tak! największym naszym błędem jest... trzy tysiące naszych abonentów! Nie mogąc nas zdusić milczeniem, postanowiliście zabić, lżąc... Prosimy o więcej! paszkwile wasze są dla nas zaszczytem, bo pochodzą z kół fanatyzmu, zacofania i prywaty“.

Nie na tem jednak miała się skończyć ta polemika i byłoby bardzo źle, gdyby się na tem skończyła. Dowodziłoby to słabości młodej prasy i tego, że większość zarzutów, czynionych jej przez Lubowskiego jest prawdziwą, oraz że ci ludzie zaczepiać umieją, ale skarceni należą, milczą. Na szczęście tak nie było, a co najważniejsza, z tych sporów, do pewnego stopnia osobistych, miał się wyłonić, jak Minerwa z głowy Jowisza, cały program społeczny.

XII.

Odpowiedź Lubowskiemu współpracownikom „Przeglądu.“ — List Sowińskiego i jego następstwa. — Artykuły programowe. — Wiersz Karola Świdzińskiego. — Rozdwojenie w młodej prasie. — „Opiekun domowy“ i „Niwa“. — Zakończenie.

Skoro więc akcja zbiorowego wystąpienia przeciw panu Lubowskiemu wszystkich młodych pisarzy, zainicjowana przez Mikulskiego, pomimo jego zabiegów, nie udała się i stanowczo przepadła dzięki rozdwojeniu, jakie zapanowało teraz w obozie pozytywnym, trzeba było coś innego zrobić. Wiślicki się wprawdzie obronił, ale obronił słabo i mdło i to w żadnym razie wystarczyć nie mogło. Wobec tego, ci z współpracowników „Przeglądu“, którzy stale teraz w nim pisywali, t. j. Kotarbiński, Mikulski i Świętochowski, zdecydowali się na odpowiedź od nich samych pochodzącą. Zredagował ją, jak się zdaje Świętochowski, najteższy szermierz literacki w tej

trójcy i pomieścili ją w N-rze 5 „Przeglądu“ pod tytułem odpowiedzi od redakcyi. Jest ona o wiele silniejsza, lepiej pod względem literackim napisana od odpowiedzi Wiślickiego, wypowiada śmiało swe przekonania, a nadewszystko otwarcie mówi czego chcieli i chcą pożytywiści, daje jednym słowem program.

„Zamach — brzmi ten dokument — wymierzony przez pana Lubowskiego na osłabienie reputacyi pisma, na zachwianie jego moralnego i materyalnego kredytu w społeczeństwie, jest zwykłym wybiegiem sumienia bardzo ślizkiego, uczciwości literackiej bardzo podejrzaney, zacieklej w sprawie obrony własnej“; że poprzestałoby na tem, co wydawca i redaktor powiedział, ale że pan L. skrzywdził całe grono młodych ludzi, pracujących w „Przeglądzie“, więc zmuszeni są odpowiedzieć.

A najprzód kilka słów o ich działalności literackiej; że po ruchu doby minioney nastąpiła długa i martwa cisza. „Sprawy literatury przeszły w ręce ludzi niezdolnych, a co gorsza niewykształconych. Czy los nas tak karał, czy uparta niemoc tak zapanowała nad umysłami, dosyć, że w procesie kilkunastoletniego naszego życia duchowego, coraz bardziej się uprawniała zasada nieruchomości i nietolerancyi w opiniach. Znikła wszelka szczerza i otwarta wymiana zdań, a na jej miejsce stanęło wzajemne szanowanie

swych błędów. Czy więc jest dziwną, a tym mniej potępienia godną wszelka opozycja, która chce życie i myśl społeczeństwa skierować na drogę rozwoju? czy rzeczywiście tak jest przekłątą działalność młodych ludzi, którzy w imię tej idei walczą? Chcemy tylko wolności zdania, prawa jawnego sądzenia wszystkiego i wszystkich, surowego oceniania każdej działalności i opinii, niepodległości wyrażenia własnej, postępu w nauce, w moralności, a to wszystko zamieniają nam w akt oskarżenia. Gdy mówimy, że ogół powinien się odradzać nowymi pierwiastkami wiedzy, zarzucają nam zbrodnię; gdy powiadamy, że tradycja powinna być *podstawą, gruntem* do działania, a nie *zasadą i ideałem*, krzyczą, żeśmy szkodliwi. I gdzie krzyczą? nie w publicznej sprzeczce, ale w tajemnych, niehonorowych intrygach. Opór powiększa siłę, więc cóż dziwnego, że przekonani o słuszności naszych wymagań, występujemy gwałtownie przeciw wszystkiemu, co te wymagania widocznie zabija lub skrycie dyskredytuje“.

Tak określiwszy swoje stanowisko, przechodzą do oceny działalności pana Lubowskiego. „Kto on jest?“ — pytają i taką dają odpowiedź: „jest on autorem drobnych powiastek, jednej powieści i kilku utworów dramatycznych“. Nie chcąc własnego, jako strona interesowana, wydawać sądu, przytaczają zdanie prof. Tyszyńskiego o po-

wieści „Aktorka“ i dochodzą do wniosku, „że pan L. nie ma żadnych zasad moralnych i w sferze etyki kieruje się zwykłą lubieżnością sybarytów starożytnych“. „Oprócz powieści, pan L. napisał dwie komedye, które krytyka wyśmiała, publiczność przeziwała i które po kilku przedstawieniach upadły;“ potem dramat „Żyd“, o którym „Gazeta polska“ napisała: „co za bieda być z dramatem na konkursie lwowskim, jeżeli dramat pana Lubowskiego premiowany został“. O drobnych powiastkach odpowiedź powiada: „jedna z nich p. t. „Przygody krótkowidza“, w czasach swej laskawej pobłażliwości dla „Przeгляdu tygodniowego“, sprzedał redaktorowi naszego pisma, jako swoją oryginalną i dopiero potem pan Dzikowski odkrył i publicznie ogłosił, że to była sekretna przeróbka z francuskiego. Z tego faktu mamy miarę do ocenienia honoru literackiego pana L. Zapytujemy się teraz, czy pan L., jako pisarz takich tendencyi, jako autor takiego charakteru, ma prawo surowego sądzenia drugich?“ „Dla nas pan L. nie jest jeszcze „ulicznikiem“, ani „bandytą;“ jest tylko plantatorem tych przydomków, przeszczepionych z kawiarni do literatury, jest pisarzem zacofanym, bez nauki, bez zasad, bez godności w walce literackiej“.

Całą tę surową chłostę tak kończy: „dlatego tylko dajemy tak szczegółową odpowiedź na na-

pad pana L., wymierzony przeciwko nam, dlatego nie używamy zwykłego w takich wypadkach argumentu obrażonego Sokratesa, że pan L., taktyką wszystkich obrażonych mierności, pragnie podszyć swą prywatną nienawiść pod opinię powszechną, zmieszać swe egoistyczne cele z względami dobra społecznego, a potwarcze ubrać w pozory głosu publicznego. Niestety! uchyliliśmy zasłonę tej szarlataneryi. Co zaś do pisma („Kuryer warszawski“), które panu L. w tem szlachetnem przedsięwzięciu dopomogło, nie pozostaje nam nic innego, jak tylko przyznać mu zupełne braterstwo z autorem „Żyda“ w godności i równy udział w naszej pogardzie“.

Bezwątpienia Lubowski źle wyszedł na tem, że napadł na młodą prasę. Został zgnębiony, unicestwiony; wykazano z nieprzebręganą surowością jego mierność, brak talentu i nauki; w stosunku do pism, które go poparły, spalono wszelkie mosty, zerwano wszelkie nici, łączące młodych pisarzy z niemi. Wszystko to jednak, aczkolwiek silnie wypowiedziane, z talentem szermierskim niezaprzeczonem, ma znaczenie drugorzędne wobec programu działalności, jaki stawiali dla siebie i swego społeczeństwa młodzi pisarze. Czegóż więc oni chcieli naprawdę? chcieli wolności zdania, swobody w sądzeniu każdej działalności społecznej, poddawania jej pod kontrolę, postępu w zakresie wiedzy, zerwania z do-

tychczasowymi ideałami, z tradycją, która powinna być gruntem a nie ideałem tej działalności, spokojnego rozwoju, a nie zrywania się z motyką na słońce. Program był bardzo rozumny, bardzo praktyczny, ale zarazem bardzo chłodny; był on konieczną reakcją przeciw tym ideałom społecznym, które przyprowadziły nas nad brzeg przepaści.

Oczywiście program ten nie wypowiadał się otwarcie, bo nie mógł, ale krył się pod postęp nauki, pod te hasła naukowe, jakie na zachodzie szeroko teraz rozbrzmiewały. Mówiono więc dużo o pozytywizmie, o teorii Darwina, którą zresztą bardzo nie wiele znano i którą usilnie propagował w broszurkach Bronisław Reichman, także wychowaniec Szkoły Głównej i należący do grona młodych pisarzy.

Z tych obsłonek jednak wyraźnie występuje kwestya społeczna, tak, że kto patrzeć umiał, nie mógł mieć pod tym względem żadnej wątpliwości. Z powodu też wystąpienia Lubowskiego i odpowiedzi młodych, redakcya „Przeglądu“ otrzymała mnóstwo listów, które potępiając paszkwil Lubowskiego, zgadzały się z programem, nakreślonym przez młodych lub protestowały przeciw niektórym jego odcieniom. Między tymi listami najgodniejszy uwagi i z wielu względów najciekawszy był list znanego poety Leonarda Sowińskiego. List ten bowiem dał sposobność

„Przeglądowi“ do wyraźniejszego zarysowania szczegółów swego programu, do jego pogłębienia i lepszego oświetlenia.

„Nie zgadzam się — pisał Sowiński — z zapatrywaniem „Przeglądu tygodniowego“, podkopującego przeszłość (bo przeszłość jest korzeniem pnia i konarem terażniejszości), lecz z oburzeniem odczytałem memoriał pana Lubowskiego, wymierzony *pro domo sua* przeciwko wolnemu głosowi. Pan L. najprzód napada przedsiębiorstwo (po polsku: najprzód napada na przedsiębiorstwo). To właśnie czyni jego napad bardzo dwuznacznym. Paralela prasy warszawskiej z węgierską co najmniej śmieszna. Bądźcie pewni, że nawet błędy pełnione z dobrą wiarą, przyjmujemy z serdecznem współczuciem“.

Do tego listu redakcyja „Przeglądu“ taki dopisek dodała: „...najenergiczniej protestujemy przeciw pierwszej części listu i zaznaczamy, iż również jak pan S. i ogół, stoimy przy ciągłości rozwoju historycznego. I być inaczej nie może, bo wszyscy jesteśmy sumą tego co było. Ktoby myślał inaczej, musiałby się wyrzec cywilizacyi ludzkiej, stworzonej wspólnemi siłami narodów uzupełniających się w swej odrębności i dążyć do kosmopolityzmu jałowego. Ta droga nie jest naszą. My tylko całą chatę oddając pod straż bogów domowych, chcemy, aby z cechującą nas od wieków gościnnością, otwo-

rzono podwoje temu wszystkiemu co dobre, rozumne i piękne, skądkolwiek pochodzi. Kto nie bierze ten dawać nie może, a jak mówi poeta: przeklęty kto nie płaci! My tylko pragniemy, aby zdrowe soki żywiły drzewo, pod cieniem którego żyjemy, aby się konary bujniejszym pokryły liściem, aby posilniejsze wydały owoce dla użytku przyszłych pokoleń. Nadto nic więcej, nic więcej!“

Jest to jasne i wyraźne. Nie chcemy być kosmopolitami, chcemy zostać sobą, ale nie myślimy rozwijać się na podstawach dotychczasowych. Doprowadzeni do nędzy, do skrajnej przepaści, szukać chcemy gdzieindziej naszych bogów i deski ratunku.

Ten program nie już literacki, nie zamykający się w jakiejś teorii naukowej, ale obejmujący sobą najwyższe zagadnienia bytu społecznego, pod wpływem Mikulskiego, który był człowiekiem chłodnym, ale rozumnym i spokojnym, z każdym dniem się uzupełnia, rozwija, pogłębia i stanowi dopiero teraz prawdziwą siłę „Przeгляdu“, prawdziwą jego zasługę. Już wkrótce po starciu z Lubowskim, ukazuje się w „Przeглядzie“ artykuł p. t. „Absentizm“, który gromiąc tych, co twierdzą, że w kraju niema nic do roboty, bo wszystkie drogi są zamknięte, wołał:

„...w bardzo licznych przykładach możemy spr-

wdzić tę zasadę, że w jakimkolwiek położeniu pozostaje ogół, zawsze znajdzie się sfera, w której on może pracować na korzyść własnego dobra. Potrzeba tylko, ażeby zdrowy rozsądek ogółu zmierzył granice tej sfery i przekonał się, jak daleko rozciąga się możność jednostkowego działania w harmonii z prawem społecznem“.

„Przeгляд“ więc potępiał usuwanie się od pracy społecznej, pracy zapewne trudnej i ciężkiej, podobnej nieraz do przędzy Penelopy, co chwila zrywanej, ale mimo to koniecznej i obowiązkiem każdego będącej. Wkrótce potem ukazał się szereg artykułów, pisanych, jeżeli się nie mylę, przez Mikulskiego p. t. „Praca u podstaw“, w których program ten otrzymuje ostateczne wykończenie.

Jakże on więc wyglądał?

Ponieważ sfery społeczne, które dotychczas miały historyczne u nas przodownictwo, w skutek wypadków straciły swe znaczenie pierwotne, trzeba się więc zwrócić gdzieindziej, do ludu. Trzeba się starać go oświecić, uobywatelić, na nim przez niego przyszłość budować. Za pośrednictwem autonomii wiejskiej, sądów gminnych i t. p. należy wejść z nim w stosunki i zrobić z martwego dotąd balastu skołatanej nawy społecznej, czynnik żywy i działający. Ponieważ dalej jesteśmy biedni, ubodzy, zrujnowani, trzeba się rzucić do handlu, do przemysłu, do rzemiosł,

zbogacić się, bo tylko bogaci mają swobodę działania i są szanowani w świecie.

Nie podobna oczywiście byśmy ten program szczegółowo opisywali. Znany on jest zresztą dobrze wszystkim pod nazwą „programu pracy organicznej“, gdyż później podchwyciły go inne pisma, roztrąbiły i wpoily w ogół. Dla ogółu, dla tej zawsze licznej rzeszy aferzystów wszelkiego gatunku, cóż mogło być lepszego jak taki program, który pozwolił im z bogacać się, a w dodatku otaczał aureolą służby obywatelskiej? Powoli, założenie fabryki makaronów lub musztardy, uchodziło za czyn obywatelski, za zasługę godną pomnika na Wawelu.

Wytworzyło się to znacznie później. Teraz jednak nie widziano złych stron programu, a zato dobremi wszyscy byli olśnieni. Uznawano go powszechnie za jedynie zbawienny i starzy Mohikanowie *liberum conspiro* umilknąć musieli. To wejście w krew społeczną programu młodej prasy, nie od razu się stało; na to trzeba było lat całych, ale już wtedy, w r. 1872 przewidzieć można było, że program ten zwycięży wszystkie inne.

Jak dalece znajdował on oddźwięk w masach, świadczy wiersz nieznanego skąd inąd poety, Karola Świdzińskiego*), wiersz propagujący te

*) Karol Świdziński, rodem z Lubelskiego, wyszedł z kraju w r. 1864. Pisywał do „Kłosów“ pod pseudo-

same idee, i który, dzięki temu, nabył ogromnego rozgłosu. Poeta woła:

„Bo nie żadnym błyskiem stali,
Nie natchnionych tonów mocą,
Ludy czoła swe ozłocą.
Tylko pracą i mądrością,
Tylko trudem i miłością,
Przyszłość serca im zapali...”

albo:

„... Nie daj się upajać pieśni,
Bo choć z pieśni często chwała,
Nieraz pieśnią człowiek prześni
Chwilę, w której drugi działa”.

Wiersz ten tak się kończy:

„Hej do cyrkla, hej do kielni,
I do wagi i do pługa!
A choć praca ciężka, długa,
Ale wyjdziem my z niej dzielni.
Barki nasze się rozrosną,
Serca nasze spotężnieją,
I zdobędziem myśl miłosną,
I grunt, co go nie zachwieją
Ani burza, ani siła,
Bo go praca postawiła”.

Wiersz jest ładny, bez zaprzeczenia, ale niestety! nie przewidywano jeszcze wtedy, do jak zgubnych następstw, do jakiego obniżenia moralnego poziomu społecznego, do jakiego za-

nimem Kalasantego Wesołowskiego. Umarł, zdaje się w r. 1873 w Stanisławowie w Galicyi.

tycia w ideałach mieszczańskich i kupieckich, doprowadzi ten program. Z tej pracy, wagi i kielni, nie wyszliśmy wcale dzielni, barki się nasze wcale nie rozrosły, ale owszem upadaliśmy coraz niżej, gniliśmy w zatęchłej, robaczywej atmosferze aspiracji mieszczańskiego dobrobytu i mieszczańskich pragnień.

Ale rozbiór tych kwestyi do mnie nie należy. Zadaniem mojem są sprawy czysto literackiego charakteru; do nich więc wracam.

Jednym ze skutków polemiki z Lubowskim, było publiczne ujawnienie się scysyi, jaka wśród pozytywistów trwała już oddawna. Pominąwszy już to, że zabiegi Mikulskiego o gremialne wystąpienie przeciw paszkwilowi, nie udały się, świadcząc wyraźnie, że grupa młodej prasy rozpada się, to teraz po odpowiedzi Lubowskiemu, nikt prawie nie chciał się z tą odpowiedzią solidaryzować i wszyscy się jej wyrzekali. Zmusiło to w końcu Wiślickiego do ogłoszenia w swem piśmie, że „w celu zaprzeczenia rozszerzanym błędnie pogłoskom“, donosi, iż komitet redakcyjny składa się z pp.: Kotarbińskiego, Mikulskiego, Świętochowskiego i Wiślickiego „przy udziale nieomal tych wszystkich współpracowników, którzy nam dotąd swej pomocy udzielić raczyli.“

To ostatnie zdanie nie było prawdą. Do „Przeglądu“ nie pisywał już wtedy ani Chmielowski,

ani Ochorowicz, ani Przyborowski, ani Sienkiewicz; wszyscy oni odsunęli się i dość krzywo patrzyli nie na pismo, ale na jego redaktora. W rzeczy samej człowiek ten, bezwątpienia obdarzony licznymi zaletami, posiadał też nieznośne wady, które dłuższy z nim stosunek czyniły niemożliwym. Wcześniej czy później zawsze on umiał się tak postawić względem współpracownika, który mu się z jakichkolwiek powodów wydawał niewygodnym, że ten zmuszony był go porzucić. Ale jeżeli to było usprawiedliwionem względem sił drugorzędnych, to nigdy względem takich pisarzy, jak czterej, wyżej wymienieni.

Prócz tego wszyscy ci, którzy pierwotnie do „Przeglądu“ należeli, w miarę rozwoju swej umysłowości, w miarę doświadczenia, widzieli, że nie wszystko w piśmie tem i jego redaktorze, jest doskonałem. Często pojawiały się tam artykuły, zdumiewająco pozbawione sensu, na które oni ruszali ramionami i uważali za ubliżające dla siebie, że pismo, do którego oni należą, coś podobnego drukuje. Następnie ciągle napaści, niekiedy pozbawione wszelkiej racji, ośmieszanie lub bezczeszczenie ludzi dla konceptu, dla chęci ośmieszenia, oburzały ich. Sądzieli oni, nie bez pewnej słuszności, że z tonem polemicznym trzeba raz skończyć, że zrobił on wszystko co mógł zrobić, że teraz nad-

szedł czas postawienia programu, czas spokojnej, sfornej i cichej pracy, budowanie nowego gmachu, na ruinach dawnego, który obalili. Wszystkie te względy, skoro nie znalazły chętnego ucha u Wiślickiego, który burzyć umiał ale natomiast nie nowego postawić nie potrafił, wywołały scyszę w obozie pozytywnym i jego rozdwojenie się zupełne, o którym w swoim paszkwile wspomniał Lubowski, robiąc z niego zarzut, zupełnie słuszny, Wiślickiemu.

Właśnie w tym czasie było do nabycia pi-semko tygodniowe p. t. „Opiekun domowy“, niedgdyś założone przez Mieczynskiego, wegetujące ciężko, z czasem redagowane przez Franciszka Gumowskiego, poetę, który dość prędko zniknął z horyzontu literackiego, wreszcie nabyte przez panią Moss i prowadzone przez jej męża, Bogumiła Aspisa. Ale Aspis nie mógł, czy nie potrafił podnieść upadającego pisma i sprzedał je Henrykowi Perzyńskiemu i Ochorowiczowi. Wkrótce około „Opiekuna“ skupili się Chmielowski, Doliński, Przyborowski, A. G. Bem, Prus Bolesław, który tu począł stawiać swe pierwsze kroki literackie, i tym sposobem wytworzył się nowy organ młodej prasy, z tym samym co „Przegląd“ kierunkiem, ale pozbawiony czupurnej, koguciej zajadłości i rzucania się na wszystko i wszystkich. „Opiekun“ był o wiele spokoj-

niejszym i w zakresie naukowym starał się uzasadnić swoje pozytywne poglądy.

Obok „Opiekuna“, w lipcu 1872 r. grupa świeżo wyszłych ze Szkoły Głównej młodych ludzi, należących do tego samego obozu, ale pragnących spokojnej i beznamiętnej propagandy nowych idei, założyło dwutygodnik p. t. „Niwa“. Większość założycieli „Niwy“ więcej się nie pojawiła na arenie literackiej. Różne Szönmany, Szify, Mierosławscy, Ochimowscy, Pronaszkowie, Plebińscy i t. p. zginęli później w powodzi nie mówiących nazwisk, wszazem morzu bezimiennego tłumu, ale w owe czasy byli oni wyrazem tego niezadowolenia, jakie w obozie pozytywnym budził „Przegląd“. Do założycieli „Niwy“ należał także, ale któżby temu uwierzył? pan Kazimierz Zalewski, ale wkrótce z niej usunął się ostentacyjnie, pod pozorem, że nie podziela przekonań większości redakcyi. Wstrzymajcie się od śmiechu, o! przyjaciele!

Historya tych pism nie należy już do zakresu mej pracy. Doprowadziłem ją do punktu kulminacyjnego, w którym program młodej prasy skonsolidował się i wykończył. Wyrabiał on się powoli i ciężko, ale w rezultacie, wśród długich, kilkoletnich walk, stanął gotowy i zwycięski. Teraz nie potrzebował już walczyć; powoli wszyscy do niego przywykali, częstokroć bezwiednie, pod siłą atrakcyi, jaką on posiadał

i z czasem miał się stać powszechnem wyznaniem wiary, przeciw któremu przez długie lata nikt głosu podnieść się nie ośmielił.

To wytworzenie programu, który ma głębokie znaczenie historyczne i w rozwoju umysłowości naszej stanowi jeden z najpoważniejszych punktów zwrotnych, jest zasługą młodej prasy i nadaje jej ogromne znaczenie. Z tego też punktu zapatrując się na tę kwestyę, sędzę, że moja książka przydać się na coś może w czasach, gdy szczerze mówiąc, niema żadnego programu, gdy dawny się zużył i zmarniał w uścisku żydowsko-mieszczańskich ideałów, a nowy się nie pojawia, lub jeżeli pojawia, to bardzo lęklawie i nieśmiało.



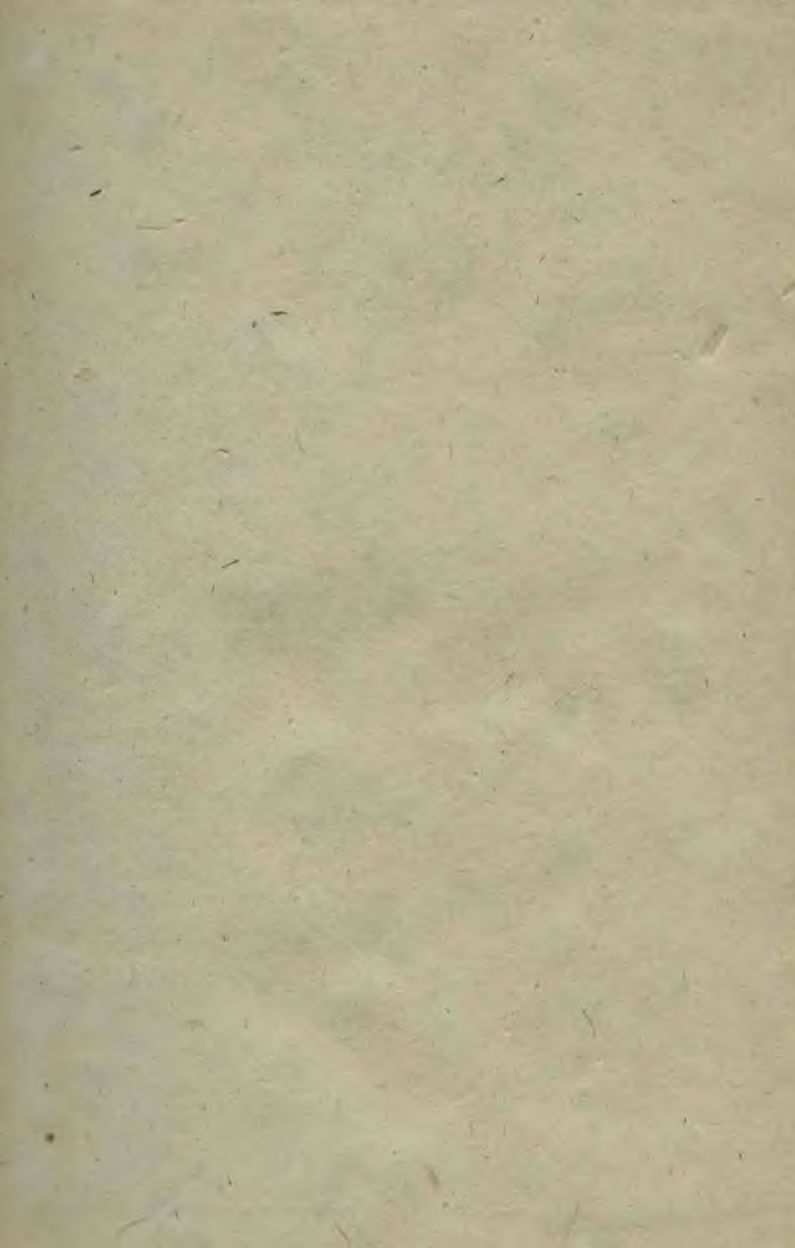
Pawłów, d. 1 września 1895 r.

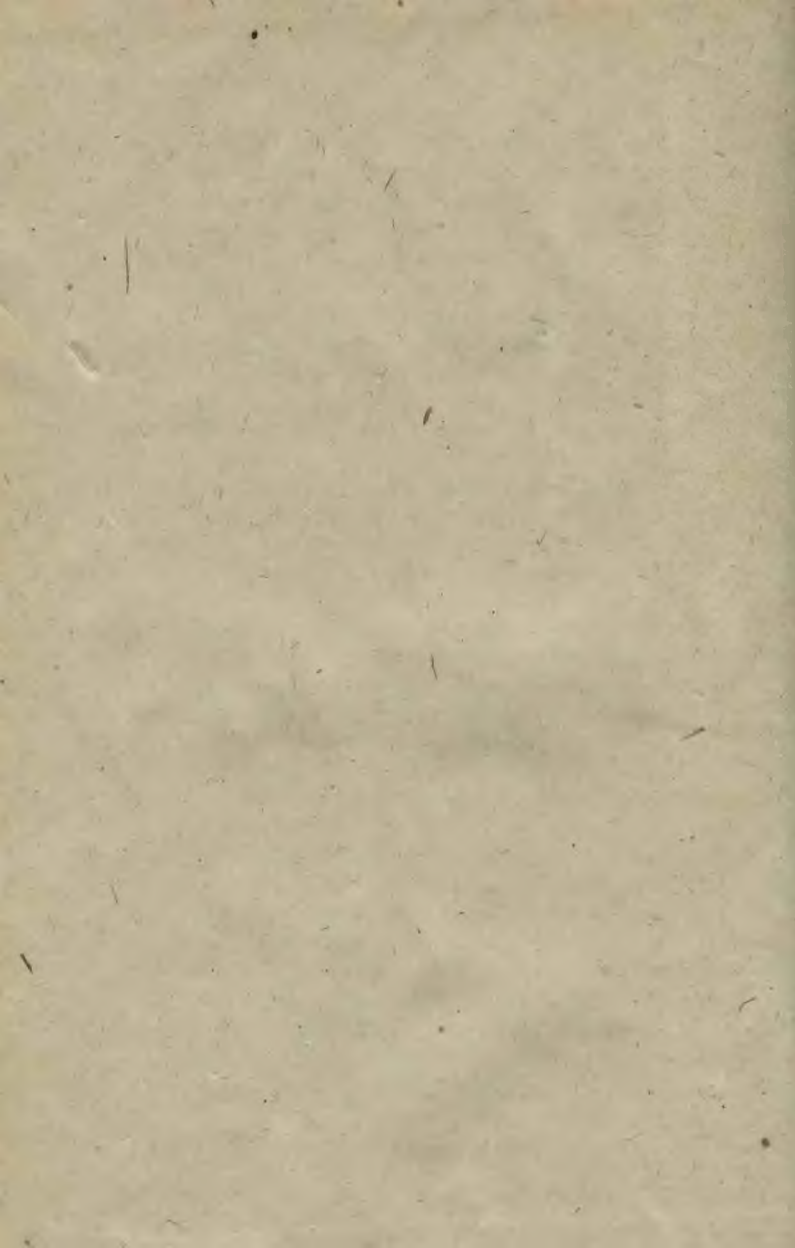
B.2766

SPIS RZECZY.

	Str.
Przedmowa	1
Rozdział I. Szkoła główna i koterye w niej. — Lasocki, autor „Ludgardy“. — Maszewski, poeta. — Wpływ Buckle'a. — Pojawienie się „Przeglądu tygodniowego“. — Ówczesny kierunek prasy warszawskiej. — Wystąpienie przeciw niemu „Przeglądu“	4
Rozdział II. Aleksander Kraushar. — Wołody Skiba. — Józef z Mazowsza. — Miron. — Władysław Belza. — Adam Wiślicki	18
Rozdział III. Klin i jego „Szkice“. — Redakcyja „Przeglądu tygodniowego“. — Edward Lubowski. — Zagasłe imiona. — Władysław Oedon i jego „Pusty dom“	33
Rozdział IV. Julian Ochorowicz. — Piotr Chmtelewski. — Józef Kotarbiński. — Teodor Sęk. — Niektóre wydawnictwa „Przeglądu“. — „Pomoc własna“ Smilesa. — „Kuryer warszawski“ i jego nowa redakcyja. — Waclaw Szymanowski	50
Rozdział V. Władysław Bogusławski. — Kazimierz Łuniewski. — Polemika w „Kuryerze“. — Walka z „Przeglądem tygodniowym“. — Walerj Przyborowski. — „Hinda“ i recenzya Łuniewskiego. — Artykuł „Nule“ i jego następstwa	69

	Str.
Rozdział VI. Pomysłowość Wiślickiego. — Ogródki Froebrowskie. — Pozytywizm. — Wiktor Gomułcki i jego śmieszna przygoda. — Wiersz „Babunia“. — Artykuł „Groch na ścianę“ .	88
Rozdział VII. Krzemiński Stanisław. — Feliks Fryze. — Wycieczka balonem. — Kazimierz Zalewski i jego komedye i wiersze. — Klemens Podwysocki. — Stara prasa i jej przedstawiciele. — „Biblioteka warszawska“ i niezdzienne w niej zebrania	107
Rozdział VIII. Bolesław Limanowski. — Ernest Świeżawski. — Gustaw Roszkowski. — Zgliński. — Henryk Sienkiewicz. — Bogumił Aspis. — Aleksander Świętochowski . . .	125
Rozdział IX. Wiersz Ordona. — „Gwiazdy upadłe“ Wiślickiego. — Aleksander Messyng i jego poezya. — Echa warszawskie. — Historya białych krawatów. — Artykuł „My i wy“. — Odpowiedź niego „Kuryera“. — Mieczysław Dzikowski i proces o „Córke lichwiarza“ .	141
Rozdział X. Brak programu w „Przeglądzie“. — Zapowiedź wyawnictwa Encyklopedyi powszechnej. — Leopold Mikulski. — Feliks Ehrenfeucht. — Jan Jeleński. — Ekonomista Popolani	165
Rozdział XI. Echa warszawskie. — Lubowski i Dzikowski. — Napaść „Przeglądu“ na Lubowskiego. — „Manifest“ tegoż. — Odpowiedź nań Wiślickiego	177
Rozdział XII. Odpowiedź Lubowskiemu współpracowników „Przeglądu“. — List Sowińskiego i jego następstwa. — Artykuły programowe. — Wiersz Karola Świdzińskiego. — Rozdwojenie w młodej prasie. — „Opiekun domowy“ i „Niwa“. — Zakończenie . . .	196





07(438)

XIX

P.